tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 11 (1366)
9-15.03.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. MAREK BELKA
NAWROCKI BRONI INTERESÓW AMERYKI I TRUMPA

70. URODZINY
ZBIGNIEWA BOŃKA

POKOLENIE Z
WCALE NIE JEST ROSZCZENIOWE

KARD. GULBINOWICZ
NA LITWIE – NIE ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

OD ZERA DO ZERA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115 11 >
9 771509 311607

eprasa.pl 1cf7f76a50

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY



UNE IDEE GENIALE

Oto GENIALNY POMYSŁ na wieczór!

Autor SÉBASTIEN CASTRO

Przekład BARBARA GRZEGORZEWSKA

Reżyseria WOJCIECH ADAMCZYK

GRAMY W CAŁEJ POLSCE • KUP BILET • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Prawda ich dogoni

Jeszcze w środę byłem pewien, że napiszę o kolejnej wojnie rozpętanej przez Donalda Trumpa stojącego na czele powołanej przez siebie Rady Pokoju. I o historii licznych wojen, które Amerykanie wywoływali po 1945 r. Wojen, które kończyły się ich klęską. Jak ta w Wietnamie. Paniczną ucieczką, jak z Afganistanu. Zrujnowanymi krajami, jak Irak i Syria, gdzie zginęły miliony osób. Zadziwiające jest, że amerykańskie elity nie wyciągnęły z tych historii żadnych wniosków. Tysiące Amerykanów, którzy wrócili do domów w trumnach, i zero refleksji ze strony rządzących. Choć wielu zwykłych Amerykanów ostro protestowało przeciwko takiej polityce, to przeważał argument, że znowu kolejny kraj stanowi zagrożenie dla narodu amerykańskiego. I że trzeba tam interweniować zbrojnie.

Nowe technologie i liczne kamery pozwalają nam te wojny oglądać prawie na żywo. Jak w panoramicznym kinie. Nowym technologiom towarzyszy też nowy język. Już nie ma wojen. Są operacje specjalne. Z egzotycznymi nazwami: „Ryczący Lew" i „Epicka Furia" – rodem z gier komputerowych. A jak nie ma wojny, to i nie ma zamordowanych ludzi. Są wyeliminowane cele. Tak wymordowanych Irańczyków nazywali pracownicy polskich mediów. Z TVP na czele. Z kolei eksperci wojskowi z półki generalskiej zaczęli w TVN mówić o dekapitacji przywódców. Ktoś im podpowiedział, że nie można urazić nowego Wielkiego Brata sugestią, że kogoś zamordował. Z historii wiemy, czym się kończy takie odhumanizowanie narodów, ras, grup społecznych. Paranoja polityczna, oszukańczy język i totalne kłamstwa.

Z kolei próbkę łgarstwa na polską modłę pokazali Nawrocki i Glapiński. Nie podaję ich funkcji ani tytułów, bo jeśli ktoś tak traktuje swoich rodaków, traci zdolności honorowe.

Wszyscy znamy powiedzenie, że nie ma darmowych obiadów. I drugie – że w polityce są tylko interesy. Dobrze to pokazuje zachowanie Karola Nawrockiego w stosunku do Donalda Trumpa. Za to, że zostanie od czasu do czasu poklepany po plecach, nie płaci on. Płaci Polska. Płaci w zakupach, nie tylko broni, za setki miliardów dolarów. Tak dotąd było. I tak ma być dalej. Amerykański apetyt na tak dobre interesy jest nieograniczony. A nasza rola jasno określona. Mamy robić kolejne bardzo kosztowne i gorsze od ofert europejskich zakupy. Tym, co nas różni od cywilizowanych państw, jest to, że w Polsce na straży amerykańskich interesów gospodarczych i finansowych stoją prezydent i największa partia opozycyjna. Bez wstydu, bez żenady. Bo co im można zrobić? Na razie niewiele. Przyjdzie jednak czas, że prawda ich dogoni.

Oby tylko nie zdążyli wciągnąć Polski w wojnę. Od kilku lat próbuje to zrobić prezydent Zełenski, a teraz Amerykanie.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 1cf7f76a50

W NUMERZE

KRAJ
8 **Usłużność PiS wobec Trumpa budzi obrzydzenie**
SAFE 0% – nowa pisowska religia
9 **Nawrocki broni interesów Ameryki i Trumpa**
– rozmowa z Markiem Belką
12 **Ekonomiczna iluzja**
Czyli zero „Polskiego SAFE 0%"
14 **Ostatnie podrygi pani Manowskiej**
Kończy się kadencja pierwszej prezes SN
17 **W odpowiedzi na apel „Przeglądu" cd.**
18 **Podcinanie skrzydeł zetkom**
Nie tacy źli pracownicy, jak ich malują
22 **Skręcić do Jędrzejowa**
Atrakcje na uboczu

ZAGRANICA
28 **Obalenie republiki czy tylko destabilizacja**
Iran kolejnym wstrząsem dla ładu światowego
32 **Wojna jako biznes**
Korespondencja z USA
36 **Honorowy obywatel – wstydliwy problem**
Korespondencja z Litwy

OPINIE
40 **Anatol Lieven**
Jak inwazja Rosji na Ukrainę zmieniła oblicze wojny
42 **Hanna Kuzińska**
Dług publiczny, SAFE i przyszłe pokolenia
43 **Maria Janssen**
Język giętki

SPORT
44 **Najpierwszy wąs narodowy**
Urodziny Bońka. Które? 70.!

KULTURA
46 **Budować alternatywę**
– rozmowa z Bartoszem Szydłowskim
50 **Piękno na co dzień dla wszystkich**
Wanda Telakowska tworzy wzornictwo
53 **Qulturalia**
66 **Elsa Rouy. Just Because**

OBSERWACJE
54 **Grenlandia – arktyczna perła**
56 **Pociągi wyprzedzą samoloty?**
Chińskie koleje ponaddźwiękowe

ZWIERZĘTA
60 **Gdy słoń choruje**
Czym leczą się zwierzęta

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Prawda ich dogoni
21 **Jan Widacki**
Jeszcze o patologii w nauce
27 **Stanisław Filipowicz**
Demony polityki
35 **Roman Kurkiewicz**
Śmierć irańskich dziewczynek
39 **Tomasz Jastrun**
Lew zaryczał
59 **Wojciech Kuczok**
Nieczułe miejsca straceń



PODCINANIE SKRZYDEŁ ZETKOM
Nie tacy źli pracownicy, jak ich malują



GRENLANDIA – ARKTYCZNA PERŁA



GDY SŁOŃ CHORUJE
Czym leczą się zwierzęta



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, MARCIN NOWAK/REPORTER, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 1cf7f76a50


OŁOWIANA PRAWDA

Dla „swoich dzieci" potrafiła nawet przekabacić „anioła stróża" z SB. Ale Jolanta Wadowska-Król nie działała sama

Ołowiana prawda

Mieszkałem obok, więc czytam jakby o sobie. Urodziłem się w Sosnowcu w 1933 r., czyli należę do tych „ołowianych dzieci". Mieszkałem w opisywanych czasach na ulicy Rokossowskiego (dziś Piłsudskiego), za tą ulicą po 100 m rzeka Brynica, a za nią Szopienice i Huta Metali Nieżelaznych (maksymalnie 500 m). Bawiłem się na tych ołowianych podwórkach. Mój ojciec był blacharzem i miał warsztat, robił głównie w blasze cynkowej, też z Huty Metali Nieżelaznych z Szopienic. Wytwarzany cynk był równie groźny jak ołów. Po 1945 r. byliśmy kapitalistami, nie przysługiwała nam socjalistyczna służba zdrowia, czyli lekarka (…), nawet gdyby chciała, do mnie by nie dotarła. Matka leczyła się u znachora w Ochojcu (ze śmiertelnym skutkiem). Ojciec jako kapitalista nie mógł nikogo zatrudniać, byłem jedynym dostępnym robotnikiem, i to bezpłatnym. W mojej sytuacji wyjątkowo ceniłem możliwość nauki. Jednak rok przed maturą dyrektor wezwał ojca i oświadczył: „Niech pan zabiera syna ze szkoły, bo nie ma miejsca w socjalistycznych uczelniach dla kapitalistycznych dzieci". Maturę zrobiłem w Bytomiu, stąd dostałem się na studia do Warszawy. Tak PRL ochroniła mnie bezwiednie przed mianem „ołowianego dziecka".

Marian Sokołowski


Historia w służbie Kremla

Książowy w Polsce z pierestrojką. Ciekawa historia. Raj Miedwiedziewa w ucieczce studenckiego życia bez apologetyki Władimira Putina

Historia w służbie Kremla

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Krzysztofa Pilawskiego o Roju Miedwiediewie, wiele mówiący o współczesnej Rosji. Dodałbym tylko, że jedyną integrującą ideą jest dla Rosjan „idea imperialna". Powód oczywisty – Rosjanie nie są „narodem" w naszym rozumieniu. Rosja jest od swych początków federacją wielu narodów. Już w bylinach (informacja dla młodzieży – seria prastarych ludowych pieśni) jedną z czołowych postaci jest Ilja Muromiec, a więc przedstawiciel ludu ugrofińskiego, a w kronikach Nestora z jakiejś okazji cieszy się „cała Ruś i Kara-Kołpaki" – zdecydowanie niesłowiańskie! To po trosze usprawiedliwia Miedwiediewa, bo Rosja, aby trwać w swej strukturze, musi w „carze" szukać identyfikacji, a Putin jak mało kto do tego się nadaje. Także my uwieczniliśmy w hymnie jednostkę – Napoleona Bonaparte, choć ten dla Polski nie zrobił wiele.

Jednak idea państwa „wielonarodowego" nie jest ani słaba, ani głupia – polecam więc wszystkim, a szczególnie lewicy, projekt federacji europejskiej tworzony już w 1934 r. przez więźnia Mussoliniego, komunistę Altiera Spinellego (po polsku opublikowało to tylko Ordo Juris).

A poza wszystkim gorąco popieram apel „Przeglądu" o referendum w sprawie ewentualnego wyjścia z Unii!

Filip Ratkowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Światowe Centrum Słuchu IFPS w Kajetanach. Operacja wszczepienia implantów ślimakowych. Zabieg przeprowadzają prof. Henryk Skarżyński i prof. Piotr Skarżyński. 30 lat temu w tym miejscu było ściernisko, dziś jest największy na świecie ośrodek leczenia słuchu, stosujący najnowocześniejsze technologie, pod opieką którego pozostają setki tysięcy pacjentów. W IFPS przeprowadzono ponad 5 mln badań i konsultacji oraz zrealizowano ponad 650 tys. procedur chirurgicznych.

O drodze do niewiarygodnego sukcesu, o przemianie polskiej otolaryngologii z kopciuszka, pozostającego 20 lat za światem, w światowego lidera – już za tydzień.

FOT. ANNA WOJCIECHOWSKA

eprasa.pl 1cf7f76a50

Stopa bezrobocia skoczyła do **6%**. **Bez pracy pozostaje 934,1 tys. osób**, w tym 802,9 tys. bez prawa do zasiłku **(GUS)**.

•

Sztab Generalny Wojska Polskiego podał aktualny stan liczebny armii: **217 075 żołnierzy**, w tym ponad **180 tys. zawodowych**. Wojska Obrony Terytorialnej liczą 38 tys. W planach jest 500 tys. żołnierzy w armii, z czego 300 tys. w służbie czynnej.

•

W rękach polskich cywilów jest ponad **1 mln sztuk broni** (1 037 778). W ubiegłym roku wydano 50,7 tys. nowych pozwoleń na broń.

•

Zwiększa się liczba osób „niepożądanych" w Polsce. Na liście jest już ponad 30 tys. nazwisk. W 2024 r. wydano ponad 8,5 tys. decyzji zobowiązujących do powrotu. Za 2025 r. nie ma jeszcze pełnych danych, ale z pewnością było tych decyzji więcej. Niestety, nie zawsze oznaczają one deportację.

•

Paramount Skydance za 110 mld dol. przejmie Warner Bros. Discovery (WBD), który jest właścicielem m.in. CNN, CBS News i TVN. Transakcja ma być sfinalizowana w trzecim kwartale 2026 r., jeśli zostaną spełnione dodatkowe warunki.

•

Wśród ponad 6 tys. tytułów prasowych wydawanych w Polsce w 2025 r. znajdują się czasopisma naukowe (1705), fachowe i branżowe (1069), społeczno-kulturalne (667), tematyczne (615), regionalne i lokalne (524) oraz opinii (248).

•

IPN z Nawrockim czy bez niego nie ustaje w ośmieszaniu swojej aktywności. Zabraniając władzom Zamościa umieszczenia tablicy pamiątkowej z informacją o miejscu urodzenia Róży Luksemburg, kompromituje się już na cały świat.

•

Radosław Piesiewicz, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, skłócony z wieloma działaczami i związkami sportowymi, bije nowe rekordy bezczelności. Odchodzą kolejni sponsorzy, nie ma pieniędzy na premie dla olimpijczyków, ale **znalazły się na podwyżkę pensji Piesiewicza. Zarabia teraz 58,5 tys. zł miesięcznie.** Czy ktoś w PKOl przerwie wreszcie ten cyrk?

•

800 tys. mieszkań w Polsce nie ma własnej toalety. W Łodzi na 385 tys. mieszkań toalety nie ma 8,7 tys. **(„Angora")**.

•

Do ok. **20% miejscowości w Polsce nie dociera żaden publiczny transport**, a kolejne 20% ma symboliczne kursy tylko w dni robocze. Do Funduszu Rozwoju Przewozów Autobusowych trafia rocznie ponad 1 mld zł. To jednak mało.

•

Po śmierci w szpitalu 30-letniej Izabeli z Pszczyny, będącej w w 22. tygodniu ciąży, na kary bezwzględnego więzienia od roku do półtora roku skazano prawomocnie trzech lekarzy.

•

Na siedem lat więzienia został skazany 38-letni Łukasz Sz., który z Traperskiej Osady pod Poznaniem porwał strusia i zmasakrował go.

•

Ponad 7,5 mln dorosłych Polaków ma zastrzeżony numer PESEL. Na ten krok nie zdecydowało się 25,4 mln osób.

PRZEBŁYSKI

Zarobieni są

Marcelina Zawisza i Maciej Konieczny z Razem na sali sejmowej, czyli w pracy. Sugestywnie pokazują tę część programu Razem, która mówi: „koniec z kulturą zapierdolu". Konieczny śpi i marzy o jakiejś lżejszej robocie. A Zawisza? Przegląda oferty pracy dla osób bez kwalifikacji.



Rokita dałby Trumpowi Nobla

Tylko taki ekspolityk jak Jan (Maria) Rokita mógł poprzeć rozpaczliwe starania Trumpa o Nagrodę Nobla. Nawet proamerykańscy politycy PiS mówią o tym jakoś oględnie. A Rokita w „Sieci" wali na odlew: „Nie ma najmniejszego polskiego interesu w tym, aby to nasz kraj publicznie przeciwstawiał się staraniom amerykańskiej dyplomacji".



Najstarsi czytelnicy pamiętają wielką kampanię. Premier z Krakowa. Bilbordy z Rokitą wisiały od Bałtyku po Tatry. Wydano miliony, ale naród tego nie kupił. Jakoś mu poglądy Rokity nie pasowały. A teraz? Miłośników Trumpa w Polsce ubywa szybciej niż śniegu w marcu. I Rokita znowu nie nadąża za narodem.

Bo drogi zawiało?

Słoneczko wreszcie przygrzewa, stopiło te kopne śniegi, które najwyraźniej blokowały trasę Ełk-Warszawa, a co najważniejsze, odmroziło worki z pocztą. Z początkiem marca do redakcji dotarł list polecony priorytetowy nadany w Ełku 9 lutego. Hura! Po trzykroć! Za każdy tydzień drogi! Tak na marginesie przypominamy, że przedsiębiorstwo państwowe Polska Poczta, Telegraf i Telefon powstało jeszcze w 1928 r. Instytucja ma więc niezłą tradycję. Tymczasem w naszym rozmiłowanym w tradycji kraju kolejne rządy i dyrekcje PP tę akurat tradycję mają tam, gdzie słońce nigdy nie dochodzi.



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK, YOUTUBE

eprasa.pl 1cf7f76a50

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



Fakty i mity profilaktyki

W niemal każdym opublikowanym w „Przeglądzie" wywiadzie z lekarzem czytam, jak ogromne znaczenie ma profilaktyka. Dlatego przed okrągłymi urodzinami zalogowałam się na internetowe konto pacjenta (pacjent.gov.pl), aby skorzystać z badań profilaktycznych. Znalazłam tam program „Moje Zdrowie", skrupulatnie wypełniłam ankietę, a na zakończenie otrzymałam listę zalecanych badań wraz z informacją: „Twoja przychodnia (POZ) skontaktuje się z Tobą w ciągu 30 dni. Jest to czas potrzebny na przeanalizowanie Twoich odpowiedzi, na podstawie których zostaną wystawione zlecenia na badania. Jeżeli w ciągu 30 dni nie nastąpi kontakt ani nie dostaniesz informacji zwrotnej w IKP, skontaktuj się po tym czasie z przychodnią (POZ)".

Minął tydzień, potem drugi – nikt z przychodni się nie odezwał. Po trzech tygodniach zadzwoniłam sama. Wtedy dowiedziałam się, że moja przychodnia podstawowej opieki zdrowotnej w programie nie uczestniczy. Mogę jednak umówić się na wizytę, a lekarz da mi skierowanie na badania sugerowane w programie. Tak też zrobiłam. Skierowanie otrzymałam bez problemu, ale tylko na te badania, nic poza tym. Na pytanie, dlaczego przychodnia nie bierze udziału w programie, usłyszałam krótką odpowiedź: Narodowy Fundusz Zdrowia nie refunduje jego realizacji.

Fakty dotyczące profilaktyki wyglądają więc tak: państwo wydaje pieniądze na specjalistów z publicznych instytucji ochrony zdrowia, którzy przygotowują ankiety, tworzy system, do którego logują się pacjenci, zatrudnia obsługujących go informatyków. Mitem pozostaje jednak sprawne funkcjonowanie programu, skoro to samo państwo nie zapewnia środków na jego realizację – nie finansuje udziału w nim przychodni POZ i nie zobowiązuje ich do uczestnictwa w programach profilaktycznych.

Na marginesie mam jeszcze jedną refleksję. Drogie Współczytelniczki i Drodzy Współczytelnicy „Przeglądu" – przypomnijcie sobie, kiedy lekarz POZ, czyli tzw. lekarz rodzinny, z własnej inicjatywy zaproponował Wam podstawowe badania kontrolne, panią zapytał o termin ostatniej mammografii czy cytologii itp. Nie wtedy, gdy przychodzicie z konkretną dolegliwością, lecz przy okazji rutynowej wizyty po receptę na stale przyjmowane leki, np. na nadciśnienie. Mnie coś takiego nigdy się nie zdarzyło. A Państwu?

Joanna Sieradzka

eprasa.pl 1cf7f76a50

Usłużność PiS wobec Trumpa budzi obrzydzenie

SAFE 0% jest nową pisowską religią

Robert Walenciak

Spór o SAFE wszedł w nową fazę, bo własny program ogłosili prezydent Karol Nawrocki i prezes NBP Adam Glapiński. Program wyciągnięty z kapelusza. Gdzie byłeś, Adamie Glapiński, gdy rząd PiS pożyczał pieniądze na koreańskie czy amerykańskie zakupy? Pożyczka 6% ci nie przeszkadzała? Dlaczego wtedy nie pomogłeś? – pytają politycy i publicyści. Odpowiedzi nie ma. Podobnie jak nie ma jej, gdy Donald Tusk pyta Glapińskiego, jakim cudem teraz chce wyciągnąć z kieszeni 185 mld zł, skoro przez ostatnie lata NBP raportował straty. Kiedy kłamie?

Tej odpowiedzi się nie spodziewajmy – w SAFE 0% chodzi przecież o polityczny efekt, o miraż, o cudowne rozwiązanie, które można sprzedać wyborcom.

Tak oto mamy najważniejszą polityczną wojnę ostatnich miesięcy, której eskalowanie jest na rękę wszystkim. Jest na rękę Donaldowi Tuskowi. Z prostej przyczyny – 59% Polaków jest za tym, by Karol Nawrocki podpisał ustawę o SAFE, więc premier zagarnia pod swoje skrzydła także tych, którzy na Koalicję 15 Października nie głosowali. Może też odwoływać się do uczuć patriotycznych, do obowiązku obrony ojczyzny. To wszystko w naszej sytuacji jest oczywiste i naturalne. Sprawa SAFE pozwala jednoczyć Polaków przy fladze. Ale swoją grę prowadzi również Jarosław Kaczyński. To, że większość Polaków chce podpisania ustawy, nie jest dla niego wielkim problemem. Bo ta nasilająca się awantura i jemu sprzyja.

W SAFE 0% chodzi o polityczny efekt, o cudowne rozwiązanie, które można sprzedać wyborcom.

Kilkanaście dni temu w „Rzeczpospolitej” Piotr Matczuk, współtwórca kampanii wyborczych PiS w latach 2011-2023, analizował przyczyny obecnych kłopotów PiS. I najbardziej chwalił tematy, którymi PiS w ostatnich dwóch miesiącach grało, czyli ataki na Włodzimierza Czarzastego i na program SAFE. Mówił, że to przełamuje pisowski marazm, utwardza wyborców prawicy. Że to powrót do gry. Powrót, który pozwala zjednoczyć PiS, bo wpycha tę partię w kampanijne koleiny. I pozwala zdominować obie Konfederacje.

„Jeżeli politycy Konfederacji będą zachowywać się tak jak do tej pory, to rzeczywiście się nie podniosą. Bo przestali działać. Przestali wyraźnie zabierać głos w ważnych sprawach. W sprawie SAFE czy Czarzastego zostali zdominowani przez PiS. W pewnym sensie sami oddali pole. Wpadli w marazm”. Oto opinia ważnego spin doktora: ruch jest wszystkim, cel jest niczym. Partia musi mieć zadania, musi walczyć i mobilizować. Najlepiej w sprawach, w których może przyciągnąć uwagę, a nawet szokować.

To sposób Kaczyńskiego na odzyskanie politycznej inicjatywy – ważne, żeby przyciągnąć uwagę, żeby mieć swojego apostoła (kandydata na premiera), o którym wszyscy będą mówili, choć przecież szanse na to, że zostanie premierem, ma jak Piotr Gliński. I żeby mieć swoją religię. Bo te poprzednie uschły.

SAFE jest tą nową pisowską religią. Zawiera wszystko. Rodzi się z bluźnierstwa, sprzeciwu wobec uznanej przez wszystkich prawdy, że z pomocą Unii Europejskiej unowocześnimy naszą armię. Kaczyński na to woła: nie chcemy. Unia to Niemcy, a Niemcy to wróg. Nie chcemy nic od wroga. Mamy swój SAFE, swoje rozwiązanie, swoją wiarę. I dopowiada: Ameryka! Bo przecież chodzi o to, żeby zawołać: oni są za Niemcami, my za Ameryką. Silną i zwycięską.

Owszem, ekscesy Donalda Trumpa i jego ambasadora w RP ten obraz podważają. Usłużność PiS wobec Trumpa budzi obrzydzenie. Ale jeśli jest europejski szatan i anielska Ameryka, to taki schemat kusi. I nieważne, że z rzeczywistością niewiele ma to wspólnego, że kolejni fachowcy, opisując działania Kaczyńskiego w sprawie SAFE, łapią się za głowę. Nie ma to znaczenia, bo któż by się martwił opinią faryzeuszy. Do tego można mieć nadzieję, że obóz Trumpa te wysiłki dostrzeże. I nagrodzi wiernych.

Oto tajemnica szarży Kaczyńskiego. Znów jest w centrum zainteresowania, znów stanowi punkt odniesienia. Nie, nie dla mediów, ale dla innych polityków prawicy: i tych w PiS, i tych w Konfederacji, i w Pałacu Prezydenckim. No i dla prawicowych wyborców. To jest ten zamysł.

Bardzo ciekawe, jak ta kampania dla Kaczyńskiego się skończy. ■

eprasa.pl 1cf7f76a50



Nawrocki broni interesów Ameryki i Trumpa

Politycznie chodzi o to, żeby wydawać pieniądze na zakup broni amerykańskiej

PROF. MAREK BELKA
– ekonomista, były premier i były prezes NBP

Rozmawia Robert Walenciak

Na czym polega pomysł prezydenta RP i prezesa NBP – SAFE 0%? Pan to już mówił w jednym z wywiadów: „Propozycja prezydenta Nawrockiego jest dość rozpaczliwa i wydaje się szukaniem sposobu, żeby nie podpisać rządowej ustawy o SAFE”.

– Politycznie chodzi o to, żeby uniknąć jakichkolwiek związków z Unią Europejską i żeby wydawać pieniądze na zakup broni amerykańskiej. To podstawa podstaw. O to chodzi.

A te zapewnienia, że to kredyt 0%?

– Tu chodzi nie o to, żeby jakieś koszty obniżyć, bo jestem przekonany, że na tym akurat prezydentowi w ogóle nie zależy. Tak samo jak nie zależało PiS przez wiele lat, kiedy kupowali różny sprzęt w USA i w Korei.

Na zakup czołgów, haubic i samolotów w Korei Polska brała kredyt na 6%.

– Czyli tak naprawdę chodzi o to, żeby bronić amerykańskich interesów.

I Karol Nawrocki w tej grze bierze udział.

– Przecież to oczywiste. Nawrocki broni interesów Ameryki i swojej przyjaźni z Donaldem Trumpem.

Na tej szali stawia prawie wszystko.

– Przecież amerykańska broń będzie nas przed Rosjanami bronić, przynajmniej taka jest teza. Tylko istnieje pewne ryzyko, bo jeśli będziemy mieli w Waszyngtonie prezydenta pokroju Trumpa czy J.D. Vance’a, jeżeli będziemy mieli takich partnerów, to nie można wykluczyć, że gdy zechcemy użyć Patriotów czy Himarsów do zestrzelenia rosyjskich rakiet, oni mogą nam powiedzieć: nie zgadzamy się, bo nasze biznesy w Rosji mogą ucierpieć. W związku z tym Amerykanie mogą nam nie dać kodów sterujących.

Mogą powiedzieć: dogadajcie się sami z Rosjanami.

– Dlatego Europejczycy twierdzą, słusznie, że poleganie wyłącznie na broni ze Stanów Zjednoczonych jest ryzykowne. Choć czasami nie ma alternatywy. A poza tym może się zdarzyć taka sytuacja – i zdarza się – że tamtejszy sprzęt będzie najlepszy. Ale też najdroższy. Nie chodzi więc o to, żeby w ogóle nie kupować uzbrojenia w Ameryce. Po prostu nie można tego traktować jako jedynego źródła albo nawet głównego. Powinniśmy myśleć, że przede wszystkim trzeba rozbudowywać nasze własne możliwości obronne.

I własne zakłady z ośrodkami badawczymi. Rozwijać nasze badania.

– Przemysł zbrojeniowy w wielu krajach, np. w USA, ale także w Izraelu, przecież był i jest stymulatorem rozwoju najwyższych technologii. Pod warunkiem że się uczestniczy w produkcji.

Tymczasem SAFE Nawrockiego ustawia nas w ten sposób, że odwracamy się od Europy, i od Polski, i kupujemy amerykański sprzęt.

– Jest taki nacisk.

Amerykanie naciskają też Europę w sprawie jej programów zbrojeniowych.

– Bo w tych programach została zapisana wyraźnie preferencja dla europejskich firm. Co Trumpa doprowadza do wściekłości. Przecież nie po to zmusza Europę, żeby wydawała więcej na zbrojenia, by wydawała na sprzęt włoski, francuski czy niemiecki.

Bo powinna kupować przede wszystkim amerykański.

– Naturalnie!

Konflikt gospodarczy między Stanami Zjednoczonymi a Europą jest poważny?

– Tak mi się wydaje. To jedna z rzeczy wręcz niezrozumiałych: Trump traktuje gorzej sojuszników

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1cf7f76a50

niż wrogów. Bo jeżeli wrogiem są Chiny, to jest wobec nich łagodny, bo nic im nie może zrobić. Chińczycy mają taką pozycję, jeśli chodzi o metale ziem rzadkich, że szantażu amerykańskiego mało się boją. No pewnie, że to komplikuje wiele spraw, ale oni są na bardzo silnej pozycji, silniejszej niż Europa, której właściwie jedynym wielkim atutem jest rynek zbytu.

Słabo to wszystko wygląda.

– Nie! Skąd! Myślę, że bardzo dobrze się stało, że mamy program SAFE, ten europejski. Nawet jeśli prezydent go zawetuje, i tak będziemy w stanie wziąć tę pożyczkę, kanałami pozabudżetowymi, choć nie na wszystko.

Bardzo dobrze, że mamy program SAFE, ten europejski. Nawet jeśli prezydent go zawetuje, i tak będziemy w stanie wziąć pożyczkę.

Może pan wytłumaczyć, o co chodzi z tymi miliardami z NBP, które prezes Glapiński ma i chce nimi sypnąć? Z tym złotem?

– Wszyscy o tym złocie… Przecież tu nie chodzi o złoto, tylko w ogóle o rezerwy walutowe. Mówiąc krótko, w NBP jest góra pieniędzy – bilion złotych, który nigdy nie zostanie wydany. Chyba że będziemy realizować takie inicjatywy jak ta z uzbrojeniem. To marnowanie pieniędzy, po to, żebyśmy mogli być dumni z posiadania własnej waluty. A jeżeli chodzi o uruchomienie tych pieniędzy na potrzeby zbrojeniowe, sprawa jest dosyć prosta. Prawo zakazuje bankowi centralnemu finansować deficyt budżetowy. Ale przecież nie musi to być z budżetu. Przecież jesteśmy specjalistami w omijaniu budżetu.

Jak?

– Można to np. robić przez Bank Gospodarstwa Krajowego. W BGK jest zresztą fundusz zbrojeniowy. Można więc przeprowadzić to tak, że fundusz zbrojeniowy emituje obligacje.

A NBP je kupuje.

– W ten sposób fundusz zbrojeniowy, teoretycznie rzecz biorąc, pożycza pieniądze z NBP. A NBP pozyskuje te pieniądze albo ze sprzedaży złota, albo może sprzedawać różne obligacje, papiery finansowe, które ma w swoim skarbcu czy na swoim bilansie. To są albo amerykańskie, albo europejskie, albo azjatyckie papiery wartościowe. Później NBP dostarcza pieniądze temu funduszowi zbrojeniowemu. Obligacje te mogą być bardzo nisko oprocentowane, np. 0% albo 0,25%. Poza tym mogą być obligacjami o bardzo długim okresie wykupu, może nawet 100 lat. Czyli byłby to pieniądz praktycznie za darmo. Jakie jest niebezpieczeństwo? Że jeśli raz to się uda, nasi politycy wpadną na pomysł, żeby różne inne słuszne cele finansować w taki sposób.

Skąd NBP, który w ostatnich latach raportował o stratach, ma takie gigantyczne pieniądze?

– Stąd, że tak naprawdę wszystkie pieniądze, które przychodzą do nas z Brukseli, lądują w skarbcu NBP. Czyli rząd, który otrzymuje pieniądze z Brukseli, sprzedaje je do NBP. A NBP je trzyma. Dlatego, że w gruncie rzeczy nie ma ze strony banków popytu na te pieniądze. Innymi słowy, w Polsce ani się nie inwestuje, ani się nie wydaje pieniędzy na konsumpcję. My po prostu te pieniądze gromadzimy, nie wiadomo po co, w banku centralnym. Gdybyśmy byli w unii walutowej, w strefie euro, nie byłoby w ogóle tej kwestii. Nie byłoby tego skrajnego marnotrawstwa.

Bo gdybyśmy byli w strefie euro, nie potrzebowalibyśmy rezerw.

– Te rezerwy to skrajne marnotrawstwo, nie są nikomu potrzebne i nigdy nie zostaną wykorzystane. Dlatego jestem zadowolony, że Nawrocki ze swoją propozycją wyszedł, gdyż postawił na tapecie większy problem – naszego wejścia do strefy euro. Bo wtedy nie byłoby nawet możliwości trzymania tych rezerw. I te pieniądze mogłyby zostać wykorzystane na cele rozwojowe. A tak bezproduktywnie leżą. To są tak naprawdę koszty posiadania własnej waluty. Kosztuje nas już w tej chwili bilion złotych.

One zabezpieczają złotówkę.

– I nie wiadomo po co. Mówi się, że to zwiększa naszą wiarygodność i stabilność złotego. Tylko że nie przypominam sobie, żeby był przynajmniej jeden kraj na świecie, który w przypadku poważnych perturbacji za pomocą swoich rezerw walutowych przezwyciężył kryzys swojej waluty. Nie! Gdy jest katastrofa, żadne rezerwy nie pomogą. Poza tym rezerwy są potrzebne wtedy, kiedy się prowadzi politykę sztywnego kursu walutowego. A my mamy przecież politykę płynnego kursu walutowego. Te rezerwy są więc potrzebne, nawet teoretycznie, w znacznie mniejszej skali.

A dlaczego do tej pory Glapiński ukrywał te pieniądze przed społeczeństwem?

– Nie ukrywał! Skąd!

Kupował złoto.

– To akurat dobrze, złoto zdrożało i drożeje, w związku z tym wartość tych rezerw rośnie. Obowiązkiem prezesa Narodowego Banku Polskiego jest dbać o to, żeby rezerwy nie malały, tylko rosły. Jak już są, to w kupowaniu złota nie ma nic złego. Choć faktem jest, że złoto przynosi stopę zwrotu zero. Nawet ujemną. Dlatego że jeśli je trzymamy, obojętnie w jakim skarbcu, są koszty utrzymania i przechowania. Ale kiedy złoto drożeje, wtedy nie ma straty, tylko korzyść.

Mógłby kupować ziemię, ziemia też drożeje.

– Są takie banki, które kiedyś kupowały za swoje rezerwy walutowe np. instrumenty dla orkiestry Filharmoników Wiedeńskich, myślę tu o austriackim banku centralnym. My spokojnie moglibyśmy kupić za nasze rezerwy ważne dla nas dzieła sztuki. Tylko że trochę strach, bo jeśli zaczęlibyśmy to robić, odkręcilibyśmy ten kurek, to głupota naszych polityków spowodowałaby, że przetrwonilibyśmy te rezerwy na ich różne niepotrzebne pomysły.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50

Ekonomiczna iluzja, czyli zero „Polskiego SAFE 0%”

Marek Czarkowski

Prezydent Karol Nawrocki, któremu towarzyszył prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński, obwieścił 4 marca br. zgromadzonym na konferencji prasowej dziennikarzom, że „dzięki pracy pana prezesa, efektywności działań prof. Glapińskiego, całego Zarządu Narodowego Banku Polskiego Polacy – można powiedzieć – w ostatnich 30 miesiącach zarobili znacznie więcej niż 185 mld zł potrzebnych do sfinansowania polskiego bezpieczeństwa w najbliższych pięciu latach. (…) Mamy dla SAFE konkretną polską, bezpieczną i suwerenną alternatywę, która nie będzie wiązała się z żadnymi odsetkami finansowymi. Więc jest to »Polski SAFE 0%«”. Pytany przez dziennikarzy, jak zamierza to zrobić, prezydent uchylił się od konkretów.

Lepiej zorientowani w meandrach polskiej polityki komentatorzy dowodzili, że program „Polski SAFE 0%” to pretekst do tego, by Karol Nawrocki odmówił złożenia podpisu pod przyjętą przez Sejm ustawą o Finansowym Instrumencie Zwiększenia Bezpieczeństwa SAFE. Argumenty miał mu podsunąć prezes Glapiński. W rzeczywistości lokatorowi Pałacu Namiestnikowskiego chodziło o to, by nie wzmacniać premiera Tuska i Koalicji Obywatelskiej, za to być może wykonać kolejny krok w drodze po przywództwo na polskiej prawicy, gdyż „Polski SAFE 0%” nie jest programem ani PiS, ani Konfederacji.

Rzucam pomysł, wy go łapcie

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że w obliczu narastającego zagrożenia ze strony Rosji oraz najpoważniejszego kryzysu bezpieczeństwa w Europie decyzja o sposobie finansowania modernizacji polskich sił zbrojnych jest nie tylko wyzwaniem budżetowym, lecz także fundamentalną kwestią bezpieczeństwa narodowego. Zaproponowany przez Unię Europejską program SAFE (Security Action for Europe) przewiduje przekazanie Polsce 43,7 mld euro (ok. 186 mld zł) na modernizację armii w latach 2026-2030. To największy w naszej historii strumień pieniędzy, który ma radykalnie zmienić oblicze polskiej armii. Oczywiście pod pewnymi warunkami. Pierwszym jest wejście w życie przyjętej przez Sejm wspomnianej ustawy.

Decyzja o sposobie finansowania modernizacji sił zbrojnych jest fundamentalną kwestią bezpieczeństwa narodowego.

By tak się stało, musi ją podpisać prezydent Nawrocki.

Drugi – większość pozyskanych w ramach tego programu środków powinna zostać wydana w Europie, a Komisja Europejska ma pilnować, czy w związku z przetargami i późniejszą realizacją zamówień nie dochodzi do korupcji i innych nieprawidłowości. A to bardzo się nie podoba politykom Prawa i Sprawiedliwości, którzy dowodzą, że zmusza się nas do rezygnacji z „suwerenności” i możliwości zakupu uzbrojenia w Stanach Zjednoczonych. Nie jest też tajemnicą, że waszyngtońska administracja ostro zwalcza SAFE, a ambasador Tom Rose już pokazał w Warszawie, do czego jest zdolny. Po stolicy krążą plotki, że Rose spotkał się dwa tygodnie temu z prezesem NBP.

Jarosław Kaczyński, który chwilowo odszedł od przedstawiania naszego kraju jako „rosyjsko-niemieckiego kondominium”, przekonuje teraz, że SAFE służy wyłącznie interesom Berlina, i ostrzega przed „Polską pod niemieckim butem”. Basuje mu w tym poseł Radosław Fogiel, który twierdzi, że nie można „bezrefleksyjnie uzależniać się od pożyczki” promowanej przez niemieckiego ambasadora, i rzecz jasna Mariusz Błaszczak, który z trybuny sejmowej lamentuje, że „niemiecki przemysł zbrojeniowy zarobi na naszych zakupach”.

Podobne sugestie były i są dla lokatora Pałacu Namiestnikowskiego sygnałami, że polska prawica nie życzy sobie jego podpisu pod tą ustawą. Dlatego konferencja prasowa prezydenta z udziałem prezesa NBP bardziej przypominała wiec wyborczy niż poważne spotkanie z mediami o charakterze informacyjnym. W jej trakcie z ust „gwaranta konstytucji” padały hasła: „Polskę na to stać”, „0% odsetek”, „pełna suwerenność i niezależność od brukselskiej warunkowości” i „polskie złoto dla polskiego bezpieczeństwa”.

Przekaz Nawrockiego, kreującego się na turbopatriotę, był prosty: mamy górę złota, którą możemy wydać na zbrojenia, jak chcemy.

eprasa.pl 1cf7f76a50

Planu brak

Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach – a konkretnych propozycji ze strony Karola Nawrockiego było bardzo mało. Dlatego wszelkie próby przejścia od haseł do konkretów dotyczących finansowania armii kończyły się błądzeniem we mgle. Prezydent mówił o „zyskach NBP" oraz „rezerwach złota", lecz w jego wystąpieniu zabrakło harmonogramu transferów, konkretnych instrumentów prawnych, analizy zgodności programu „Polskiego SAFE 0%" z konstytucją RP i ustawą o NBP. Było za to wiele emocjonalnych fraz, które mile łechtały ego „prawdziwych Polaków". Przekaz Nawrockiego, kreującego się na turbopatriotę, był prosty: mamy górę złota, którą możemy wydać na zbrojenia, jak chcemy.

Trzeba odnotować, że stojący u jego boku prezes Glapiński natychmiast zaczął delikatnie się dystansować. Tłumaczył, że środki na SAFE 0% nie będą pochodziły bezpośrednio z rezerw NBP, bo to byłoby „niezgodne z prawem", wspomniał, że „możliwe jest wykorzystanie zysku NBP, który zgodnie z prawem w 95% trafia do budżetu państwa". Zainteresowało to wyłącznie zdeklarowanych fanów programu SAFE. Prezes powtórzył to następnego dnia na kolejnej konferencji prasowej, dodając, że bank centralny działa i będzie działał w granicach prawa.

Adam Glapiński nie miał wyjścia. Dobrze wie, że w latach 2022-2025 kierowany przez niego bank wykazywał straty – łącznie może to być nawet ok. 100 mld zł (dane za 2025 r. nie zostały jeszcze opublikowane). Dlatego sugerował, że dodatkowe pieniądze na prezydencki program SAFE 0% mogą pochodzić ze „specjalnych mechanizmów księgowych". Jakich? To na razie tajemnica. Chyba byliśmy świadkami żonglerki słownej w jego wykonaniu, a nie konkretów godnych wybitnego ekonomisty i polityka.

Prezes NBP musi być ostrożny. W roku 2009 miał zamienić dom w Wilanowie na podwarszawską willę bez dopłaty gotówkowej. Dziennikarze pisali, że pośrednio należała ona do spółki powiązanej z biznesmenem Robertem Szustkowskim, związanym jakoby z rosyjskimi oligarchami. Sugerowano, że sprawą powinny się zająć nasze służby specjalne.

Glapiński musi też pamiętać, że kierowany przez niego bank centralny ma przed sobą marne widoki. Do wygenerowania potrzebnych środków na wojsko konieczna byłaby emisja pieniędzy, co oznaczałoby wzrost inflacji i pogwałcenie prawa, albo trzeba by sięgnąć do rezerw – co prezes Glapiński (na razie) wykluczył.

Rodzi się pytanie, czy prezydent Nawrocki o tym wiedział. „Gwarantowi konstytucji" ktoś powinien wytłumaczyć, że zysk NBP nie jest dodatkowym, nadzwyczajnym źródłem finansowania budżetu, lecz standardowym mechanizmem, który funkcjonuje od lat i jest wkalkulowany w finanse publiczne. To nie deszcz złota, który pojawia się na życzenie głowy państwa. Możliwości prezes NBP ma ograniczone: albo będzie to sprzedaż złota na rynku – co zmniejszyłoby rezerwy NBP i jest wątpliwe, by przyniosło zapowiadane przez prezydenta miliardy, albo wykorzystanie złota jako zabezpieczenia dla pożyczek międzynarodowych, czyli zadłużenie się, tylko w innej formie.

Uszczuplenie rezerw złota przez Narodowy Bank Polski mogłoby zostać odczytane jako sygnał osłabienia fiskalnego. A to oznaczałoby wyższe oprocentowanie obligacji emitowanych przez skarb państwa. Wykorzystanie złota jako zabezpieczenia także nie jest „darmowe" – pożyczki pod zastaw złota również generują koszty, choć mogą być one niższe niż standardowe oprocentowanie kredytów.

Nieoficjalnie wspomina się o możliwości przeksięgowania wartości rezerw złota posiadanych przez NBP. W wyniku tego zabiegu pieniądze jako zysk trafiłyby do budżetu, lecz dopiero w przyszłym roku, a następnie mogłyby zostać przeznaczone na zbrojenia. Takie działanie byłoby zgodne z prawem, lecz nie przyniosłoby obiecywanych 185 mld zł.

W piątek 6 marca br. premier Tusk powiedział, że „z serdeczną niecierpliwością czeka na konkretne szczegóły" prezydenckiego projektu. I zadeklarował, że „jeśli jeszcze dziś je otrzyma, to w poniedziałek w Sejmie będzie projekt ustawy dotyczący możliwości uruchomienia tych środków".

W Telewizji Republika poseł Dariusz Stefaniak (PiS) stwierdził, że unijny SAFE „to niemiecki projekt, dlatego prezydenckie 0% go boli!". W tym samym duchu wypowiadali się inni politycy Prawa i Sprawiedliwości.

Niejako przy okazji pojawia się kwestia precedensu. Jeśli dziś wykorzystamy rezerwy złota do finansowania wydatków obronnych, co stanie się jutro, gdy pojawi się kolejna pilna potrzeba? Rozbudowa infrastruktury? Zwiększenie wydatków na edukację i ochronę zdrowia? Wszystko to jest ważne i może być przedstawione jako „priorytet narodowy". Jeśli politycy zaczną traktować rezerwy NBP jako dodatkowy portfel na bieżące wydatki, bardzo szybko się ich pozbędziemy, a to prosta droga do katastrofy finansów.

Nawrocki i Glapiński, którzy zasłynęli z licznych kontrowersji, wzięli się do rozwalania programu, który mógł i powinien zwiększyć nasze możliwości obronne.

Koszty politycznego populizmu

Przykład prezydenckiego programu „Polski SAFE 0%" jest najlepszą ilustracją skarlenia naszej klasy politycznej. Karol Nawrocki i Adam Glapiński, którzy w przeszłości zasłynęli z licznych – bardzo delikatnie mówiąc – kontrowersji, wzięli się do rozwalania programu, który mógł i powinien zwiększyć nasze możliwości obronne.

Żyjemy w świecie, w którym liczy się argument siły, a nie siła argumentu. I jeśli chcemy czuć się bezpieczni, powinniśmy mieć wojsko dysponujące odpowiednio nowoczesnym

eprasa.pl 1cf7f76a50



Spotkanie „SAFE – bezpieczna Polska" w PIT-RADWAR w Kobyłce. Nz. Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, pełnomocnik rządu ds. Instrumentu na rzecz Zwiększenia Bezpieczeństwa Europy. 27 lutego 2026 r.

uzbrojeniem. Tymczasem ludzie, którzy mają się za przywódców narodu, „turbopatriotów" i „strażników konstytucji", w imię politycznych ambicji ryzykują interesem narodowym.

Sytuacja geopolityczna jest najtrudniejsza od dziesięcioleci: Rosja prowadzi agresywną wojnę w Ukrainie, otwarcie grozi państwom NATO, modernizuje swoje siły zbrojne i testuje granice zachodniego odstraszania. Stany Zjednoczone i Izrael zaatakowały Iran i Bliski Wschód stanął w ogniu.

Polska ma najdłuższą granicę z Ukrainą i Białorusią i znajduje się na pierwszej linii potencjalnego ataku. Dlatego każdy miesiąc opóźnienia modernizacji sił zbrojnych zwiększa ryzyko. Prezydent Nawrocki, domagając się rozpoczęcia dyskusji z przedstawicielami rządu Donalda Tuska na temat SAFE 0% chce, mówiąc kolokwialnie, wpuścić premiera w maliny. Kancelaria Prezydenta nie ma żadnych realnych propozycji wygenerowania prawie 200 mld zł i będzie się ich domagała od ludzi Tuska. Oczywiście nie ma znaczenia, jakie rozwiązania zostaną im przedstawione. Wszystkie będą złe, a „gwarant konstytucji" będzie publicznie dowodził, że urzędnicy rządowi go sabotują i są nierobami. Dlatego należy się spodziewać prezydenckiego weta.

Nasi europejscy sojusznicy z uwagą obserwują tę debatę. Jeśli Polska zrezygnuje z korzystnego dla niej programu zbrojeniowego na rzecz niejasnej alternatywy opartej na zasobach banku centralnego, może to zostać odebrane jako sygnał niestabilności i braku politycznej konsekwencji. Nie będzie to sprzyjało budowie wizerunku naszego kraju jako wiarygodnego i przewidywalnego partnera.

Prezydent Nawrocki zapewnia, że jego propozycja wzmacnia polską suwerenność. Ale czym jest suwerenność, jeśli nie można jej obronić? Suwerenność to nie tylko prawo do decydowania o sobie, lecz także realne środki militarne, które czynią tę decyzyjność wiarygodną.

Jeśli w pogoni za symboliczną niezależnością od Brukseli i Berlina (która i tak nie dotyczy kluczowych decyzji obronnych) Polska zrezygnuje z realnych pieniędzy na modernizację wojska, będziemy mieli suwerenność na papierze, a jeśli Rosja nas zaatakuje, to „gwarant konstytucji" i jego polityczni komilitoni nie zdążą zmienić bielizny, a już będzie po wszystkim.

Historia pełna jest przykładów państw, które w obliczu zagrożenia wybierały wygodne iluzje, zamiast trudnych, lecz koniecznych decyzji finansowych, i płaciły za to wysoką cenę. Tylko czy Karol Nawrocki i Adam Glapiński o tym wiedzą?

Marek Czarkowski

Kancelaria Prezydenta nie ma żadnych realnych propozycji wygenerowania prawie 200 mld zł i będzie się ich domagała od ludzi Tuska.

eprasa.pl 1cf7f76a50

Ostatnie podrygi pani Manowskiej

Przyjaciółka Andrzeja Dudy kończy z przytupem sześcioletnią kadencję pierwszej prezes Sądu Najwyższego

Andrzej Sikorski



Małgorzata Manowska na zaprzysiężeniu prezydenta Karola Nawrockiego, 6 sierpnia 2025 r.

Wprawdzie Małgorzata Manowska nie osiągnęła jeszcze przewidzianego dla sędziów wieku emerytalnego (65 lat), ale wedle doniesień „Faktu" możliwe jest, że przejdzie w stan spoczynku wcześniej. Tabloid nie tylko chce odesłać zasłużoną dla PiS prawniczkę na emeryturę, ale też kwestionuje jej prawo do pobierania świadczenia, które będzie wynosić kilkadziesiąt tysięcy złotych. Jak wiadomo, Manowska została wybrana do Sądu Najwyższego przez nielegalną Krajową Radę Sądownictwa, a jako politycznie zaangażowany neosędzia nie zapewnia, zgodnie z orzeczeniem m.in. europejskich trybunałów, rzetelnego procesu, wydawane przez nią wyroki prowadzą do łamania praw człowieka i mogą być podważane.

Jak twierdzi konstytucjonalista prof. Marek Chmaj, na przejściu do SN propisowska prawniczka skorzystała materialnie. „Wyższe wynagrodzenie, dodatki związane z funkcją pierwszego prezesa, a także członkostwo w neo-KRS – wszystko to wiązało się z istotnymi korzyściami finansowymi. Awans opłacał się jej pod względem materialnym, niestety jednocześnie przyczyniła się do osłabienia wymiaru sprawiedliwości. (…) Jestem przekonany, że w przyszłości neosędziowie – w tym także pani Manowska – będą musieli ponieść konsekwencje swoich decyzji, również w wymiarze finansowym. Nie zdziwię się, jeśli ich uposażenia w stanie spoczynku zostaną poddane weryfikacji, a być może nawet ograniczone w związku z ich postawą", stwierdził profesor.

Gdyby zaproponowana przez ministra Waldemara Żurka ustawa praworządnościowa weszła w życie, Małgorzata Manowska powróciłaby do poprzedniego miejsca pracy, czyli na urząd sędziego Sądu Apelacyjnego w Warszawie, a prawie osiem lat orzekania w Sądzie Najwyższym zostałoby wymazane z jej CV.

Jednak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że taki scenariusz jest mało prawdopodobny, SN został już w większości obsadzony przez neosędziów i podporządkowany PiS, a urzędująca jeszcze (do maja) pierwsza prezes ma na głowie inne zmartwienia.

Tajne zgromadzenie neosędziów

27 lutego br. zakończyło się posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego Sędziów Sądu Najwyższego, podczas którego wskazano pięciu kandydatów na następcę Manowskiej – to spośród nich prezydent wybierze nowego pierwszego prezesa. Wiadomo, że będzie nim neosędzia, gdyż posiedzenie zostało zbojkotowane przez „starych" sędziów, podważających jego legalność. Prawnicy ci w wydanym oświadczeniu stwierdzili, że zgromadzenie zwołała osoba powołana na urząd pierwszego prezesa SN z naruszeniem konstytucji i ustawy o SN, a udział sędziów powołanych po wadliwych procedurach przez upolitycznioną KRS uniemożliwia uznanie obrad za zgodne z prawem.

W odwecie Manowska odwołała ze stanowiska przewodniczącego I wydziału w Izbie Karnej legalnego sędziego Dariusza Świeckiego, który podpisał oświadczenie. Utajniła też obrady, choć dziennikarze zgłaszali chęć udziału w zgromadzeniu. Było to skandaliczne posunięcie. Nie wiemy zatem, jak przebiegało Zgromadzenie, czy wszystko odbywało się zgodnie z procedurą, jak kandydaci odpowiadali na pytania i jak przedstawiali swoją wizję praworządności.

eprasa.pl 1cf7f76a50

Gdy w 2020 r. na pierwszą prezes SN wybierano Manowską, obrady zgromadzenia były jawne, choć trwała pandemia. Ale ówczesna legalna pierwsza prezes SN Małgorzata Gersdorf nie miała nic do ukrycia przed Polakami.

Na ostatniej prostej swojego urzędowania Małgorzata Manowska postanowiła zrobić szach-mat i zalegalizować neosędziów, czyli też samą siebie. W tym celu złożyła wniosek, aby pełny skład SN rozstrzygnął, czy wyroki wydawane z udziałem neosędziów są ważne, i wydał uchwałę, która stanowiłaby powszechnie obowiązującą zasadę prawną. Problem w tym, że w takim składzie musieliby zasiadać neosędziowie, co byłoby absurdem do kwadratu, gdyż nawet dziecko wie, że nie można wydawać wyroków we własnej sprawie. Waldemar Żurek zagrywkę Manowskiej nazwał „prawnym polexitem", bo zarówno Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, jak i Europejski Trybunał Praw Człowieka wypowiedziały się już w tej sprawie. Ale przecież pisowscy prawnicy nie uznają wyroków europejskich trybunałów, jeśli orzeczenia te są niezgodne z ich interesem.

Manowska poszła za ciosem i dosłownie rzutem na taśmę – w przededniu wydania przez Komisję Wenecką opinii dotyczącej ministerialnego projektu ustawy o statusie neosędziów – zwróciła się do organu doradczego Rady Europy ds. prawa konstytucyjnego o odroczenie wydania opinii i przyjęcie jej w trybie zwykłym, a nie pilnym. Zgodnie z żądaniem neosędzi miałoby to się stać dopiero po przeprowadzeniu w Sejmie debaty, podczas której – jak można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć – posłowie PiS będą rozdzierać szaty nad stanem praworządności w państwie rządzonym przez „zbrodniczą koalicję 13 grudnia".

Pierwsza prezes w składzie porcelany

Na tym jednak nie kończą się „porządki" Manowskiej. Otóż złożyła ona do atrapy Trybunału Konstytucyjnego wniosek w sprawie uznania za



Pikieta pod hasłem „Zatrute państwo, zatrute społeczeństwo, zatruta Odra" pod Sądem Rejonowym w Zielonej Górze, 18 sierpnia 2022 r.

niezgodny z konstytucją obowiązku kontrasygnaty premiera przy wyznaczaniu przez prezydenta sędziów Sądu Najwyższego m.in. na szefów izb SN, a także do orzekania w Izbie Odpowiedzialności Zawodowej SN. Chodzi o to, że Donald Tusk nie zamierza być notariuszem politycznych decyzji środowiska PiS i odmawia podpisywania postanowień prezydenta dotyczących SN.

Gdy Andrzej Duda miał wyznaczyć osobę pełniącą obowiązki prezesa Izby Pracy SN po zakończeniu kadencji legalnego sędziego Piotra Prusinowskiego na tym stanowisku, premier zadeklarował, że kontrasygnaty już nie udzieli. Wtedy kontrolę nad izbą przejęła Manowska. Jak się okazało, nielegalnie, bo obowiązki prezesa izby do czasu wyboru następcy sędziego Prusinowskiego powinien pełnić najstarszy służbą przewodniczący wydziału, czyli Dawid Miąsik. Po zapowiedzi Donalda Tuska, że złoży zawiadomienie do prokuratury, Manowska wyznaczyła sędziego Miąsika do tymczasowego kierowania izbą, ale zaraz w wyniku kombinacji pozbyła się niewygodnego prawnika. Pierwsza prezes SN przeniosła swoją koleżankę, również neosędzię, Agnieszkę Górę-Błaszczykowską, z Izby Cywilnej do Izby Pracy, a następnie zarządzeniem upoważniła ją do tymczasowego wykonywania czynności związanych z organizacją i kierowaniem Izbą Pracy.

Nie udało się natomiast Małgorzacie Manowskiej zaszachować wymiaru sprawiedliwości w głośnej sprawie umorzenia śledztwa dotyczącego aborcji, którą przeprowadziła dr Gizela Jagielska w szpitalu w Oleśnicy. Przypomnijmy, ginekolożka wykonała zabieg usunięcia 37-tygodniowego płodu, u którego w późnym stadium rozwoju wykryto poważną chorobę. Donoszenie takiej ciąży nie tylko wiązałoby się ze śmiercią dziecka, ale również stanowiło zagrożenie dla zdrowia i życia matki. Sprawa wywołała potężne emocje. Środowiska prawicowe i katolickie przypuściły atak na lekarkę, a prokuratura wszczęła śledztwo, czy nie doszło do nielegalnej aborcji.

Małgorzata Manowska została wybrana do Sądu Najwyższego przez nielegalną Krajową Radę Sądownictwa.

FOT. FILIP NAUMIENKO/ REPORTER, NEWSLUBUSKI/ EAST NEWS

eprasa.pl 1cf7f76a50

Kilka miesięcy później Manowska się obudziła i na oficjalnym papierze Sądu Najwyższego złożyła zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez dr Gizelę Jagielską. Jak wynikało z treści pisma, pierwsza prezes SN o sprawie dowiedziała się z mediów (sic!). Prokuratura śledztwo umorzyła, nie dopatrując się przestępstwa w postępowaniu lekarki. Manowska złożyła zażalenie, ale zarówno prokuratura, jak i sąd uznały, że pisowska prawniczka nie ma do tego uprawnień, nawet będąc najważniejszym sędzią w Polsce.

Profesorskie szlify

Jednak sprawa dla przyjaciółki Andrzeja Dudy kluczowa, bo dotycząca jej honoru i urażonych ambicji, rozstrzygnie się przed Naczelnym Sądem Administracyjnym. Manowska nie chciała być gorsza od swoich poprzedników (Adama Strzembosza, Lecha Gardockiego i Małgorzaty Gersdorf) i postanowiła zostać profesorem. Członkowie Zespołu Nauk Społecznych Rady Doskonałości Naukowej uznali jednak, że to dla niej za wysokie progi. Za wystąpieniem do prezydenta o nadanie jej tytułu profesorskiego było 13 członków zespołu, 16 przeciwko, a dwóch wstrzymało się od głosu. Przeciwko byli też członkowie prezydium RDN, chociaż głosowano dwukrotnie, co dotychczas się nie zdarzało. Ale przewodniczącym RDN jest prof. Bronisław Sitek. Wedle ustaleń OKO.press Sitek, choć to „człowiek o dużych wpływach w PSL i Kościele, niedoszły ksiądz, wykładowca prawa rzymskiego i cywilnego", ma dobre relacje z PiS, a swoje stanowisko zawdzięcza byłemu ministrowi edukacji i nauki Przemysławowi Czarnkowi. Według informatorów portalu to Czarnek zabiegał o awans naukowy dla Manowskiej.

I pewnie nad profesurą dla neosędzi głosowano by aż do skutku, ale sprawą zainteresowali się dziennikarze, którzy wywęszyli przygotowywany przekręt. Ostatecznie RDN przychyliła się do opinii, które były negatywne dla Manowskiej, i uznała, że jej dorobek naukowy nie nosi znamion wybitności, a jej osiągnięć nie można uznać za „wybijające się ponad przeciętność".

Pierwsza prezes SN złożyła skargę na decyzję RDN do wojewódzkiego sądu administracyjnego. Wytykała uchybienia formalne oraz żaliła się na nieprzychylnych recenzentów, stronniczość członków RDN, a nawet nagonkę ze strony mediów. Sąd jednak oddalił skargę, twierdząc, że procedura rozpatrzenia wniosku o nadanie jej tytułu profesorskiego odbyła się zgodnie z prawem.

Przy okazji najważniejsza prawniczka w Polsce dowiedziała się kilku podstawowych faktów, które powinni znać studenci pierwszego roku prawa. Otóż sąd administracyjny nie ma uprawnień do merytorycznej kontroli recenzji stanowiących podstawę rozstrzygnięcia RDN i nie może oceniać, czy osoba ubiegająca się o nadanie tytułu profesora ma wybitne osiągnięcia naukowe, czy też nie. Rolą sądu „nie jest bowiem wkraczanie w ocenę dorobku naukowego osoby ubiegającej się o nadanie tytułu naukowego, dokonaną w recenzjach naukowych – nawet jeżeli dorobek ten dotyczy nauk prawnych". Rolą sądu administracyjnego nie jest też jakakolwiek ocena etyczna lub moralna samego kandydata na profesora, a nawet zajmowanie się rzekomą nagonką medialną. Dziennikarze mają prawo wyrażać swoje opinie o pierwszej prezes SN, byle nie naruszali jej dóbr osobistych, ale jeśli do tego by doszło, Manowska powinna dochodzić roszczeń przed sądem powszechnym. Pierwsza prezes SN chyba nie wzięła sobie do serca uzasadnienia wyroku, bo złożyła apelację do NSA.

Zdaje się, że do Manowskiej niewiele dociera. Niedawno udzieliła osobliwego wywiadu „Rzeczpospolitej". Wydawać by się mogło, że po zdemolowaniu i sparaliżowaniu przez PiS wymiaru sprawiedliwości – do czego przyłożyła rękę – najdzie ją choć odrobina refleksji. „Mam żal do polityków wszystkich opcji za to, co zrobili z Polską, a w szczególności z polskim wymiarem sprawiedliwości", powiedziała. Przy czym nie miała na myśli upolitycznienia sądownictwa, chodziło jej o zaniechanie wprowadzenia takich reform jak „spłaszczenie struktury sądownictwa, ograniczenie decydowania przez KRS o awansach sędziowskich czy stworzenie zespołów orzeczniczych sędziów".

Mało tego! Zdaniem Manowskiej obecnie mamy do czynienia z zamordyzmem. „Porównując jednak rozwiązania wprowadzone do 2023 r. z tymi, które teraz wchodzą w życie, stwierdzam, że poprzednia ekipa mogłaby się uczyć od obecnej, jak naruszać prawo. Skala łamania prawa jest obecnie bezprecedensowa", stwierdziła butna neosędzia.

Andrzej Sikorski



Wybierz e-wydanie

PRZEGLĄD zawsze pod ręką
– gdziekolwiek jesteś

Przegląd

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50

Przedstawiamy kolejną grupę czytelników, którzy poparli nasz apel o ustawę uzależniającą od referendum ewentualne wyjście z Unii Europejskiej: **Piotr Gordon, Zdzisław Kopyś, Agnieszka i Paweł Pankowscy, Jan Rułka, Maciej Martyna, prof. dr hab. Kazimierz Łastawski, Zdzisław Smagalski.**

Wiele osób nie uzmysławia sobie skutków wystąpienia Polski z Unii. To kłopoty z podróżowaniem i pracą w krajach Unii, ze sprzedażą tam polskich towarów, droższy import, utrata przez rolników dopłat itd. Napiszcie o tym.

Piotr Gordon

•

Popieram apel redakcji.

Zdzisław Kopyś

•

Z pełnym przekonaniem popieramy wraz z żoną apel redakcji o referendum w sprawie ewentualnego polexitu. Nie wyobrażamy sobie życia poza strukturami UE, tak samo jak nie wyobrażamy sobie, aby zdecydowała za nas w tej sprawie przypadkowa, również patoprawicowa ekipa, która być może (oby nie) przejmie pełnię władzy w przyszłym roku. Zagrożenie takim scenariuszem jest realne. W tej sprawie powinien zdecydować NARÓD. Wielkie ukłony dla prof. Andrzeja Romanowskiego za to, że zwrócił uwagę na ten problem w swoim, świetnym jak zawsze, felietonie.

Agnieszka i Paweł Pankowscy

•

Popieram apel o utrudnienie polexitu. Jedynie referendum możliwe jest w tej sprawie. Kilkanaście lat przepracowałem etatowo w krajach „starej Unii" i przekonałem się, jak prężnie działają np. we Francji i we Włoszech związki zawodowe. Tam pracodawca musi bezwzględnie przestrzegać układu zbiorowego podpisanego z pracownikami. A zwolennikom polexitu polecam, aby się dowiedzieli od Brytyjczyków, jak im „się świetnie żyje" po brexicie.

Jan Rułka

•

Popieram inicjatywę „Przeglądu" w sprawie ustawy utrudniającej wyjście Polski z UE.

Maciej Martyna

•

W pełni popieram racjonalną inicjatywę redakcji na rzecz uchwalenia ustawy sejmowej, która mogłaby stabilizować działalność Polski w UE. Unia jest dla narodu polskiego podstawowym czynnikiem rozwoju cywilizacyjnego i gospodarczego kraju. Polska zyskała środki unijne korzystne dla gospodarki i rolnictwa. Bądźmy świadomi, że głównymi przeciwnikami UE są Rosja, prezydent Trump i niechętni jej demagogiczni politycy polscy. Nie można utożsamiać Unii z interesami Niemiec.

Prof. dr hab. Kazimierz Łastawski

•

Skoro naród w referendum podjął decyzję o wejściu do Unii Europejskiej, to w referendum powinien zdecydować o wyjściu z niej lub pozostaniu.

Zdzisław Smagalski

APEL

Nastroje społeczne w Polsce ewoluują w niebezpiecznym kierunku. Jeszcze niedawno poziom polskiego entuzjazmu dla Unii Europejskiej był jednym z najwyższych na kontynencie. Dziś, choć zdecydowana większość naszego społeczeństwa chce pozostać w Unii, nadal być członkiem europejskiej rodziny, to jednak przybywa zwolenników jej opuszczenia, skupionych w PiS i Konfederacjach. Opiniom takim nie pomaga ośrodek prezydencki, zapatrzony w Donalda Trumpa, a więc i w jego politykę niechętną Unii. Jesteśmy przekonani, że Koalicja 15 Października utrzyma władzę do końca kadencji, wierzymy, że po wyborach powstanie ponownie koalicja proeuropejska, ale wybory te odbędą się już za półtora roku, trzeba więc działać natychmiast.

Warto bowiem pamiętać: wyjście Polski z Unii Europejskiej byłoby łatwe do przeprowadzenia. Wystarczyłaby zwykła większość parlamentarna, a następnie podpis prezydenta. Taki jest tryb wypowiadania umów międzynarodowych. Rzecz jednak w tym, że – po pierwsze – akces do Unii Europejskiej nie jest zwyczajną umową. Po drugie, akces ten dokonał się na mocy ogólnonarodowego referendum. Przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi, gdyby decyzja całego narodu mogła być unieważniona przez tymczasową większość w parlamencie. Nie mówiąc już o tym, że byłoby to zapewne niezgodne z konstytucją.

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest podstawową sprawą dla naszego bytu narodowego. Nie wolno oddawać go politycznym awanturnikom i powierzać przypadkowym partyjnym układom.

W tej sytuacji APELUJEMY do wszystkich posłów i senatorów, niezależnie od politycznej orientacji, o wsparcie na rzecz ustawy o referendum.

Zespół „Przeglądu"

eprasa.pl 1cf7f76a50

Podcinanie skrzydeł zetkom

Pokolenie Z na rynku pracy wcale nie jest roszczeniowe



Kornel Wawrzyniak

Przedstawiciele pokolenia Z, chociaż dopiero wchodzą na rynek pracy, już się zmagają z negatywnymi stereotypami na swój temat. Media głównego nurtu kreują obraz zetek jako pracowników roszczeniowych, leniwych i narzekających. Najmłodszym dorosłym obrywa się też w internecie, gdzie wyśmiewa się ich jako duże dzieci, które do pracy najchętniej przyszłyby z mamą, bo ona wszystko za nich zrobi. Legendarne są opowieści o procesach rekrutacyjnych. Historie w stylu: mieli przyjść na rozmowę o pracę, ale skorzystali tylko z toalety i poszli do domu.

Oczywiście jest w tym wszystkim ziarno prawdy. Na ile jednak ten obraz jest przekłamany? Być może zetki to po prostu pierwsze pokolenie, które zrozumiało, że praca nie musi być sensem życia? To zaś nie wpasowuje się w narrację o pracy wtłaczaną nam do głów od czasu transformacji. Wygodną jedynie dla przedsiębiorców i wielkich korporacji.

Łabędzi śpiew

Do 2030 r. przedstawicielki i przedstawiciele pokolenia Z (inaczej Gen Z, zoomersi, czyli osoby urodzone w latach 1995-2012) będą stanowić niemal jedną trzecią globalnego rynku pracy, co podkreśla Światowe Forum Ekonomiczne. Ogólnopolskie badanie „Work War Z" – tytuł odwołuje się do filmu o niszczącej świat epidemii zombie, ale konkluzje są zdecydowanie dalekie od apokalipsy – pokazuje zaś, że pokolenie Z to grupa pracowników o jasno określonych oczekiwaniach wobec rynku pracy. Co ciekawe, wbrew stereotypom te oczekiwania bardzo często pokrywają się z priorytetami starszych pokoleń.

„Największe znaczenie dla tej grupy ma atrakcyjne wynagrodzenie, docenienie przez pracodawcę oraz możliwość zachowania równowagi między życiem zawodowym a prywatnym. Firmy, które dostosują swoje strategie do tych potrzeb, mają realną szansę na przyciągnięcie i zatrzymanie młodych talentów oraz budowanie stabilnych i zaangażowanych zespołów. By to osiągnąć, konieczne jest jednak wprowadzenie zmian w obszarze wynagrodzeń, kultury organizacyjnej, komunikacji, elastyczności pracy oraz strategii rozwoju zawodowego. Ma to szczególne znaczenie w kontekście budowania zespołów międzypokoleniowych", czytamy we wnioskach z raportu.

Słowem, pracodawcy muszą się dostosować do zmian społecznych,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1cf7f76a50

zamiast narzekać, że kiedyś to się pracowało, a teraz już nie. Skoro jednak oczekiwania kilku pokoleń pokrywają się na poziomie ogólnym np. co do zarobków (45% respondentów badania „WWZ" uważa, że to jeden z dwóch najważniejszych czynników motywujących, a 23% wskazuje docenienie w pracy), warto się zastanowić, dlaczego postrzega się pracowników z pokolenia Z jako dziwaków z innej bajki. Wszystko zaczyna się od rodzimego biznesu. Przypomnijmy słowa Rafała Brzoski, który jest kopalnią cytatów: „Do roboty chodziło się w czasach komunizmu. I niestety niektórym tak już zostało. Przychodzą do pracy o 8, wychodzą o 16 i nie odbierają telefonu służbowego albo wyłączają od razu za progiem. Po 16 całkiem wypisują się z życia firmy – i to właśnie jest przychodzenie do roboty. Natomiast człowiek, do którego mogę zadzwonić z pytaniem o 21 albo wysłać maila, a on odpisuje po pół godziny – to dla mnie wartościowy pracownik nowoczesnej organizacji".

Media głównego nurtu kreują obraz zetek jako pracowników roszczeniowych, leniwych i narzekających.

mediów głównego nurtu, które do spółki z wielkim biznesem podtykają nam sugestie, jak mamy postrzegać pracę. Ten tandem kształtuje nasze traktowanie pracy od czasów transformacji. Warto, za Zofią Smełką-Leszczyńską, autorką książki „Cześć pracy. O kulturze zap***dolu", zadać sobie pytanie o dysproporcję pomiędzy materiałami medialnymi na temat praw pracowniczych czy strajków załóg a wywiadami z reprezentantami biznesu.

Te same media suflują nam utyskiwania na pokolenie Z, które ma być koszmarem na rynku pracy. Najbardziej „zatroskane" o młodzież tytuły to wszelkiego rodzaju quasiekonomiczne portale, takie jak Business Insider, Money.pl, Forbes i oczywiście wiecznie zatroskana o utrzymanie postbalcerowiczowskiego status quo „Gazeta Wyborcza". Głównym zarzutem wobec zetek jest w tych tytułach roszczeniowość. Co warte podkreślenia, na pokolenie Z patrzy się jak na nastolatki idące do pierwszej pracy. Tymczasem najstarsi przedstawiciele tego pokolenia, z rocznika 1995, mają dziś 31 lat. Najmłodsi z kolei, z rocznika 2012, mając lat 13, przeważnie nawet jeszcze o pierwszej pracy nie myślą.

Zbiór zachowań określanych przez media głównego nurtu jako „roszczeniowość" zetek obejmuje m.in. oczekiwanie godnych zarobków i umowy o pracę, tego, że staż będzie płatny, a sama praca trwać będzie tyle godzin, ile ma się w umowie. To ostatnie jest wręcz zbrodnią wśród tuzów

Chociaż ten wywód nie dotyczył bezpośrednio zetek, to ich postawa na rynku pracy sprawia, że słowa szefa InPostu sprzed 12 lat fatalnie się zestarzały.

Brzosce coś dzwoni, ale nie ma on nawet pewności co. Rozróżnienie na wspomnianą „robotę" i „pracę" ma szerokie podłoże filozoficzne. Pojęcie pracy właściwie od czasu rewolucji przemysłowej nie jest odpowiednio przemyślane ani ugruntowane. Najczęściej spotykamy się z dwiema skrajnymi narracjami. Stąd pomieszanie pojęciowe nawet

Być może zetki to po prostu pierwsze pokolenie, które zrozumiało, że praca nie musi być sensem życia.

u ultrabiznesmena Brzoski, który w swoim rozumieniu pracy paradoksalnie okazuje się… marksistą. Jeśli, zakrztusiwszy się, opluli państwo teraz gazetę owsianką czy kawą, to już śpieszę z wyjaśnieniem.

W ujęciu marksistowskim praca jest najważniejszą formą uczestnictwa człowieka w społeczeństwie. Praca człowieka definiuje, to ona go tworzy, ale też może zniekształcić ludzką naturę. W ostateczności może nawet człowieka odczłowieczyć. Praca jest tutaj świadomą działalnością, która ma na celu wytworzenie dóbr oraz samorozwój (czy nie brzmi to jak cytat ze współczesnych tuzów „kołczingu"?). Człowiek budujący swoją tożsamość poprzez pracę to nikt inny jak kowal własnego losu, czyli *homo faber*. Zgodnie z analizą Marksa kapitalistyczne stosunki produkcji ukształtowały się w Europie w momencie, gdy praca została uznana za towar. Chłopi zyskali możliwość sprzedaży własnej siły roboczej, jednocześnie byli do tego zmuszeni ze względu na utratę ziemi oraz narzędzi produkcji. W tym modelu ludzie oferują swoją siłę roboczą. Nie sprzedają więc efektów swojej pracy, lecz sam proces jej wykonywania. Otrzymane w zamian środki finansowe umożliwiają im utrzymanie.

Homo faber przeciwstawiany jest przez Hannah Arendt *animal laborans*, chodzącemu do „roboty". Ten ostatni termin pochodzi od słowiańskiej ciężkiej pracy, pańszczyzny. U autorki „Kondycji ludzkiej" ów człowiek pracujący jest zorientowany wyłącznie na zaspokajanie potrzeb biologicznych i przetrwanie. Dodatkowo praca jest uciążliwa, ponieważ w „robocie" pracownik często traci poczucie sprawczości. Gdy stajemy się trybikiem w maszynie lub jej przedłużeniem, nasze zajęcie zarobkowe zamienia się w bezsensowną harówkę.

Pokoleniu Z chyba najbliżej w tym wszystkim do ujęcia pracy w duchu Tadeusza Kotarbińskiego, który mówił o „człowieku dobrej roboty". Dobra robota to taka, w której działanie jest skuteczne i wartościowe. To zaś może oznaczać, że chodzenie do pracy ma jakiś sens dla pracownika.

Zetki wzięli pod lupę również niemieccy analitycy z Instytutu Badań nad Zatrudnieniem Federalnej Agencji Zatrudnienia. Okazuje się, że stereotypowe stwierdzenia, że przedstawiciele pokolenia Z są nielojalni, roszczeniowi, nie radzą sobie ze stresem i nie chcą pracować ponad normę, nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości. Z analiz wynika,

eprasa.pl 1cf7f76a50

że to bardzo pracowite pokolenie. Wskaźnik zatrudnienia osób w wieku 20-24 lata wzrósł przez ostatnie 10 lat o 6 pkt proc.

Polskie analizy pokazują zaś dość wyraźnie, dlaczego rynek pracy odczuwa taki dysonans wobec pokolenia Z. Wyższa Szkoła Humanitas przeprowadziła w 2023 r. badanie „Pokolenie Z na rynku pracy". Badacze określają pokolenie Y (czyli milenialsów) jako tych, którzy byli silnie ukierunkowani na rozwój zawodowy i karierę. Widoczny był w tym pokoleniu tzw. syndrom *one wrong move* – pracownicy obawiali się, że nie mają prawa do błędu, ponieważ to od jakości ich pracy zależy skuteczność w osiąganiu celów związanych z karierą, która była przepustką do lepszego życia. To zaś prowadziło do brania udziału w wyścigu szczurów, traktowanym jako element rzeczywistości zawodowej.

Postawa pokolenia Z, zorientowanego na rozwój osobisty i wartości społeczne, bardzo kontrastuje z nastawieniem poprzedników urodzonych w latach 1981-1995. Tutaj nikt nie chce się ścigać.

Cicha rewolucja

Każdy materiał o zetkach na rynku pracy zdaje się mieć wydźwięk alarmistyczny. Ze styczniowego tekstu „Gazety Wyborczej" dowiadujemy się, że w Krakowie bezrobocie wśród osób do 30. roku życia skoczyło o 37,7%. Następnie straszy się czytelnika, że wedle danych Eurostatu mamy najwyższy współczynnik bezrobocia wśród osób do 25. roku życia. Młodzi ludzie pytani przez „GW" wyraźnie wskazują, że szukają dobrej pracy i dają sobie na to czas. Niektórzy kilka miesięcy, inni nawet rok. I tu pojawia się sprzeczność, bo dzień później to samo medium zamieszcza materiał, w którym chłopak będący w trakcie licencjatu z informatyki twierdzi, że pracuje na trzy czwarte etatu.

Wspomniane tytuły kształtują konkretny obraz pracy. Business Insider czy Forbes nie piszą na co dzień o prawach pracowniczych. Nie ma tam też słowa o protestach czy strajkach. Mamy za to wywiady z przedsiębiorcami, którzy żalą się na tylnym siedzeniu Bentleya, jak im ciężko, bo muszą płacić podatki. Zupełnie jakby sami utrzymywali całe państwo. Narracja w mainstreamie jest taka, że albo jest się wizjonerem ze start-upu, który wstaje o godz. 5 rano, albo trzeba być stachanowcem, który dzięki nadgodzinom (oczywiście bezpłatnym) kiedyś otworzy własny Januszex.

Rzekomo oderwane od rzeczywistości wymagania można potraktować jako przebudzenie współczesnego pracownika.

A tymczasem… Cytując kultowego Gila Scotta-Herona, „This revolution will not be televised" (tej rewolucji nie pokażą w telewizji). Nieuchronna zmiana na rynku pracy zachodzi poza obiektywem mediów głównego nurtu. One wolą nagłaśniać jęki przedsiębiorców. Te zaś nie pomogą, bo zetki nie sięgają zbyt często do Forbesa. Wiedzą za to, że nie kupią dzięki tzw. ciężkiej pracy mieszkania (a raczej mikrokawalerki). Opowieści menedżerów z lat 90. traktują jak bajki. Póki nie zmienią się szeroko rozumiane warunki ekonomiczne, nie ma co myśleć o ciężkiej pracy czy zakładaniu rodziny.

Rzekomo oderwane od rzeczywistości wymagania zetek można potraktować jako pewnego rodzaju przebudzenie współczesnego pracownika. Roczniki wchodzące dziś na rynek pracy nie nabierają się już na retorykę „kultury zapierdolu". Jeśli popatrzymy na termin *work-life balance* jak na metaforę wagi, to okaże się, że szalka przechyla się w stronę life. Słowem, pracuję, aby żyć – w miejsce żyję, aby pracować. Niestety, nie spotyka się to ze zrozumieniem pracodawców i starszych kolegów. Ich lament wzmacniany medialnym przekazem pozwala budować krzywdzący stereotyp. To podcina zetkom skrzydła. Szczególnie tym na początku zawodowej drogi. Wytwarza się błędne koło wzajemnej niechęci między pokoleniami, a problem bezrobocia wśród młodych rośnie.

Pracodawcy, obserwując, co się dzieje, powinni więc działać i myśleć nad przystosowaniem się do przyjęcia nowego pokolenia. Może to być dla przedsiębiorców wyzwanie, bo nikt od nich nigdy niczego w tym wymiarze nie wymagał. W raporcie przygotowanym przez ManpowerGroup zauważono, że mocnym trendem na rynku pracy w 2025 r. była właśnie zmiana pokoleniowa, która przynosi wiele wyzwań. „Część z pracodawców nie dostrzega tej zmiany, co najczęściej kończy się trudnościami w komunikacji, brakiem współpracy oraz powiększającą się frustracją poszczególnych grup pracowników", stwierdza ekspert rynku pracy w Talent Solutions ManpowerGroup Piotr Zygmunt.

Jeśli komuś nadal się wydaje, że to kolejne pokolenia będą musiały się przystosować do rynku pracy, a nie odwrotnie, może się zdziwić. Pokazuje to w badaniach socjolog prof. Rafał Muster z Uniwersytetu Śląskiego. „Wydaje się zasadne postawienie tezy, że o ile we wcześniejszych latach to pracownicy musieli dostosowywać się do kultury organizacji, o tyle obecnie przedstawiciele pokolenia Z w istotnym stopniu będą kreować system norm, zasad i wartości panujący w organizacjach. Podkreśla się, że wraz z pokoleniem Z nadchodzą zmiany, którym sprostanie wydaje się niezbędne, aby skutecznie i efektywnie zarządzać zasobami ludzkimi (…). Natomiast pracodawcy – w związku z systematycznym zmniejszaniem się podaży zasobów pracy nie będą mogli pozostać obojętni na postulaty młodego pokolenia", pisał już w 2020 r. naukowiec w publikacji „Pokolenie »Z« na współczesnym runku pracy w opiniach pracodawców".

Parafrazując Marksa: zetki nie mają w tej rewolucji nic do stracenia prócz swych kajdan. Do zdobycia mają cały świat. Zetki wszystkich krajów, łączcie się!

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50



Z Galicji Jan Widacki

Jeszcze o patologii w nauce

Kilka lat temu w Krakowie toczył się dziwny proces. Kuratorium, które bezskutecznie chciało dopaść dyscyplinarnie nauczyciela jednego z najlepszych polskich liceów, ale było w tym tak nieudolne, że sprawa zdążyła się przedawnić, złożyło na niego doniesienie do prokuratury. Zarzucane przewinienie dyscyplinarne, jakkolwiek by na nie patrzeć, nie dało się zakwalifikować jako przestępstwo, więc kuratorium, wtedy jeszcze pod światłym kierownictwem słynnej kurator Barbary Nowak, znalazło sobie coś innego.

Wykryto, że nauczyciel ten, skądinąd wychowawca wielu olimpijczyków, wielokrotnie nagradzany i wysoko oceniany przez dyrekcję liceum, parę razy wpisał do dziennika temat lekcji, a lekcji nie odbył! Raz wpisał jakiś temat, ale zamiast go realizować, poszedł z uczniami do nowo otwartego ogrodu profesorskiego obok Collegium Maius. Innym razem puścił uczniów, na ich prośbę, z ostatniej lekcji do domu. Kiedy indziej znów co innego wpisał do dziennika jako temat lekcji, a co innego robił z uczniami. Jeszcze innym razem – o zgrozo! – na lekcji informatyki, wychodząc widać z założenia, że nie samą informatyką człowiek żyje, napisał im na tablicy przepis na bigos! Oczywiście wzmianki o bigosie nie umieścił w dzienniku.

Nie wiem, czy na lekcji informatyki nie można poświęcić chwili bigosowi, a jeśli już się poświęci, czy trzeba z tego uczynić w dzienniku stosowny zapisek, uzupełniający temat lekcji. Pewnie nauczyciel nie powinien uczniów, nawet na ich prośbę, zwalniać z lekcji ani wpisywać do dziennika tematu, którego tego dnia nie zrealizował. Nie wiem, może zasługiwało to na zwrócenie mu uwagi przez dyrektora, może na upomnienie, a może nawet na publiczne wytknięcie na posiedzeniu rady pedagogicznej.

Kuratorium jednak dokonało prawnokarnej oceny zachowania nauczyciela, dopatrując się w tym przypadku przestępstwa poświadczenia nieprawdy. Kuratorium może prawa karnego nie znać, ale prokuratura znać je absolutnie powinna. Mam wątpliwości, czy znała, za to do sprawy podeszła z całą powagą, na jaką ją stać. Przesłuchano kilkudziesięciu świadków, w większości byłych uczniów, których odszukanie nie było łatwe, ale prokuratura zadała sobie ten trud. Sprawa trafiła do sądu, sąd przesłuchał kolejny raz świadków, wydał wyrok, po apelacji sprawa trafiła do ponownego rozpoznania, sąd po raz kolejny przesłuchał świadków…

Tymczasem w internecie można bez trudu znaleźć co najmniej kilkadziesiąt ofert napisania prac licencjackich, magisterskich, a nawet doktorskich. Pracę magisterską można wedle tych ofert kupić już za 3-4 tys. zł. Prace doktorskie są przeszło dwukrotnie droższe. Jedna strona kosztuje ponad 45 zł, za pracę średniej grubości zapłacić trzeba i powyżej 10 tys. zł. Oferenci podają numery telefonów, mejle, rekomendacje. Zapewniają dyskrecję. Mając kompletne poczucie bezkarności, nawet nie próbują się ukrywać. Jak to jest, że prokuratura, która w niezgodnym z przebiegiem lekcji wpisie do dziennika widzi przestępstwo poświadczenia nieprawdy i potrafi sobie zadać wiele trudu, aby je ścigać, nie widzi w tym procederze pisania prac licencjackich, magisterskich czy doktorskich znamion przestępstwa? Dlaczego nie próbuje nawet go ścigać? Przecież na podstawie tych kupionych prac, udając ich autora, nabywa się określone uprawnienia zawodowe czy naukowe!

W internecie można bez trudu znaleźć kilkadziesiąt ofert napisania prac licencjackich, magisterskich, a nawet doktorskich.

Swoją drogą, jak to możliwe, że promotor nie orientuje się, że pracy nie napisał osobiście seminarzysta czy doktorant? Nie uczestniczył jako promotor w procesie tworzenia tej pracy? Nie kontrolował jej powstawania? Poszedł na łatwiznę i przyjął gotową pracę, powstałą poza seminarium? Czy ktoś mi wytłumaczy, jak to możliwe? Za dużo ów promotor ma prac licencjackich i magisterskich do prowadzenia, bo chałturzy w kilku szkołach?

Czy nie lepiej prace licencjackie i magisterskie, przynajmniej na niektórych kierunkach, zastąpić porządnym egzaminem? A zaoszczędzony czas poświęcić na czuwanie nad pisaniem przez doktoranta jego dysertacji? Znów potrzebne jest jakieś rozwiązanie systemowe. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50

SKRĘCIĆ DO JĘDRZEJOWA

Miasto ma duże zasoby turystyczno-kulturalne, tyle że nie jest promowane. Jakby siedziało cicho przy miedzy



Im miasto jest starsze, tym bardziej się wyludnia.

Anna Wyrwik

Do Jędrzejowa jedzie się S7, ekspresówką, która przecina Polskę na pół. Dosłownie i w przenośni. I gdy tak się jedzie z południa na północ, można nie zauważyć granicy województw za Moczydłem, tego, że Polska małopolska zamienia się w Polskę świętokrzyską. Krajobraz jest płaski, drzewa wyschnięte, ziemia zmęczona – jak u malarzy przedstawiających powstanie styczniowe, bo tu w okolicy stoczono ze 30 bitew, np. pod Małogoszczem. Poza tym Marian Langiewicz, „Wierna rzeka" i w ogóle w całej okolicy czuć powstaniem, choć to już prawie 200 lat. Za Łączynem, gdy się jedzie od Krakowa, i za MOP Podlesie, jak się jedzie od Warszawy, jest zjazd na Jędrzejów.

Miasto wita zieloną tablicą. Są niskie domy, sklepy spożywcze, tania odzież, Rossmann, 4F, bar sushi i azjatycki, bo kiedyś włoska pizza, a dziś Azja, ale jest i Bella Donna, bo Włochy trzymają się mocno, i fryzjer Hollywood, bo Ameryka jest wszędzie. Rynek wita billboardem Media Expert, rządzi tu nieśmiertelny Dom Handlowy Piast, a wokół sporo zakładów zegarmistrzowskich, bo miasto zobowiązuje.

Zegary

W Jędrzejowie mieszka ok. 14 tys. ludzi, ale z roku na rok ich ubywa, odwrotnie proporcjonalnie do wieku miasta. „Jędrzejów ma 750 lat", głosi napis na Placu Tadeusza Kościuszki; to w sumie taki rynek, że można chodzić i jeździć dookoła, jak na rondzie, a na środku jest klomb. Lokalne media donoszą, że ma być przebudowany na bardziej dostępny.

Zatem lokację miejską Jędrzejów uzyskał w 1271 r., a pół tysiąca lat później, w 1820 r., do miasta przeprowadzili się Przypkowscy. Zamieszkali w jednej z przyrynkowych kamienic. W 1872 r. urodził się tu Feliks Przypkowski, lekarz i wielki entuzjasta astronomii i gnomoniki. W kamienicy stworzył nie tylko gabinet lekarski, ale i unikatową kolekcję zegarów słonecznych, a dzięki żonie, Zofii z Horstów, dom był otwarty na gości, w tym legionistów, którzy wraz ze swoim komendantem mieszkali tu w 1915 r.

– Józef Piłsudski spał w tym łóżku i dzwonił z tego telefonu – pokazuje Jan Przypkowski, prawnuk Feliksa, dyrektor Muzeum im. Przypkowskich. I oprowadza mnie po mieszkaniu pradziadka, pokazując poczekalnię dla pacjentów z łacińską sentencją nad drzwiami: „Lżejsze jest cierpienie, gdy jest na nie jakaś rada". Feliks lubił sentencje. Jan pokazuje gabinet, biurko z szufladami, w których do dziś można znaleźć przedrewolucyjne ruble, przeszkloną szafę biblioteczną z książkami i z dziurą po kuli, bo adiutant komendanta czyścił pistolet i nie zauważył, że w środku jest nabój.

W kolekcji muzeum jest ok. 600 tomów starodruków, wśród nich najstarszy – „Liber chronicarum" Hartmanna Schedla z końca XV w. Są liczne książki medyczne i astronomiczne, w tym bazylejskie wydanie „De revolutionibus orbium

eprasa.pl 1cf7f76a50

coelestium" Mikołaja Kopernika z XVI w. i książki z autografami Kartezjusza, Jana Heweliusza i Christiaana Huygensa.

– To kapsuła czasu – mówi Jan Przypkowski. – Mimo wielu remontów jest dokładnie tak, jak było kiedyś.

Tadeusz Przypkowski, dziadek Jana, kontynuował pasję Feliksa. Interesował się astronomią, zbierał zegary słoneczne, a do tego był artystą fotografem. Na ścianach umieszczono jego prace, np. zdjęcie Olgi Boznańskiej, nad którym wisi wykonany przez nią portret Tadeusza. W 1962 r. rodzina przekazała zbiory gnomoniczne i starodruki państwu, i tak powstało muzeum, którego Tadeusz został pierwszym dyrektorem. Po jakimś czasie muzeum wykupiło kamienicę obok, do której właśnie przechodzimy, by zobaczyć największą atrakcję Jędrzejowa, dla której przyjeżdżają tu ludzie z całego świata – jedną z największych na świecie kolekcji zegarów słonecznych.

Są tu niemal wszystkie typy takich zegarów, odkąd zaczęły one powstawać, czyli od XVI w. Są zegary kieszonkowe dla każdego, bo te z deseczek oklejonych drukowanym papierem były dla mniej zamożnych, a te zdobione kością słoniową dla zamożniejszych. Są zegary podróżne, małe i mające możliwość zmiany kąta gnomonu, czyli wskazówki – czasem gnomonem jest nitka, której koniec można wkładać w jedną z odpowiednio oznaczonych dziurek, w zależności od szerokości geograficznej miejsca pobytu.

– Niektóre to małe dzieła sztuki – zachwala dyrektor muzeum.

W kolekcji są też zegary dostosowane do mierzenia czasu według różnych tradycji, trzeba bowiem wiedzieć, że oprócz godzin równych, czyli tych, które obecnie stosujemy, były również inne, np. babilońskie, włoskie, polskie itd., dzielące dobę według różnych zasad i z różnym momentem, od którego liczył się jej początek.

– Tu jest zegar z armatką – Jan Przypkowski pokazuje mały zegar słoneczny z armatką i lupą. – Władysław Broniewski, przyjaciel Tadeusza, poprosił kiedyś dziadka, by go wypróbowali. Ukręcili więc proch strzelniczy, nabili nim lufę, ustawili pod odpowiednim kątem soczewkę i rzeczywiście w samo południe armatka wystrzeliła. Broniewski napisał wtedy wiersz, który wszedł w skład poematu „Wisła": „Biją słoneczne godziny / W Jędrzejowie / I mnie, i tobie, i innym / Biją zegarowie".

W zbiorach są także inne przyrządy do pomiaru czasu: klepsydry, zegary ogniowe czy mechaniczne, np. zwisający z sufitu zegar dla graczy w karty, na który patrzy się od dołu. A w kolejnych pomieszczeniach porcelana, zabytkowe meble, wielka waza będąca chłodziarką do szampana, fotel od Radziwiłłów, na którym ponoć siedział i grał Fryderyk Chopin, klepsydra wodna z Sycylii oraz kurdybany, czyli tapety ścienne ze skóry zwierzęcej, które Tadeusz kupił na pchlim targu w Londynie od żołnierza rok po zakończeniu II wojny światowej. Na zewnątrz z kolei jest Ogród Czasu.

W Jędrzejowie mieszka ok. 14 tys. ludzi, ale z roku na rok ich ubywa.

Siedzimy z dyrektorem w jego gabinecie, a ja pytam o dzieciństwo w Jędrzejowie. – Miasto było podobne do tego, jakie jest teraz, tyle że dużo więcej furmanek jeździło. A tak to nieduże miasteczko, gdzie, pewnie jak wszędzie, z kolegami po szkole szło się do domu jak najdłuższą drogą, odwiedzając wszystkie co istotniejsze dla nas miejsca.

Kiedyś było też tak, że centrum miasteczek stanowiły gospody, bary, knajpy – i w Jędrzejowie taką knajpą była Tęczowa, do której małemu Janowi nie wolno było chodzić, bo „tam siedzą pijacy" i dym papierosowy szedł ze środka na ulicę. Był jeszcze Zodiak, elegantszy. Tam mały Jan z rodziną czasem chodził na obiady.

A dziś? – Dziś jest coraz więcej sklepów wielkopowierzchniowych. Nie wiem nawet, czy to nie zbyt dużo jak na taką liczbę mieszkańców, bo miasto się wyludnia – opowiada Jan Przypkowski. – Poskutkowało to procesem odchodzenia życia od rynku. Za mojego dzieciństwa rynek był centrum i tu ludzie przyjeżdżali, by zrobić zakupy. Dziś rynek jest w Galerii Sekunda.

– W mieście jest chaotyczna zabudowa – dodaje Przypkowski. – Niektóre miejsca błagają o remont, a najbardziej nie podoba mi się straszna reklamoza. Szyldy są wieszane wszędzie, bez uzgodnienia z kimkolwiek, a niektóre są większe niż reklamowane zakłady.

Misiek Zdzisiek

– Drzwi się nie zamykają – mówi Dariusz Lisowski. – Byłem pełen obaw, bo Jędrzejów to taka trochę większa wieś i ludzie mają inną mentalność. Tymczasem kawiarnia funkcjonuje już pół roku i przychodzą. Organizujemy imprezy, Misiek Zdzisiek dzieciom prezenty w Mikołajki rozdawał.

Kawiarnia Błękitna mieści się przy ul. Bolesława Chrobrego. Na równo poustawianych stolikach leży menu, w którym znajdziemy m.in. lokalne potrawy, takie jak byczki świętokrzyskie, czyli kluski z mięsem, szarlotkę jędrzejowską albo zalewajkę jędrzejowską – „przepis mojej babci", jak podkreśla Dariusz Lisowski – czyli swojski zakwas, kawałek mięsa, kawałek boczku, kawałek kiełbaski, coś jak barszcz biały, ale trochę inaczej przyprawione i ma inny smak. W rogu kawiarni stoi Misiek Zdzisiek, ale nie ten, za którego facet się przebiera, by prezenty rozdawać, tylko taki dmuchany.

Dariusz Lisowski pochodzi ze wsi 20 km od Jędrzejowa, a Jędrzejów w młodości kojarzył z wsią, z miastem przelotowym. Jednak potem miasto się rozwinęło i tu znalazł pracę w starostwie powiatowym na stanowisku pełnomocnika ds. osób niepełnosprawnych. Kilkanaście lat temu miał wypadek samochodowy i sam na jakiś czas stracił sprawność, bo najpierw leżał, a potem chodził o kulach. Wtedy zdał sobie sprawę, że ten pełnomocnik niewiele może. – Mój świat obrócił się o 180 stopni, zmieniły się wartości, myślałem dużo o ludziach, którzy chorują i mają

eprasa.pl 1cf7f76a50



– To kapsuła czasu – mówi Jan Przypkowski, dyrektor Muzeum im. Przypkowskich.



Dariusz Lisowski z pracownikami Fundacji Błękitny Promyk Nadziei.

ciężko. Zdecydowałem, że odchodzę z pracy i założę fundację.

31 maja 2012 r. powstała Fundacja Misiek Zdzisiek. Na początku była to fajna nazwa, ale gdy zaczęli się starać o granty, dotacje i brać udział w przetargach, niepoważnie to brzmiało – jak mówi Dariusz Lisowski – więc przemianowali się na Fundację Błękitny Promyk Nadziei. A że granty i dotacje dostawali, przetargi wygrywali, działają bardzo prężnie i dziś pomagają ok. 200 osobom. Jednym z głównych działań fundacji jest aktywizacja zawodowa osób z orzeczeniami o niepełnosprawności i organizacja szkoleń zawodowych.

W szkoleniu na pracownika biurowego z podstaw informatyki brała udział prosząca o anonimowość kobieta, której szło tak dobrze, że prezes ją zatrudnił. – Celem fundacji jest sprawić, by osoby z niepełnosprawnościami nie były wykluczane ze społeczeństwa – wyjaśnia pracowniczka fundacji. – Tak się często dzieje, i to nie tylko tutaj, ale wszędzie. Mówi się, że osobom z orzeczeniem łatwiej znaleźć pracę, niestety to nie jest prawda. Ja miałam z tym duże problemy.

Kobieta mieszka w Jędrzejowie od kilku lat, a że lubi małe miasteczka, bo w nich łatwiej się odnaleźć, nie czuć pośpiechu, jak w dużych, i społeczność wydaje się bardziej otwarta na innych, dobrze jej tu. Gdy patrzy na jędrzejowską strefę ekonomiczną, miasto kojarzy się jej z rozwojem.

Dariusz Lisowski mówi z kolei, że dziś Jędrzejów kojarzy się z cystersami, muzeum zegarów i jego fundacją. Fundacja pomaga zresztą ludziom na wiele sposobów: w domach, z transportem, ze wsparciem terapeutycznym i psychologicznym czy organizując imprezy charytatywne. Na koncie mają koncerty m.in. Mafii z Piaskiem, Urszuli i Anny Wyszkoni, jak wymienia z dumą prezes. Najnowszym pomysłem jest właśnie kawiarnia Błękitna. – Chodziło o to, by otworzyć miejsce, gdzie ludzie będą mieć pracę na stałe.

Na koniec pytam, dokąd warto się udać w okolicach Jędrzejowa. – Nagłowice – wskazuje zdecydowanie Lisowski. – Dworek Mikołaja Reja, tam mieszkał, tam tworzył, można zwiedzić. I klasztor cystersów. Jak się wchodzi, to po prostu serce się robi miękkie.

Ser dziki i wolny

W trawie leżą dwie butelki po Soplicy, deszcz na zmianę z przebłyskami słońca, jest smutna kapliczka i rozkopane pole, jak z filmu Andrzeja Wajdy. Jeszcze tylko Chopina puścić z jakiegoś jego tęsknego okresu i wszystko będzie na swoim miejscu.

Ziemia jest lutowa, jeszcze nie odmarzła do końca, a już coś zielonego próbuje się przebić, choć może to po lecie coś zgniłe wystaje, w deszczu wyraziste. Wyraźne jest też Archiopactwo Cystersów, gotowe do remontu i już obstawione rusztowaniami, a w środku magiczne, z wielkimi organami. Choć nie wiem, czy aż tak, że serce od razu się robi miękkie. Ale jak nie tu, to zmięknie gdzieś dalej. W Nagłowicach chociażby, gdzie jest Dworek Mikołaja Reja i piękny park. Albo przy drodze po prostu, gdy się jedzie tymi polami, jakby wznoszącymi się, gdzie krzyże, kapliczki, „Święty Franciszku módl się za nami. Na pamiątkę nowej parafii św. Wincentego Kadłubka. 1913”, deszcz i słońce na przemian, więc i tęcza się pojawia. Ale przestrzeń nic na to, jakby się wsłuchała w tekst piosenki Masłowskiej: „Ale tęcza? (…) Komu to szkodziło, że normalnie było pusto szaro / Ludziom do twarzy przynajmniej pasowało”, i dalej, że „Ma być czarno-biało / Ma być czarno biało / A najlepiej szaro-szaro / Jedna rasa szara / Jedna szara masa”.

Jeśli się chce kolorów, jedzie się do Starej Olszówki, z jedną z największych plantacji lawendy w Polsce, Oazą Lawendy. Ale jest tam też Zagroda Kwaśne Wiśnie.

– Większość serów dostępnych na rynku jest pasteryzowana. Taki ser jest okiełznany, pozamykany

eprasa.pl 1cf7f76a50





Justyna Majcher, właścicielka Zagrody Kwaśne Wiśnie: – Dom i gospodarstwo mają 100 lat.

w foliach i ma w sobie zabitą całą dzikość. Dla mnie to nie do przyjęcia – mówi Justyna Majcher. – Ser powinien być dziki i wolny, a taki ser powstaje z mleka niepasteryzowanego od zwierząt, które są wypasane wolno na łące, które jedzą trawy, zioła, gałązki. Tę dzikość i wolność czuć potem w serze dojrzewającym.

Justyna Majcher z wykształcenia jest politolożką, z zawodu nauczycielką angielskiego, a z doświadczenia emigrantką, w Wielkiej Brytanii. Obecnie zaś jest właścicielką Zagrody Kwaśne Wiśnie.

– Dom i gospodarstwo, które mają 100 lat, kupiłam, jeszcze mieszkając w Londynie, ponieważ wychowałam się na wsi i potrzebowałam przestrzeni, a tam mi jej brakowało – wspomina. Najpierw miała tu być stadnina koni, ale urodziła się córka, więc Justyna z mężem stwierdzili, że kupią kozę na mleko, bo taka już rodzinna tradycja. A że kozy były trzy i żal było rozdzielać, kupili wszystkie, potem dostali jeszcze dwie.

– Pięć kóz, jedno dziecko. Ja nie piję mleka, mąż nie pije mleka… Przypomniałam sobie, że gdy pracowałam w Londynie w delikatesach na dziale z serami, te kozie były bardzo dobre i miały nawet wysokie ceny. Stwierdziłam, że spróbuję. Poza tym to też rodzinna tradycja. Wszyscy mówili, że zwariowaliśmy. Wracać na wieś z Londynu, żeby hodować kozy? Kto robi takie rzeczy?

Justyna robi. Od 11 lat robi sery. Wszystkie, jak leci. We Włoszech zrobiła kurs, na którym nauczyła się nie tylko wyrabiać sery długodojrzewające, ale i tego, na czym polega prostota: – Prostota to to, co się ma, twoja ziemia, twoja natura, sposób, w jaki sery robili dziadkowie.

Kiedyś rynek był centrum i tu ludzie przyjeżdżali zrobić zakupy. Dziś rynek jest w Galerii Sekunda.

Zagroda wygląda jak połączenie brytyjskiej bajki z filmem z nurtu realizmu magicznego. Prócz trójki ludzi mieszka w niej ponad 40 kóz mlecznych, trzy krowy rasy Jersey, koń, osiołek, lamy, kury, kaczki, indyki, króliki, owce… Jest edukacja i agroturystyka. Są cegły, dechy, kamienie, od groma starych przedmiotów, tu fotel w trawie, tam czerwony domek dla koziołka, a jeszcze bambusowe dzwonki gają na wietrze.

Justyna Majcher pochodzi stąd, tu się wychowała, a w Jędrzejowie uczęszczała do liceum. Pamięta dom kultury, do którego chodzili na rockoteki. Pamięta warsztaty fotograficzne, kółka muzyczne i plastyczne organizowane w kawiarni przy domu kultury. Właściciele kawiarni powiedzieli jej kiedyś, że takie miejsca się w Jędrzejowie nie przyjmują, i zamknęli.

– Myślę, że nasze społeczeństwo ma inne spojrzenie na świat… – zastanawia się Justyna. – Jestem postrzegana jako dziwaczka, bo trzymam się tradycji, natury, a mogłabym jako nauczycielka odwalić godziny i wrócić do domu. Jest pogoń za czymś nowym, błyszczącym. Ludzie nie kupują lokalnych produktów i moim zdaniem to kwestia świadomości. Pieniądze są, co widać po tym, ile kupują ubrań, jakie są kolejki na paznokcie i do kosmetyczek. Na jedzeniu oszczędzają. Poza tym w głowie Polaka wciąż jest myśl, że zdrowy ser to świeży ser, i trudno przetłumaczyć, że jest inaczej. Do mnie przyjeżdżają głównie klienci z dalszych regionów i z dużych miast, w drodze na Roztocze, do Świętokrzyskiego czy na Podlasie.

Pytam ją na koniec o zalety Jędrzejowa. – Świetny historycznie! – mówi. – Lubię to miasto. Nie jest brzydkie, są brzydsze. I ma duże zasoby turystyczno-kulturalne. Tyle że nie jest promowane. Jakby siedziało po cichutku przy jakiejś miedzy. Jak je ktoś odkryje, to fajnie, a jak nie, to nie.

Anna Wyrwik

FOT. ANNA WYRWIK (4)

eprasa.pl 1cf7f76a50

Zamów prenumeratę

PRZEGLĄDU

InPost Paczkomat 24/7

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK



sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Demony polityki

Zło rodzi dobro, dobro staje się początkiem zła. Takie wnioski wysnuwał Niccolò Machiavelli, przypatrując się sprawom naszego świata w „Rozważaniach nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza" i losom Florencji w „Historiach florenckich". Największe zbrodnie polityczne wynikają na ogół z upodobania do rzeczy wielkich – otoczonych aureolą świętości i dostojeństwa. Właśnie wtedy zło przemawia językiem dobra, przyswaja sobie jego reguły, pochłania jego treść i obraca ją na własną korzyść, ukrywając się za jego fasadą.

Fanatycy terroru byli zawsze entuzjastami świętej sprawy, stojącymi na postumencie najwyższych wartości. W dniach terroru jakobińskiego Francją rządziły hymny republikańskie – namiętne peany obrońców wolności, równości i braterstwa. Dobro stawało przeciwko złu. Jak wielkich ofiar domaga się dobro?

Robespierre, przywódca czasów terroru, brak poświęcenia traktował jako zdradę. Spał krótko, czuwał. Amerykański historyk Colin Jones w znakomitej pracy „Upadek Robespierre'a. Ostatnie 24 godziny terroru" stawia nam przed oczami postać mściwego fanatyka – człowieka pozbawionego wahań, które mogłyby stworzyć szczelinę w monolicie doktryny. „Nieprzekupny" – taki przydomek nadano Robespierre'owi – nie pragnął żadnej nagrody ani żadnych zaszczytów. Mieszkał skromnie, w pokoju wynajmowanym u stolarza. Żył dla sprawy, studiował donosy. Nie pomyślał, że skończy tam, gdzie wysyłał swoich wrogów – na gilotynie.

Ciekawe, tyrani nowoczesności (podobnie jak dzisiejsi dyktatorzy mody) upodobali sobie stylistykę skromności, wybrali surową lakoniczność. Mundur symbolizuje poświęcenie, stać się może szczelną maską nikczemności. Ostentację uprawiali tylko rzymscy cezarowie, potem ich afrykańscy imitatorzy-parodyści. Cesarz Bokassa to była postać! Idi Amin, Mobutu, Kaddafi uwielbiali spektakle łączące zbrodnie z operetką. Prawdę świata widać często w szczegółach (dziś mamy toalety ze szlachetnych kruszców).

Tematy aktualne. Zauważmy, znika pojęcie błędnych przekonań, jego miejsce zajmuje nowy zarzut: „szerzenie dezinformacji". Tutaj kończą się żarty. Pojęcie dezinformacji przybiera postać pogróżki: „Jeśli nie powtarzasz tego, co my mówimy, szerzysz dezinformację". A to już ociera się o zdradę. Jesteś wrogiem prawdy. Uważajmy, wśród nas przechadzają się już jakobini.

Czy powołają swoje ministerstwo prawdy? (Znowu ten Orwell). Czy pojęcie dezinformacji stanie się narzędziem cenzury, inicjującej terror jedynie „słusznych" przekonań? Niestety, istnieją pewne obawy. W dobie rewolucji francuskiej obwiniano arystokratów i brytyjskich agentów. Obrzędy „sprawiedliwości" niczym – absolutnie niczym – nie różniły się od polowań na czarownice. Dziś podobnie nasze „wiedźmy" oskarżane są o to, że mówią głosem szatana, czyli powielają fałszywą narrację.

Demony polityki występują zawsze w kostiumie dobra – to jest ich strój roboczy. Używają języka ideałów – to jest ich styl pracy. Tę kwestię z wielką uwagą rozpatrywali kiedyś purytanie – mieszkańcy brytyjskich kolonii w Ameryce. Ostrzegali, że wielkie słowa rodzą wielkie pokusy. Ambicje są instrumentem, którego używa diabeł, polityka jest jego miejscem pracy. Tam, gdzie jest władza, są też zmącone ludzkie umysły, zatrute pragnieniami, w których buszuje diabeł, czyniąc swój proceder fałszowania znaków wartości. Władza – tak sobie myśleli mieszkańcy Ameryki – ma zawsze zatrute korzenie, nie wolno jej ufać. W ten sposób rodziła się amerykańska konstytucja wolności.

U nas prym wiodą nawiedzeni.
To oni najłatwiej zdobywają poparcie.

U nas całkiem inaczej – prym wiodą nawiedzeni. To oni najłatwiej zdobywają poparcie. Nam są potrzebne krucjaty – wielkie zbiorowe emocje, które rodzą się na kanwie słusznej sprawy. Chcemy nacierać, chcemy nosić rycerską zbroję. Ile zamieszania zrobiła religia smoleńska? Purytańskie niedowierzanie w stosunku do ludzi dotykających palcem nieba jest nam niestety całkiem obce.

My, naród poetów i wizjonerów! W naszej polityce trwa niegasnący obrzęd „dziadów". Widma karmią nas swoją siłą, prosząc w zamian o krew przelaną w walce za „sprawę". W tym sensie, i w tym stopniu, nasza polityka nieustannie „schodzi na dziady"?

Powołaniem męczenników jest bohaterska śmierć. Patronami wolności stali się w ostatnim czasie „żołnierze wyklęci" – wielcy przegrani. Ich obecność – upierałbym się jednak – ma charakter widmowy. Są oni widmami romantycznego „czynu". Ich kult jest obrzędem historycznej niemocy, siedliskiem egzaltacji związanej z mistyką śmierci niwelującej upadek. Czy tego właśnie potrzeba nam w naszej polityce – przegranej, upadku? Czy tak chcemy potwierdzić naszą tożsamość i budować naszą przyszłość? Asystując w zmaganiach, które prowadzą widma „wyklętych", karmiąc nas gorączką śmierci i majakami „słusznej" sprawy? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50

Obalenie republiki czy tylko destabilizacja

Czy izraelsko-amerykańska agresja na Iran jest gwoździem do trumny ładu międzynarodowego?

Jakub Katulski



Od lewej: doradca i zięć Trumpa Jared Kushner, specjalny wysłannik Białego Domu Steve Witkoff i minister spraw zagranicznych Omanu Sajjid Badr bin Hamad al-Busaidi na spotkaniu w ramach negocjacji irańsko-amerykańskich w Genewie, 26 lutego 2026 r.

Na Bliskim Wschodzie następuje kolejne przesilenie za sprawą amerykańsko-izraelskiego ataku na Iran. Rywalizacja między tymi krajami jest faktem powszechnie znanym z powodu przeciągających się w ostatnich miesiącach negocjacji w sprawie irańskiego programu nuklearnego. To właśnie one okazały się pretekstem do uruchomienia działań zbrojnych w sobotę 28 lutego.

Amerykański sekretarz wojny Pete Hegseth wreszcie znalazł się w pozycji, którą odzwierciedla nowa nazwa jego stanowiska nadana przez administrację Donalda Trumpa. A mimo wszystko 2 marca w przemowie broniącej amerykańskich ataków na Iran zawarł słowa, na których skupili się dziennikarze i analitycy: „My nie zaczęliśmy tej wojny". Wagę jego słów podkreśla fakt, że wcześniej izraelski minister obrony Israel Kac nazwał działania przeciwko Iranowi „uderzeniem wyprzedzającym". Trudno więc wypowiedź Hegsetha interpretować inaczej niż jako potwierdzenie, że Waszyngton został wciągnięty do wojny przez Tel Awiw. Podobnie sekretarz stanu Marco Rubio na konferencji prasowej 2 marca poinformował, że Stany Zjednoczone włączyły się do wojny ze względu na izraelskie działania, jednak następnego dnia wycofał się ze swoich słów.

Czasy bezprawia

Sytuacja ta rodzi jednak istotne problemy z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Uderzenia wyprzedzające mogą być w świetle prawa legalne, a Izraelowi są o tyle dobrze znane, że wojna sześciodniowa rozpoczęła się od wyprzedzającego uderzenia na lotnictwo egipskie i jordańskie. Naukowcy do dziś debatują nad legalnością ataku z 1967 r. Ataku, który umożliwił Izraelowi stoczenie ekspresowej wojny i powiększenie stanu posiadania o terytoria Półwyspu Synaj, Strefy Gazy, Wzgórz Golan, Zachodniego Brzegu Jordanu i Jerozolimę Wschodnią, czego konsekwencje do dzisiaj odczuwają zarówno Izraelczycy, jak i Palestyńczycy.

Podstawowym problemem z punktu widzenia prawa jest to, kiedy można się odwołać do wyprzedzającego użycia siły (ang. preemptive use of force), by nie pozwolić na dowolność interpretacyjną i nie łamać zapisów Karty Narodów Zjednoczonych, która co do zasady pozwala wyłącznie na działania w samoobronie. Uderzenie wyprzedzające powinno być zastosowane wyłącznie w przypadku, gdy ma nieuchronnie dojść do wrogiego ataku, a zastosowanie środka służącego powstrzymaniu napaści jest niezbędne. Tak też swój atak wyprzedzający z 1967 r. tłumaczą Izraelczycy, przekonując o legalności wojny sześciodniowej.

Dziś jednak jest inaczej, gdyż ani premier Beniamin Netanjahu, ani prezydent Donald Trump nie próbuje nikogo przekonać, że atak mieści się

eprasa.pl 1cf7f76a50

w jakichkolwiek ramach prawnych. Trump nie zabiegał o akceptację Kongresu, co w obu izbach uruchomiło dyskusję, czy prezydent nie przekroczył swoich uprawnień konstytucyjnych. Artykuł 1 amerykańskiej ustawy zasadniczej wyłącznie Kongresowi daje prawo do wypowiadania wojny. W przypadku wykorzystania siły bez uzyskania odpowiedniej autoryzacji ze strony Kongresu prezydent musi w ciągu 48 godzin złożyć raport o działaniach wojennych.

Donald Trump raport złożył dopiero 2 marca, a jego administracja nie przekazała w zasadzie żadnego przekonującego uzasadnienia. Również Izraelczycy nie przekonują już opinii publicznej o ataku, do którego miał się przygotowywać Iran. Minister Israel Kac poinformował jedynie, że celem uderzenia wyprzedzającego było „usunięcie zagrożeń dla Izraela". Z kolei premier Beniamin Netanjahu w wywiadzie udzielonym Fox News 3 marca podkreślił, że atak musiał nastąpić teraz, gdyż po tym jak Izrael wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi uderzył w czerwcu 2025 r. w irańskie ośrodki nuklearne i rakietowe, Teheran zaczął budować nowe. A dzięki podziemnym bunkrom w tych ośrodkach oba programy byłyby odporne na ataki „w ciągu kilku miesięcy".

Afera o atom

Program nuklearny Iranu jest z perspektywy Izraelczyków zagrożeniem dla bezpieczeństwa, a wręcz istnienia ich państwa. Dlatego od lat starają się przekonać swoich partnerów o potrzebie ograniczenia możliwości rozwoju tego programu. Dla premiera Netanjahu ostrzeganie przed irańskim potencjałem atomowym stało się swego rodzaju znakiem rozpoznawczym, bo już w 1992 r., jeszcze jako szeregowy poseł w Knesecie, przekonywał, że Teheran zbuduje broń jądrową w ciągu trzech-pięciu lat. W kolejnych trzech dekadach Netanjahu regularnie powtarzał tę prognozę, stopniowo skracając czas do kilku miesięcy.

Dla wielu krytyków Izraela powtarzana prognoza, która nie spełniła się mimo upływu lat, to powód do żartów. Dla Izraelczyków jednak zagrożenie jest realne, gdyż Iran rzeczywiście prowadzi program nuklearny, wzbogacając uran powyżej poziomu 60% czystości. A to już krok do wzbogacenia uranu do poziomu umożliwiającego budowę broni atomowej.

W 2015 r. Iran zawarł z USA, Wielką Brytanią, Francją, Chinami, Rosją i Niemcami porozumienie (Joint Comprehensive Plan of Action, JCPOA), na mocy którego zgodził się na nałożenie ograniczeń na program nuklearny do poziomu akceptowalnego dla zastosowań cywilnych, w tym badawczych. Inspektorzy Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA) dostali dzięki temu uprawnienia do kontrolowania irańskich ośrodków, by upewnić się, że Teheran rzeczywiście zgodnie z planem nie wzbogaca uranu powyżej poziomu 3,67%. A także stopniowo likwiduje ilość składowanego nisko wzbogaconego uranu, zmniejszając jego zasoby z ponad 10 ton do 300 kg.

Zdaniem inspektorów Iran wywiązywał się z nałożonych obowiązków, a wejście w życie JCPOA pozwoliło na zdjęcie z kraju sankcji, co w konsekwencji doprowadziło do globalnego obniżenia cen ropy naftowej.

Dla Izraelczyków ten plan był nieprzekonujący, a ich obawy podzielał Donald Trump, który jednostronnie wypowiedział udział Stanów Zjednoczonych w porozumieniu już w 2018 r. Od tego momentu Iran jest krajem obłożonym kolejnymi sankcjami, choć trzeba również zaznaczyć, że nie wszystkie dotyczą programu nuklearnego, a wiele ma związek z łamaniem praw człowieka, o czym dalej.

W ostatnich miesiącach między USA a Iranem toczyły się negocjacje, którym przewodniczyli Steve Witkoff, specjalny wysłannik USA na Bliski Wschód, i Abbas Aragczi, minister spraw zagranicznych Iranu. Jeszcze 26 lutego, gdy obie delegacje opuszczały Genewę, Aragczi sygnalizował, że są na dobrej drodze do rozpoczęcia technicznych rozmów w Wiedniu w kolejnym tygodniu. Irańczycy w rozmowach mieli się zgodzić na ograniczenie swojego programu nuklearnego. Jednocześnie amerykańska delegacja stawiała Teheranowi warunki nie do zaakceptowania. Takie jak rezygnacja z jakiegokolwiek wzbogacania uranu w kraju, co zmusiłoby Iran do kupowania surowca za granicą, rozbrojenie programu rakietowego czy odejście od polityki wspierania pozapaństwowych aktorów w regionie, szczególnie libańskiego Hezbollahu i jemeńskiego ruchu Huti.

Ani Beniamin Netanjahu, ani Donald Trump nie próbuje nikogo przekonać, że atak mieści się w jakichkolwiek ramach prawnych.

Mimo to w ostatnich tygodniach wojna wisiała już w powietrzu, gdyż Amerykanie gromadzili w regionie największe od dwóch dekad siły, wyraźnie sygnalizując, że mają zamiar z nich skorzystać w razie niepowodzenia rozmów.

Naród na ulicach

Obecnie zarówno Waszyngton, jak i Tel Awiw starają się legitymizować działania zbrojne wolą irańskiego narodu. Jeszcze w styczniu na ulicach irańskich miast, we wszystkich 31 prowincjach kraju, dochodziło do masowych demonstracji, uważanych za największe wystąpienia od czasów rewolucji islamskiej w 1979 r.

Protestowanie nie jest dla Irańczyków niczym nowym. W ostatniej dekadzie obywatele regularnie okazują władzy swoje niezadowolenie, choć na Zachodzie najbardziej przebiły się do powszechnej świadomości i przekazu medialnego demonstracje po śmierci Mahsy Amini, która zmarła w 2022 r. od obrażeń zadanych jej na komisariacie przez funkcjonariuszy tzw. policji moralności. Wówczas głównymi hasłami protestów były te związane z wolnością i prawami człowieka.

Na przełomie grudnia i stycznia hasła te także się pojawiały, bo demonstrujący mają dość państwowej cenzury, wyłączania internetu, a nade

FOT. AP/EASTNEWS, HAMID VAKILI/PARSPIX/ABACAPRESS.COM/EAST NEWS

eprasa.pl 1cf7f76a50

wszystko licznych przypadków łamania praw człowieka, wśród których najpoważniejszymi są pobicia, tortury, wyroki śmierci i pozasądowe egzekucje dysydentów. Jednocześnie wyrażano sprzeciw wobec pogarszającej się sytuacji ekonomicznej w kraju, rosnących cen i przerw w dostawach energii.

Rządzący odpowiedzieli na demonstracje jak zazwyczaj – odcinając dostęp do sieci i pacyfikując zgromadzenia. Ale też najwyższe władze, w tym sam ajatollah Ali Chamenei, podjęły decyzję o użyciu przeciwko demonstrującym ostrej amunicji. Według irańskich władz liczba ofiar wyniosła powyżej 3 tys. Działająca od dwóch dekad organizacja Human Rights Activists in Iran, zarejestrowana w Stanach Zjednoczonych, doliczyła się ok. 7 tys. Inne szacunki mówią o 32 tys. lub nawet 40 tys. ofiar w ciągu kilku tygodni.



Centrum Teheranu po nalocie, 2 marca 2026 r.

Ryczący lew

Te demonstracje chętnie są wykorzystywane w materiałach publikowanych w mediach społecznościowych przez organizacje lobbujące na rzecz Izraela, takie jak StandWithUs, do legitymizacji działań wojennych w Iranie. Według tych materiałów, nagrywanych z udziałem celebrytów w rodzaju tancerki Montany Tucker, celem Izraela i Stanów Zjednoczonych ma być właśnie zapewnienie wolności Irańczykom. A bombardowanie chociażby rezydencji Alego Chameneiego miało być gwarancją upadku państwa. Śmierć ajatollaha, jak również wysokich rangą wojskowych, takich jak minister obrony Ali Szamchani, nie doprowadziła jednak do całkowitego chaosu. Wbrew obiegowej opinii Islamska Republika Iranu nie jest dyktaturą jednego przywódcy, to system odporny na różnego rodzaju wstrząsy.

Trudno się dziwić, że śmierć Chameneiego podczas ataku na jego rezydencję 28 lutego nie wywołała zupełnego chaosu w strukturach władzy. Ajatollah miał już niemal 87 lat i jego najbliższe otoczenie było przygotowane na to, że wkrótce trzeba będzie go zastąpić. Następcę zgodnie z irańskim prawem ma wybrać Zgromadzenie Ekspertów.

Jednocześnie do przejęcia władzy zdaje się już szykować Cyrus Reza Pahlawi, syn obalonego w 1979 r. szacha, w ostatnich latach promowany w izraelskich i amerykańskich mediach jako lider irańskiej opozycji. Problem z Pahlawim jest jednak taki, że jego działania są głównie reaktywne, a on sam odezwy do narodu wzywające do wyjścia na ulice publikuje zazwyczaj wtedy, gdy protesty trwają na dobre. Choć może się szykować do objęcia władzy, raczej trudno się spodziewać, że reżim upadnie od samego bombardowania kraju.

Irańska broń

Republika Islamska zresztą się nie poddaje, o czym świadczy fakt, że prowadzi metodyczne ataki na Izrael oraz na amerykańskie placówki dyplomatyczne, statki i bazy wojskowe w regionie, w tym w Katarze, Zjednoczonych Emiratach Arabskich czy Arabii Saudyjskiej. Według komunikatów władz w Teheranie celem są nie tyle sami sąsiedzi, ile amerykańskie interesy.

Według analityków największe wyzwanie dla amerykańskiej operacji stanowić mają dopiero co wdrożone pociski średniego zasięgu klasy Chajbar, wyposażone w „rój" wabików ściągających uwagę obrony przeciwlotniczej. Zastosowanie takiej technologii powoduje, że wykorzystywane do zestrzeliwania wrogich rakiet systemy Patriot, THAAD czy Arrow 3, będące na wyposażeniu wojska amerykańskiego i Izraelczyków, szybciej zużywają amunicję.

W ubiegłym roku podczas czerwcowej „wojny 12-dniowej" właśnie kończąca się amunicja była największym wyzwaniem dla Sił Obrony Izraela, kiedy kolejne fale zmasowanych ataków rakietowo-dronowych stopniowo przeciążały tarcze przeciwrakietowe, będące dla Izraelczyków nie bez przyczyny powodem do dumy. Dla irańskiej doktryny wojennej o zwycięstwie w wojnie z Izraelem czy ze Stanami Zjednoczonymi przesądzi nie osiągnięcie przewagi strategicznej, ale przetrwanie i przeciążenie izraelskiej obrony.

Teheran ma w zanadrzu jeszcze jedną istotną broń, a jej użycie może mieć globalne efekty. Już od niedzieli 1 marca Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej zakazuje żeglugi statków, w tym tankowców, przez Cieśninę Ormuz. To kluczowy punkt dla światowego handlu, gdyż przez cieśninę przepływa 20% światowej ropy i ok. 21% światowego gazu skroplonego, który trafia tą drogą m.in. do Europy

eprasa.pl 1cf7f76a50

od takich producentów jak Katar. Dla wielu państw w regionie Zatoki Perskiej nie ma alternatywy dla transportu przez tę właśnie cieśninę. Także Chiny tą drogą transportują kupowane zasoby, a przedłużająca się blokada tego szlaku morskiego może doprowadzić do światowej recesji. Nie mniej ważne jest, że już od soboty 28 lutego ubezpieczyciele decydują się na anulowanie polis dla tankowców pływających w regionie. To podnosi koszty żeglugi, a dla wielu armatorów jest powodem do poszukiwania innych dróg i portów.

Operacja lądowa?

Stany Zjednoczone chwilowo wykluczają możliwość operacji lądowej, bez której trudno mówić o potencjalnej zmianie reżimu. Pojawiają się za to niepotwierdzone doniesienia, wedle których amerykańska agencja wywiadu CIA przygotowuje się do uzbrojenia kurdyjskich bojówek w Iranie, które mogłyby walczyć przeciwko reżimowi. O takiej operacji, która miałaby objąć zasięgiem zachodnią część Iranu, doniosła amerykańska telewizja CNN, powołując się na „liczne źródła" zaznajomione z planem.

Kurdyjskie milicje miałyby uzyskać wsparcie USA i Izraela, choć zasięg ich działania byłby w dużej mierze ograniczony do części kraju zamieszkiwanej przez Kurdów. Takie informacje mogą jednak świadczyć o tym, że w istocie celem operacji nie jest zmiana reżimu, lecz raczej długotrwała destabilizacja kraju, która uniemożliwi Iranowi odbudowanie potencjału.

Problem w tym, że taka strategia może mieć konsekwencje dla całego regionu lub nawet świata. Destabilizacja, jaka nastąpiła po operacjach rozpoczętych przez Stany Zjednoczone w Afganistanie i w Iraku, doprowadziła do wzmocnienia licznych ugrupowań zbrojnych reprezentujących różne interesy, często wrogich wobec siebie nawzajem. Czy zdestabilizowany Iran, państwo bardzo zróżnicowane etnicznie i religijnie, nie będzie zagrożeniem na taką skalę jak to, co wyłoniło się w Iraku i Syrii?

Republika wciąż istnieje

Wciąż jednak za wcześnie, przynajmniej w momencie kończenia tego tekstu, by mówić o upadku republiki. Iran International, portal specjalizujący się w doniesieniach z Iranu, choć finansowany przez Arabię Saudyjską, doniósł wieczorem 3 marca, że Zgromadzenie Ekspertów wybrało Modżtabę Chameneiego, syna zabitego przywódcy, na kolejnego najwyższego przywódcę. Modżtaba jest co prawda szyickim duchownym, ale na najwyższego przywódcę nie ma kwalifikacji – nie jest ani mardżą, ani ajatollahem, co sprawia, że nie ma religijnego autorytetu. Doniesienia te jeszcze się nie potwierdziły, a prezydent Masud Pezeszkian zapowiedział, że nowy przywódca zostanie ogłoszony dopiero po pogrzebie Chameneiego.

Nominacja nieposiadającego odpowiednich kwalifikacji syna zabitego przywódcy może z jednej strony podkopać wiarę w dotychczasowy reżim nawet wśród jego zwolenników. Z drugiej strony w szyizmie męczeństwo ma wielką wagę. Modżtaba Chamenei może więc skorzystać z istotnej premii wizerunkowej jako syn ajatollaha przedstawianego jako lider oporu wobec Stanów Zjednoczonych i Izraela, który zginął we własnej rezydencji, gdyż, jak donoszą irańskie media propagandowe, odmówił zejścia do schronu, skoro większość Irańczyków dostępu do schronów nie ma.

Kilka najbliższych dni okaże się decydujących dla losów wojny, jak również dla Republiki Islamskiej, dla której to kolejny potężny wstrząs w ostatnich latach. Jest to jednak też potężny wstrząs dla ładu międzynarodowego, gdyż po rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2022 r., izraelskich działaniach zbrojnych w Strefie Gazy i amerykańskiej operacji w Wenezueli w 2025 r. światowe mocarstwa kolejny raz pokazują wyraźnie, że prawo międzynarodowe jest opcjonalne, a wojna ofensywna wcale nie jest nielegalna. Tak krótkowzroczne podejście mogą znowu wykorzystać Rosjanie, testując jedność Zachodu.

Jakub Katulski

LIST

Imperium atakuje

Część świata protestuje przeciwko agresji Izraela i USA na Iran, a część (w tym dużo Polaków) ją popiera. To dowód, że w tych postawach chodzi nie o jakiekolwiek wartości, ale o podział świata. Działa zasada, że nasi zabijają słusznie, a obcy zbrodniczo. Żadne zbrodnie Netanjahu nie spowodują jego potępienia na Zachodzie.

Chłodna analiza pokazuje, że jest polityczna racjonalność w ostatnich działaniach Amerykanów. Są nadal największym imperialnym mocarstwem, ale słabnącym. Rosną siły krajów, które chciałyby się wyłamać spod amerykańskiej dominacji. Amerykanie rozumieją, że wkrótce nie zdołają obronić swojej przewagi nad światem. Póki więc mogą, próbują osłabiać siły im zagrażające. Wojna na Ukrainie osłabiła Rosję, teraz USA zostawiły ją Europie, która, walcząc z Rosją, też dobrowolnie się osłabia. Na Bliskim Wschodzie wspierają Izrael jako lokalne mocarstwo atomowe kontrolujące region. W tym kontekście rozbicie najsilniejszego przeciwnika Izraela ma sens. Atakami na Wenezuelę i Iran próbują odciąć rywalizujące z nimi Chiny i niepokorne Indie od surowców energetycznych. Sojusze wojskowe zawarte z Japonią, Wietnamem, Tajwanem i Malezją otaczają Chiny, blokując ich wyjście na oceany. Ataki USA wyprzedzają też konsolidowanie się krajów BRICS, które, obawiając się masowo stosowanych sankcji, mniej chętnie będą się pozbywać dolara.

USA wyciągnęły naukę z działań Rosji, która zaatakowała Ukrainę dopiero w 2022, a nie w 2014 r. To pozwoliło Stanom i Wielkiej Brytanii na takie wzmocnienie wojskowe Ukrainy dostawami sprzętu i organizowaniem armii, że mogła stawić czoła wojskom rosyjskim. Amerykanie nie chcą popełnić tego błędu i atakują z wyprzedzeniem. Tak wygląda polityka, którą można potępiać, ale trudno ją odwrócić.

Wiesław Żółtkowski

eprasa.pl 1cf7f76a50





Tucker Carlson nazwał ataki „diabelskimi i obrzydliwymi”.

Wojna jako biznes

Donald Trump wciągnął USA w wojnę z Iranem mimo deklarowanej niechęci do angażowania się w sprawy Bliskiego Wschodu

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

„Jak na razie słyszeliśmy, że choć wybiliśmy irański reżim, to nie jest wojna mająca na celu obalenie reżimu. Choć wcześniej zmietliśmy z powierzchni ziemi ich program nuklearny, musieliśmy iść na tę wojnę… właśnie z powodu tego programu. Choć Iran nie planował żadnych ataków na USA, mógł je planować – zależy, kogo pytamy. I choć nie jest to wojna, by wyzwolić irański naród, to ten naród właśnie stał się wolny albo będzie wolny – w zależności od tego, kto przejmie władzę, z tym że my tego nie wiemy. Przekaz w sprawie tej wojny jest, mówiąc delikatnie, chaotyczny!”. Gdyby szukać najlepszego opisu odczuć, jakie tydzień od rozpoczęcia wojny w Iranie targają Amerykanami, wypowiedź Matta Walsha (wpis z jego konta na X) wydaje się trafiać w sedno. Rzecz jest znamienna, bo Walsh to gwiazda prawicy, publicysta występujący na platformie The Daily Wire, z którą współpracują także Ben Shapiro, Michael Knowles oraz Andrew Klavan.

Niedoinformowani czy oszukiwani?

Choć większość konserwatywnej Ameryki poparła ataki (55% CBS/YouGov, 2 marca 2026), Amerykanie jako społeczeństwo czują się przede wszystkim niedoinformowani, a nawet oszukiwani, zwłaszcza jeśli chodzi o przyczyny wojny. Głównie dlatego, że argumenty wysuwane przez Biały Dom w pierwszych dniach przypominały ruchome piaski. Przechodziły od tezy o konieczności „ucięcia głowy reżimowi” – co w dzień ataku usłyszała Ameryka z ust Donalda Trumpa – przez konieczność zniszczenia arsenału irańskiej broni rakietowej i programu nuklearnego – to słowa sekretarza wojny Pete’a Hegsetha z jego pierwszego briefingu o wojnie – po „przyjacielską” przysługę, jaką USA po prostu oddały Izraelowi, który „potrzebował” zaatakować Iran, zanim Iran go zaatakuje – tak z kolei przedstawił sprawę sekretarz stanu Marco Rubio przed briefingiem dla kongresmenów w poniedziałek 2 marca.

A że wypowiedź Rubia wywołała gigantyczną falę oburzenia, i to po obu stronach, we wtorek 3 marca do akcji znów wkroczył Trump ze sprostowaniem, że to Izrael podpiął się pod Amerykę, a nie na odwrót. Mimo braku potwierdzenia ze strony

eprasa.pl 1cf7f76a50



Republikański senator Lindsey Graham: America First to nie izolacjonizm. America First to śmierć ludziom, którzy nam źle życzą.



Była kongresmenka Marjorie Taylor Greene, najsurowsza w tej chwili krytyczka Trumpa z łona jego własnego ruchu, oskarżyła prezydenta o bezczelną hipokryzję.

wywiadów z innych części świata Trump każe Amerykanom wierzyć, że Iran szykował się do zmasowanych ataków rakietowych na amerykańskie cele na Bliskim Wschodzie.

Bombardowanie Iranu było dla zdecydowanej większości Amerykanów dużym zaskoczeniem. Nie każdy śledzi codzienne wiadomości, a doniesienia o tym, że USA wysłały w ostatnim czasie na Bliski Wschód niemal jedną trzecią swojej floty wojennej, ustępowały miejsca rewelacjom o upublicznionej ostatnio najnowszej transzy akt Epsteina.

Tuż przed atakiem, w czwartek i w piątek, media serwowały odbiorcom głównie smaczki na temat kongresowych przesłuchań Clintonów w tej właśnie sprawie, wciąż żywe były też echa wtorkowego orędzia Trumpa o stanie państwa. Choć prezydent przemawiał niemal dwie godziny, Iranowi poświęcił ledwie trzy minuty, czym zwiódł nawet ekspertów. Dotąd prezydenci wykorzystywali tę okazję, aby informować naród o najważniejszych planach i celach swojej polityki, zwłaszcza jeśli chcieli rozpocząć działania wojenne.

Mnie wiadomość o zbombardowanym Iranie zastała w ośrodku narciarskim. O skali szoku, w jakim znaleźli się Amerykanie, najlepiej chyba świadczy to, jak często wpadały mi w uszy słowa „Trump", „wojna" oraz „Iran", gdy stałam w długich kolejkach do wyciągów (w Góry Skaliste zima przyszła dopiero dwa tygodnie temu!). Nie miałam także wątpliwości, że nawet wyborcy Trumpa wydawali się w pierwszej chwili raczej rozzłoszczeni niż dumni z takiego obrotu sprawy.

Matt Walsh: Przekaz w sprawie tej wojny jest, mówiąc delikatnie, chaotyczny.

„On oszalał? Będzie kolejny Afganistan. Obiecywał nam, że żadnych więcej wojen. To jest zdrada!", mówił stojący obok mnie z dwójką kolegów snowboardzista, na oko student. Na odpowiedź, że może wszystko pójdzie tak szybko jak w Wenezueli, energicznie zaprzeczył i dodał, że porządnie się teraz zastanowi, zanim znów pójdzie głosować.

Najgorsza ze zdrad

Establishment MAGAsfery też początkowo zareagował złością, a nawet buntem. Podkaster i zagorzały antysemita Nick Fuentes, który po śmierci Charliego Kirka intensywnie zagospodarowuje prawicową amerykańską młodzież, okrzyknął Trumpa zdrajcą i wezwał swoich fanów do… głosowania na demokratów.

Z potępieniem wojny jako wciągania Ameryki w nie swoje interesy wystąpili również Tucker Carlson i Megyn Kelly, byłe gwiazdy Fox News, dziś niezależni producenci własnych programów online. Carlson nazwał ataki „diabelskimi i obrzydliwymi" („»Pure Insanity« – Who Benefits From Bombing Iran?", The Tucker Carlson Network, 3 marca 2026), Kelly alarmowała, że „nikt nie powinien ginąć za obce państwo, (…) tymczasem amerykańscy żołnierze zginęli za Iran lub Izrael" („Understanding America's Goals in Iran", Megyn Kelly, 3 marca 2026).

Najsurowsza w tej chwili krytyczka Trumpa z łona jego własnego ruchu, była kongresmenka z Georgii Marjorie Taylor Greene, oskarżyła zaś prezydenta o bezczelną hipokryzję.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1cf7f76a50

„Tysiące Amerykanów z mojego pokolenia zginęło w bezsensownych i niekończących się wojnach za granicą, aż powiedzieliśmy: dość. Teraz wyzwalamy Irańczyków. No proszę was. To najgorsza ze zdrad, bo dopuszcza się jej człowiek i administracja, którym wszyscy uwierzyliśmy, że ich rządy będą inne!", grzmiała na swoim koncie na X już kilka godzin po atakach.

Większość republikańskich kongresmenów wciąż pracujących na Kapitolu albo nie od razu zajęła stanowisko, albo ustroiła się w piórka jastrzębi wojny i nawet podjęła się karkołomnego zadania spięcia ze sobą z pozoru sprzecznych doktryn i celów. Tak jak prominentny senator republikański z Karoliny Południowej Lindsey Graham w rozmowie z dziennikarzami 1 marca: „America First to nie izolacjonizm, nie głowa w piasku, nie postawa nieangażowania się (…). America First to śmierć ludziom, którzy nam źle życzą i dawali nam w przeszłości na to dowody, atakując nas za granicą" („Trump goes to war despite professed aversion to foreign entanglements, AP News).

Demokraci zaprezentowali bardziej jednolity front, lecz ataki na Iran potępili z nieco innych powodów. Przede wszystkim uznali je za kolejny akt prezydenckiego bezprawia i torowania sobie przez Trumpa drogi do możnowładztwa oraz demontażu demokratycznych instytucji. Trump rozpoczął wojnę, nie konsultując z nikim tej decyzji i nie informując o niej nawet członków kongresowej komisji sił zbrojnych. Konstytucja tymczasem dopuszcza przystąpienie USA do wojny tylko wówczas, jeśli autoryzuje to Kongres. W normalnych czasach Kongres mógłby ukarać prezydenta impeachmentem. Nie żyjemy jednak w normalnych czasach i wiadomo, że dziś do niczego takiego nie dojdzie.

Niecały tydzień od ataku na Iran republikańscy kongresmeni znów jednak zwarli szyki i złożyli 4 marca kolejny dowód bezwarunkowej wierności Trumpowi, blokując w Senacie rezolucję, która nałożyłaby na niego restrykcje w związku z dalszymi działaniami wojskowymi na Bliskim Wschodzie.

Demokraci piętnują Biały Dom za to, że wywołał wojnę bez przygotowania jakiegokolwiek planu pomocy Irańczykom w odbudowie kraju, gdy już przestaną lecieć na nich bomby. Trump w tym temacie mocno się miota, zadeklarował nawet, że nowy lider Iranu jak najbardziej może pochodzić z kręgów sprzyjających obecnemu reżimowi, o ile tylko zaakceptuje warunki i interesy Ameryki. Wychodząc ze wspomnianego wcześniej spotkania na Kapitolu z Markiem Rubiem, Chuck Schumer, przywódca senackiej mniejszości, stwierdził, że „padło mnóstwo pytań, jednak udzielone nam odpowiedzi były wysoce niesatysfakcjonujące".

W sondażu przeprowadzonym przez NBC 4 marca 52% respondentów stwierdziło, że Ameryka nie powinna była rozpoczynać wojny w Iranie, 41% wojnę popiera, 7% zaś nie ma w tej kwestii zdania. Większość przeciwników wojny wskazuje, że nie widzi uzasadnienia działań wojennych, które wiążą się przecież nie tylko z ryzykiem uwikłania kraju w kolejny niekończący się konflikt, ale i z kolosalnymi wydatkami.

Kto korzysta na wojnie?

Chyba że przyczyny wojny są bardziej oczywiste, niż myślimy. Taką tezę już w dniu ataku wysunęła prezenterka stacji telewizyjnej MSNBC Rachel Maddow. Wskazała, że napaść na Iran nie leży w interesie Amerykanów, ale jak najbardziej leży w prywatnym i biznesowym interesie Trumpa oraz grona jego możnych znajomych. Wojna została wywołana, bo musiała być wywołana, by te interesy zabezpieczyć. To tłumaczyłoby, dlaczego Iran zapłonął ledwie dzień po tym, jak omański minister spraw zagranicznych oświadczył w wywiadzie dla amerykańskich mediów, że w jego opinii porozumienie jest już blisko.

O słuszności podejrzeń Maddow świadczyć mogą także późniejsze osobliwe rozbieżności w przedstawianej przez różnych członków administracji narracji o genezie wojny. Nie jest przypadkowe, tłumaczyła zaś Maddow, że potężni przyjaciele Trumpa z rejonu Zatoki Perskiej to zarazem najwięksi, obok Izraela, wrogowie Teheranu. Od Kataru Trump dostał w ubiegłym roku łapówkę w postaci wartego 400 mln dol. samolotu, a syn prezydenckiego emisariusza wojennego Steve'a Witkoffa inwestycje w rodzinne przedsięwzięcia Witkoffów. Arabia Saudyjska zainwestowała 2 mld dol. w firmę zięcia Trumpa, gdy tylko Trump zakończył pierwszą kadencję. Zjednoczone Emiraty Arabskie zaś kilka dni przed inauguracją drugiej kadencji Trumpa kupiły za pół miliarda dolarów 49% udziałów w firmie inwestycyjnej jego synów, niebotycznie tym wzmacniając jej pozycję na rynku kryptowalut.

> Mimo braku potwierdzenia ze strony wywiadów z innych części świata Trump każe Amerykanom wierzyć, że Iran szykował się do ataków rakietowych na amerykańskie cele.

Nie zapominajmy o czymś jeszcze. „Jako zwykły obywatel Trump powtarzał w roku 2011, 2012 i 2013, że urzędujący wówczas prezydent Barack Obama wywoła wojnę z Iranem, żeby wzmocnić swoje szanse na reelekcję. (…) Dzisiaj, w obliczu własnej katastrofy politycznej w nadciągających wyborach, sam to zrobił", zakończyła swój program Rachel Maddow („Who benefits from Trump's war in Iran? The answer is disturbingly clear", MS NOW, 28 lutego 2026).

Wojna, co było do przewidzenia, nie ograniczyła się do Iranu i niebezpiecznie rozlewa się po świecie. Aż trudno uwierzyć, że kraj, który do niedawna był stabilizatorem świata, dziś jest tym, który sieje w nim chaos i zniszczenie.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 1cf7f76a50



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Śmierć irańskich dziewczynek

Mówienie o potworności wojny, każdej wojny, i jej ofiarach „ubocznych", czyli o większości realnych ofiar, niezaangażowanych w działania wojenne – nie ma dobrej prasy, nie ma dobrego czasu. Wzmożenie prowojenne już nie tylko niesie oswojenie się z możliwą pożogą, wchodzi bezszelestnie w nasz język, w słowa, ale też jakby niezauważalnie demontuje nam ludzkie, naturalne odruchy etyczne. Akceptacja scenariuszy wojennych (ponoć koniecznych i nieuniknionych) staje się akceptacją wydarzeń, zbrodni, przemocy, na które w innej, codziennej skali nie dajemy przyzwolenia. Żywo reagujemy na doniesienia np. o śmierci czy poranieniu dziecka w wypadku drogowym. Pojedyncze utonięcia zasługują na obecność w obiegu informacji. Ujawniane akty przemocy wobec dzieci w przestrzeni domowej wzbudzają wciąż żywe emocje, oburzenie i niezgodę.

I nagle, kiedy w taki pejzaż wkracza taka zbrodnia jak zbombardowanie (najpewniej przez USA, równie dobrze Izrael – bo tę wojnę wywołali i prowadzą ramię w ramię, bomba w bombę) irańskiej szkoły, gdzie uczyły się dziewczynki, a liczba ofiar sięgnęła 150 osób – zapada cisza, wzrok odwraca się gdzie indziej, usta milczą, zwykły odruch i zareagowanie rozpływają się w ciszy i milczeniu. W polskiej przestrzeni komentariackiej pojawiły się nawet głosy, „że tak już jest na wojnie".

Język amerykańskich przywódców dawno przekroczył wszystkie etyczne i racjonalne granice. Trump mówi, że miał intuicję, że Iran go „oszukuje", i wojna jest jedyną możliwą reakcją. Sekretarz obrony (chociaż ichnie Ministerstwo Obrony zostało przemianowane dziwnie trafnie na Ministerstwo Wojny) Pete Hegseth chwalił się, że lada moment Ameryka i Izrael przejmą „totalną kontrolę" nad irańską przestrzenią powietrzną, co pozwoli im „siać śmierć i zniszczenie całymi dniami". I społeczność międzynarodowa to łyka z zamkniętymi oczami. Polska ustami ministra Sikorskiego potępia irańskie próby przeciwstawienia się agresji, a niejaki Nawrocki pisze sążniste oświadczenie, w którym czytamy: „Stany Zjednoczone – największy sojusznik Rzeczypospolitej Polskiej – straciły dziś trzech swoich synów w ataku odwetowym przeprowadzonym przez Iran. Kilku innych odniosło obrażenia. Myślami i modlitwą jesteśmy z nimi oraz ich rodzinami".

W tym świecie „polityki" nie ma miejsca nawet na słowo współczucia dla ponad stu zabitych irańskich dziewczynek. A gęby pełne frazesów o wyzwoleniu i wolności dla Iranu.

Jakimże odstępstwem od tej reguły bezwyjątkowego wsparcia dla wojennych działań Izraela i USA jest głos hiszpańskiego premiera, socjalisty rzecz jasna: „Tak zaczynają się wielkie katastrofy ludzkości. Nie można grać w rosyjską ruletkę losem milionów ludzi". Pedro Sánchez dodał, że jego kraj „nie będzie współwinny zła z obawy przed represjami ze strony niektórych państw". Za słowami poszły decyzje: rząd w Madrycie nie wyraził zgody na wykorzystanie przez USA baz wojskowych na terenie Hiszpanii.

Pomarańczowy stał się w jednej chwili purpurowy i zaczął wygłaszać antyhiszpańskie tyrady: „W reakcji na brak chęci pomocy ze strony Hiszpanii podczas rozpoczęcia operacji w Iranie USA zrywają z tym krajem kontakty handlowe". A dalej szła pogłębiona analiza tego orzeszkowego mózgu: „Niektóre kraje europejskie okazały się pomocne, a inne nie – i jestem tym bardzo zaskoczony. Niemcy były świetne... Hiszpania była okropna. Powiedziałem nawet Scottowi (Bessentowi, sekretarzowi skarbu USA – przyp. red.), żeby zerwał wszelkie kontakty z Hiszpanią. Nawiasem mówiąc, nie jestem też zadowolony z Wielkiej Brytanii". Prezydent dodał, że Hiszpania nie ma absolutnie niczego, czego potrzebują USA. „Poza wspaniałymi ludźmi. Mają wspaniałych ludzi, ale nie mają wspaniałych władz". Krótko po tym, jak Izrael razem ze Stanami Zjednoczonymi zdecydował o ataku na Iran, a Hiszpania sprzeciwiła się tej operacji, co najmniej 11 amerykańskich samolotów tankujących KC-135T i KC-135R opuściło hiszpańskie bazy w Rota i Morón.

W poniedziałek rząd hiszpański oświadczył, że odmówił użycia swoich baz siłom amerykańskim zaangażowanym w atak na Iran, w tym kluczowym samolotom tankującym, które w niedzielę opuściły Hiszpanię i udały się do innych krajów. „Hiszpańskie bazy wojskowe nie będą wykorzystywane do celów wykraczających poza porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi i Kartę Narodów Zjednoczonych", powiedział minister spraw zagranicznych José Manuel Albares. Hiszpania jest jednak chlubnym wyjątkiem na tle krajów Unii Europejskiej, zajęcie takiego jasnego stanowiska, podparte konkretnymi decyzjami, imponuje i jest chyba właśnie doskonałym przykładem suwerenności. Polska zostaje oczywiście w wiernopoddańczym ukłonie wobec USA i Izraela.

Sánchez i Hiszpania pokazują, że jest alternatywa. Że model podporządkowania Europy interesom USA jest nieaktualny i wymaga rewizji uprawianej polityki. Obawiam się, że gdyby doszło w nieodległej przyszłości do realnej konfrontacji (nawet militarnej) USA z Europą, polska klasa polityczna stanęłaby po stronie Trumpa i USA. Taka jest moc politycznego feudalizmu.

A Hiszpania i ja skromnie z boku, z niszy, z marginesu powiemy znowu, jak 90 lat wcześniej: No pasarán! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50

Honorowy obywatel – wstydliwy problem

Spór o upamiętnienie kard. Gulbinowicza w rejonie wileńskim

Tomasz Otocki
Korespondencja z Litwy

Lata temu region zasłynął z intronizowania Chrystusa Króla w obliczu politycznych niebezpieczeństw. Długo rządzony przez polską partię narodowo-katolicką, dziś współadministrowany także przez litewską socjaldemokrację, której przedstawicielem jest młody mer Robert Duchniewicz, wciąż ma problemy polityczne. W ostatnich miesiącach dyskutuje się tu o tym, czy odebrać honorowe obywatelstwo skazanemu przez Watykan m.in. za pedofilię kard. Henrykowi Gulbinowiczowi. W grę wchodzą także trzy ulice jego imienia. Rada rejonowa podzieliła się, większość członków umyła ręce. Gulbinowicz więc pozostaje na Wileńszczyźnie kontrowersyjnym patronem i honorowym obywatelem.

Odebrać te honory

– Moim zdaniem sprawa upamiętnienia kard. Gulbinowicza już dawno przestała być wyłącznie kwestią historyczną. Dziś to w dużej mierze spór o postawy i odpowiedzialność w życiu publicznym, który ma również wymiar polityczny – zaczyna rozmowę ze mną Daniel Ilkiewicz. Radny wileńskich liberałów urodził się w 1998 r., Gulbinowicza (od 11 lat honorowego obywatela rejonu) nie może dobrze pamiętać. Zresztą, jak informuje mnie lokalna dziennikarka katolicka Rūta Tumėnaitė, urodzony na przedwojennej Wileńszczyźnie kardynał nie jest osobą znaną wśród ogółu litewskich katolików. – To raczej bohater dla lokalnych Polaków – podkreśla dziennikarka katolickiej sekcji państwowej rozgłośni LRT.

Ilkiewicz, absolwent nauk politycznych na Uniwersytecie Wileńskim, były asystent litewskiej minister sprawiedliwości Eweliny Dobrowolskiej, od 2023 r. radny podstołecznego samorządu, mówi wprost: – Na całą sprawę patrzę przede wszystkim przez pryzmat ofiar. Wierzę, że prawda i odpowiedzialne podejście do polityki pamięci są po właściwej stronie i dlatego będę konsekwentnie poszukiwał kolejnych kroków prowadzących do godnego rozwiązania tej sprawy.

W 2020 r. Watykan nałożył na Gulbinowicza sankcje, m.in. zakaz udziału w publicznych celebracjach i używania insygniów biskupich.

Słowa Ilkiewicza należy czytać wprost: Gulbinowiczowi trzeba odebrać honorowe obywatelstwo oraz patronat nad ulicami. Młody polityk Partii Wolności ma już nawet pomysł na nowe nazwy, dosyć na czasie: Obrońców Ukrainy oraz Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Rejonowa awantura trwa od kilku miesięcy, ale zaczęło się jeszcze w 2015 r. Wtedy rządząca niepodzielnie rejonem od 20 lat polska partia o profilu narodowo-katolickim, czyli Akcja Wyborcza Polaków na Litwie (AWPL), postanowiła uczcić urodzonego w 1923 r. w Wilnie kard. Gulbinowicza tytułem honorowego obywatela rejonu wileńskiego. „Za" głosowali prawie wszyscy radni, tylko jeden się wstrzymał. Tytuł honorowego obywatela ówczesna mer rejonu Maria Rekść wręczyła osobiście kardynałowi w 2017 r., podczas partyjno-samorządowej pielgrzymki do stolicy Dolnego Śląska. Specjalnie dla Gulbinowicza wystąpił wtedy Zespół Pieśni i Tańca Ludowego „Zgoda" z podwileńskiego Rudomina. Sam kardynał przypomniał, że przez rok pracował w tej miejscowości jako kleryk.

Biogram Gulbinowicza na stronie rejonu składa się zaledwie z kilku zdań. Przeczytać możemy, że wrocławski kapłan „urodził się w 1923 r. w rejonie wileńskim, gdzie spędził dzieciństwo i młodość, po wojnie był zmuszony do opuszczenia swej ojczyzny". Strona internetowa samorządu informuje też, że Gulbinowicz „swoje życie ofiarował Bogu i ludziom. W czasach sowieckich walczył o przetrwanie Kościoła Katolickiego (pisownia oryginalna). Wspierał parafie Wileńszczyzny, przyczynił się do remontów kościołów, organizował wycieczki uczniów z Wileńszczyzny do Polski".

O jednej z takich wycieczek opowie publicznie na Facebooku, a później w litewskich mediach, przewodniczka wileńska Alina Obolewicz, ofiara Gulbinowicza.

Wchodzę jeszcze raz na stronę internetową rejonu wileńskiego, przeglądam listę honorowych obywateli samorządu. Oprócz księży znajdują

eprasa.pl 1cf7f76a50



Protest przed siedzibą samorządu rejonu wileńskiego pod hasłem „Pedofile nie mogą być honorowymi obywatelami". Wrzesień 2025 r.

się na niej politycy związani z lokalną partią AWPL-ZChR, w tym europoseł Waldemar Tomaszewski. „Tym tytułem oceniono jego zasługi, wkład w dobrobyt i rozkwit rejonu wileńskiego", widnieje w notce o nim. Tomaszewski był w przeszłości wicemerem rejonu, obecnie jest m.in. prezesem ogólnorepublikańskiej, ale także rejonowej organizacji Związku Polaków na Litwie. Przede wszystkim jednak kręci jako prezes z wieloletnim stażem AWPL-ZChR (człon ZChR, Związek Chrześcijańskich Rodzin, ugrupowanie dodało do nazwy w 2016 r.) partią narodowo-katolicką, choć przeciwnicy Tomaszewskiego powiedzieliby, że „narodowo-sowiecką", ale zostawmy te uszczypliwości.

Watykan jedno, Wileńszczyzna drugie

Gulbinowicz stał się również patronem trzech ulic w rejonie wileńskim. Żaden inny samorząd, w tym stołeczny, choć kardynał formalnie urodził się w Wilnie, a nie w samym rejonie, nie poszedł tą drogą. No ale w stolicy Litwy większości nigdy nie miała AWPL-ZChR, jedynie od czasu do czasu współrządziła tym samorządem.

W 2020 r. Watykan nałożył na Gulbinowicza sankcje polegające na zakazie udziału w publicznych celebracjach i używania insygniów biskupich oraz odebraniu prawa do nabożeństwa pogrzebowego i pochówku we wrocławskiej katedrze. Opublikowane w polskich mediach zarzuty pod adresem kardynała o przestępstwa seksualne i współpracę z SB trafiły jakiś czas temu do litewskich środków przekazu, w tym na Wileńszczyznę. Kwestia ta stała się polityczna jesienią 2025 r., gdy lokalna organizacja pozarządowa Centrum Przeciwdziałania Handlowi Ludźmi i Wykorzystywaniu zaczęła się domagać, by honorowe obywatelstwo zostało odebrane polskiemu duchownemu.

Opublikowane w polskich mediach zarzuty pod adresem kardynała o przestępstwa seksualne i współpracę z SB trafiły do litewskich środków przekazu.

„Pedofile nie są naszymi honorowymi obywatelami", „Politycy, chrońcie nasze dzieci", „Pedofile nie mogą chować się pod sutanną" – z takimi hasłami protestowano pod gmachem samorządu rejonu. Jednocześnie radny Ilkiewicz zarejestrował projekt uchwały dotyczący odebrania Gulbinowiczowi tytułu.

Radni AWPL-ZChR przerazili się. Wniosek liberała poparło 11 radnych litewskiej socjaldemokracji i konserwatystów, „przeciw" zagłosowała czwórka radnych AWPL-ZChR, a 12 polskich radnych wstrzymało się od głosu. Politycy partii litewskich wskazywali przykład Polski, gdzie w 2020 r. rada Wrocławia pozbawiła kardynała tytułu honorowego obywatela miasta. Mówili, że Gulbinowicz nie jest godny ani być honorowym obywatelem rejonu, ani patronem ulic w Niemenczynie, Pakałniach i Punżanach. Arcybiskup wileński Gintaras Grušas podkreślił już po obradach rady, że „nie ma wątpliwości co do powagi popełnionych przez Gulbinowicza przestępstw". Nikogo z polityków odwołujących się do katolicyzmu to nie przekonało.

– Zmianę nazw mogą zainicjować sami mieszkańcy tych ulic – argumentowali politycy AWPL-ZChR. Gdy rozmawiam z jednym z nich, Waldemarem Urbanem, zresztą byłym kandydatem polskiej partii na mera, mówi mi, że to najlepsza droga do rozwiązania problemu: – Oddajmy tę kwestię ludziom.

Krytycy wskazują, że AWPL-ZChR jak diabeł święconej wody boi się tematyki związanej z Kościołem i wolałaby mu się nie narażać na forum publicznym, zwłaszcza że partia utrzymuje kontakty z narodowo-katolickimi środowiskami w Polsce, a Waldemar Tomaszewski ma zawsze otwarte drzwi do Radia Maryja i Telewizji Trwam. Nie bez powodu partia przyjęła w 2016 r. nazwę Związek Chrześcijańskich Rodzin, współpracując z analogiczną organizacją w Polsce, kierowaną przez byłego europosła LPR Bogusława Rogalskiego, stałego felietonistę partyjnego portalu l24.lt.

Pytam Urbana, czy rzeczywiście to nie rada rejonu powinna podjąć decyzję, czy trzeba obarczać nią obywateli, ale ten robi unik. Gdy dopytuję o jego zdanie, mówi, że „opinie na temat kardynała są podzielone".

Ilkiewicz odpiera to w ten sposób: – Kard. Gulbinowicz dla części mieszkańców pozostaje ważną postacią i naturalne jest, że nie wszyscy chcą zmian. Jednocześnie rolą

FOT. PLATFORMAX

eprasa.pl 1cf7f76a50

odpowiedzialnych polityków jest nie tylko odzwierciedlanie nastrojów społecznych, ale także prowadzenie wspólnoty w stronę standardów opartych na faktach i wartościach. Musimy jasno mówić: ochrona dzieci i reagowanie na przypadki pedofilii nie mogą podlegać relatywizacji.

Litewska znajoma, której rodzina pracuje w samorządzie rejonu wileńskiego (woli pozostać anonimowa, bo rejon potrafi być „mściwy"), rysuje postawę lokalnych polskich urzędników i sposób myślenia tutejszej społeczności ostrą kreską: – „Liberałowie idą! To walka z chrześcijaństwem!". Tak myślą ci ludzie. „Przecież my go znaliśmy, spotykaliśmy go wiele razy, jak mógłby zrobić takie rzeczy?". Ich nie przekonuje Watykan ani stanowisko archidiecezji wileńskiej. Nepotyzm, klerykalizm. Solidarność plemienna, którą zmieni dopiero demografia. Młodzi Polacy wstydzą się tego, ale co mogą zrobić? Nic się nie zmieni jeszcze przez jakiś czas – dodaje pesymistycznie.

Wzdychał i wzdychał

Działalność kardynała poznała dobrze lokalna przewodniczka Alina Obolewicz, która sprawę opisała mediom litewskim. „Wzdychał i wzdychał. Potem, przez otwory w konfesjonale, zobaczyłam nie tylko ruchy pod jego sutanną, ale także jego genitalia i spermę. Nie wiedziałam, co to było, ale zobaczyłam obrzydliwy i odrażający widok, jego zachowanie, i usłyszałam dźwięki. Nie wiedziałam, co robić, bo nie usłyszałam trzech stuknięć. Z opuszczoną głową cierpiałam dalej, czekając. Potem skończył i usłyszałam trzy stuknięcia – to moje wspomnienia z pierwszej w życiu spowiedzi świętej".

Artykuł ze wspomnieniami Obolewicz ukazał się 20 lutego br. w portalu LRT pod tytułem „Ślady Gulbinowicza na Litwie: przerażające doświadczenia 11-latki wciąż ją prześladują". Tekstu nie skomentowali politycy lokalnej AWPL-ZChR. Zresztą było już po obradach rady rejonowej.

Nieco wcześniej w internecie pojawiła się zaś petycja Stowarzyszenia Sceptyków i Centrum Przeciwdziałania Handlowi Ludźmi i Wykorzystywaniu dotycząca odebrania Gulbinowiczowi honorowego obywatelstwa. Na petycję zareagowała kontroler sejmowa Jolita Miliuvienė. W piśmie skierowanym do mera rejonu, socjaldemokraty Roberta Duchniewicza, wskazała, że brak decyzji lub jej odwlekanie może mieć wymiar społeczny. Wtedy w końcu zadziałał lokalny samorząd, którym od 2023 r. kieruje Duchniewicz, swego czasu bohater tekstu w „Przeglądzie" o litewskiej lewicy. On klerykałem nie jest, ale współrządzi w dość egzotycznej koalicji z AWPL-ZChR, która wciąż wystawia jego dwóch zastępców.

Na początku lutego 2026 r. media poinformowały, że trwają prace nad zmianą nazw ulic upamiętniających byłego kardynała.

Na początku lutego 2026 r. media poinformowały, że trwają prace nad zmianą nazw ulic upamiętniających byłego kardynała. Władze rejonu, czytaj współrządząca samorządem socjaldemokracja, stwierdziły, iż na takie wyróżnienie o wiele bardziej zasługuje m.in. nieżyjący już lokalny działacz kulturalny Gabriel Jan Mincewicz, skądinąd również polityk AWPL-ZChR, ale dość powszechnie szanowany. Inna ulica Gulbinowicza miałaby się stać po prostu ulicą Bujwidzką.

Działania lokalnego samorządu były wynikiem stanowiska litewskiego rządu, współtworzonego obecnie przez socjaldemokrację, która zasugerowała zmiany nazw ulic w rejonie.

Mimo stanowiska władz rejonu rada samorządowa odrzuciła w połowie lutego propozycje zmiany nazw dwóch ulic. Głosowanie przebiegło podobnie jak jesienią 2025 r. Za zmianą nazw zagłosowało 10 radnych, przeciw była trójka, ale 15 wstrzymało się od głosu. – Dzisiejsza decyzja rady jest haniebna, mimo to powinniśmy szukać innych sposobów rozwiązania tej sprawy – grzmiał Ilkiewicz. Radna lewicy Rūta Carik, przypominając o decyzji Stolicy Apostolskiej, zwróciła uwagę na wrażliwość ofiar. – Czy nie potrafimy czytać? Czy nie rozumiemy faktów? A może wybieramy je selektywnie? – pytała podczas posiedzenia.

Z kolei liberalny radny Stasys Mušeikis podkreślał, że decyzja może mieć „długofalowe konsekwencje prawne, moralne i wizerunkowe" dla rejonu, który będzie się kojarzył z obroną pedofilii.

Paradoksalnie radni AWPL-ZChR, mimo że w praktyce zablokowali decyzję o zmianach, w ocenie kardynała się podzielili. Tadeusz Andrzejewski, partyjny intelektualista i szef think tanku ugrupowania, stwierdził, że zarzuty wobec kardynała należy uznać za „dezinformację". – To bardzo bolesny temat. Nikt z nas nie chciałby bronić osoby związanej z takimi oskarżeniami. Jednak w mojej ocenie zarzuty nie zostały udowodnione – dodała Maria Rekść, prosząc Ilkiewicza, by nie używał słowa pedofil, skoro „niczego nie udowodniono". Stosunkowo „liberalnie" na tle całej AWPL-ZChR wypadł Urban, który sprawę chciał scedować na mieszkańców rejonu.

Najbardziej popłynął zaś młody radny polskiej partii Robert Rackiewicz: – Chciałbym tylko podać trochę statystyki: w całym Kościele katolickim i na świecie odsetek przypadków pedofilii jest niższy niż w większości parlamentarnej utworzonej w latach 2020-2024 przez konserwatystów, Partię Wolności i partię skazaną za przestępstwa korupcyjne.

Trudno to nawet komentować. Wiadomo tylko, że dopóki większość w radzie rejonowej jest taka, jaka jest, żadnych zmian nie będzie, chyba że zaapeluje o to Kościół katolicki, którego AWPL-ZChR, przynajmniej formalnie rzecz biorąc, się słucha.

Czy sprawa Gulbinowicza stanie się tematem kampanii w wyborach samorządowych w 2027 r.? Raczej nie, bo ludzi bardziej jednak interesują służba zdrowia, oświata czy dostęp do kultury.

– Gulbinowicz niech zostanie, on w końcu swój. Kto wie, jak to naprawdę było – mówi mieszkaniec rejonu. Niezwiązany z AWPL-ZChR.

Tomasz Otocki

eprasa.pl 1cf7f76a50



Oko w oko Tomasz Jastrun

Lew zaryczał

Film w reżyserii Mary Bronstein pod mało fortunnym tytułem „Kopnęłabym cię, gdybym mogła”. Jaki niezwykły sposób opowiadania, nie widzimy chorej dziewczynki, która jest drugą bohaterką filmu, słyszymy tylko jej głos. I jest matka uwikłana w chorobę dziecka, w swoje zawodowe zmory. Dawno nie widziałem tak poruszającego obrazu. Wielkim fanem kina jest mój 19-latek, to on polecił mi ten film, czuje kino, kocha je, kolekcjonuje obejrzane filmy. Ja też wolę kino od teatru, co źle o mnie świadczy, teatr uchodzi za bardziej szlachetną sztukę. Chciałem jednak pójść na „Termopile polskie” do Teatru Narodowego, w reżyserii Jana Klaty, według sztuki Tadeusza Micińskiego, o polskich mitach i wadach narodowych, ale nie ma biletów, mimo że ceny zawrotne. Ciekawe, że Polacy tak cenią opowieści o tym, jacy jesteśmy straszni.

To też ciągle słyszę w rozmowach ludzi, że jesteśmy okropnym społeczeństwem, okropnymi ludźmi, co za naród! Już Piłsudski wołał: „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy”. Trochę w tym stylu przed laty pisałem swoje felietony do paryskiej „Kultury”. Ale teraz bardzo złagodniałem. Lepiej rozumiem nasze wady, jesteśmy po traumach, a „narody niekochane przez historię są jak dzieci niekochane przez rodziców” (Jean Delumeau). Tak, historia dawała nam popalić, ale nie mamy jakoś znacząco więcej wad niż inne nacje. I przecież poprawiamy się. Chociaż nadal gburów u nas więcej niż na zachodzie Europy. Wczoraj gburowata urzędniczka na poczcie i niemiła bibliotekarka. Ale też idealizowaliśmy Amerykę i Zachód. Te zachodnie mity już nam topnieją jak lodowce.

•

Pokaż mi, jakich masz znajomych, z kim się przyjaźnisz, a powiem ci, kim jesteś. Pokaż, jakie książki czytasz, jeśli czytasz, pokaż swoją twarz, ona też wiele powie. PiS to przyjaźń z Orbánem, który jest wyjątkowym łajdakiem, i z Trumpem, a jaki jest Trump, każdy widzi; sympatia do Le Pen i Ficy. PiS to także Telewizja Republika – gdy się tam wchodzi, to jakby wejść do ścieku. A twarze PiS: Bąkiewicz, Gosek, Macierewicz, Matecki, Czarnecki, Kempa i inni… Przecież to Muppet Show. Moi najwięksi ulubieńcy to Bąkiewicz i Gosek. Uwielbiam na nich patrzeć, słuchać ich – uczta dla oka i ucha. W rządzie prawicy Gosek powinien być ministrem kultury, a Bąkiewicz ministrem oświaty.

•

Nawrocki w pułapce, co robić z programem SAFE. Zablokować? Gorąco za SAFE jest cała generalicja, większość społeczeństwa jest za, biznes też. Podpisać to jednak napluć w twarz prezesowi i jego trzódce. Okropna, niemożliwa sytuacja. Prezydent rozpaczliwie szuka jakiegoś trzeciego wyjścia: gdzieś to odesłać, zwlekać, marudzić, kluczyć. Czy to korzystne dla Polski – nieważne. Ważne, czy poprawne politycznie dla prawicowego myślenia. Bo przecież SAFE zwiąże nas bardziej z Unią, straszne.

Nie potrafię współczuć Nawrockiemu. Pieniądze są Polsce niezbędne, podano nam je na tacy. PiS i Konfederacja krzyczą, że to niemiecka ręka z krzyżackim pierścieniem na palcu. I bądź tu mądry. Nie da się. Paradoksalnie dla Nawrockiego to polityczne złoto. Jeśli powie „tak”, pisowcy mu to wybaczą, bo nie będą mieli innego wyjścia, a zyska wiele głosów elektoratu niezdecydowanego, że niby niezależny. Więc już może niech lepiej zawetuje. Przynajmniej nie będzie złudzeń.

•

PiS ma coraz większą konkurencję po prawej stronie, czego zawsze tak się bał prezes. Jest partyjny nakaz, by atakować Brauna i Mentzena. Wewnętrzne konflikty wypełzają na zewnątrz. PiS butwieje, PiS się chwieje, bo jak długo można budować politykę na straszeniu, na złych emocjach, na jadowitym kłamstwie i paranoi smoleńskiej. Konflikt, lęk i kłamstwo są ich paliwem. To działało przez wiele lat, ale zainfekowane umysły są już zmęczone monotonią propagandy.

Problem w tym, że łatwiej wojnę zacząć, niż ją zakończyć.

•

Trudno nie mieć mieszanych uczuć wobec ataku Stanów i Izraela na Iran. To kontynuacja trumpowskiej zasady, że duży może sobie ze smakiem zjadać mniejszego na światowej arenie. A z drugiej strony jak się nie cieszyć, że jest próba zgniecenia okrutnego, fanatycznego reżimu, nienawidzonego przez samych Irańczyków. I nie wolno dopuścić, by opętani mieli bomby atomowe. Nie zawahają się ich użyć. Problem w tym, że łatwiej wojnę zacząć, niż ją zakończyć. Nie da się spacyfikować Iranu z powietrza. A jak lud wyjdzie na ulice, na co liczą Trump i Netanjahu, to strażnikom rewolucji starczy sił, by wymordować protestujących. Na razie dobra wiadomość, że zabito tego brodatego łajdaka… W liście do prezydenta Iranu Masuda Pezeszkiana Putin napisał, że to „cyniczne pogwałcenie moralności i prawa międzynarodowego”. Wzruszyłem się. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cf7f76a50

Jak inwazja Rosji na Ukrainę zmieniła oblicze wojny

Przede wszystkim pole walki zostało przekształcone przez drony



Publikacje Anatola Lievena ani sama osoba autora nie wymagają specjalnej rekomendacji. W trakcie czteroletniej już wojny rosyjsko-ukraińskiej głos Lievena wielokrotnie brzmiał jak głos rozsądku. To powód, dla którego „Przegląd" udostępniał mu nieraz swoje łamy. Tym razem autor ten dokonuje rekapitulacji zmian w systemie walki, które nastąpiły w czasie działań wojennych. Zdążył nas przyzwyczaić, że robi to klarownie i ze znawstwem. Prezentowane fragmenty artykułu pochodzą z witryny internetowej Responsible Statecraft. Całość, która ukazała się 23 lutego, można przeczytać pod adresem: responsiblestatecraft.org/ukraine-war-tactics/. Tytuł spolszczonych fragmentów tekstu pochodzi od tłumacza.

Anatol Lieven

W ciągu ostatnich czterech lat wojna w Ukrainie zmieniła uzbrojenie i taktykę wojskową bardziej aniżeli jakikolwiek konflikt od 1945 r. (…) To powiedziawszy, trzeba zaznaczyć, że lekcje płynące z pierwszego roku wojny nie niosły zasadniczo niczego nowego. Z powodu uderzająco złego wywiadu (sprawę prawdopodobnie pogarszało wzdraganie się przed przekazywaniem Putinowi niewygodnych informacji) Rosjanie nie docenili siły i determinacji ukraińskiego oporu. Wynikało to z ich starych i nowych uprzedzeń. Jednym z nich było przekonanie, że prezydent Wołodymyr Zełenski – uchodzący w oczach Rosjan za nic nieznaczącego aktora komediowego – ucieknie lub podda się w obliczu rosyjskiego ataku. (…)

Niedocenienie Ukraińców doprowadziło do kolejnego klasycznego błędu. Rosjanie nie tylko zaangażowali zbyt mało oddziałów do wyznaczonych zadań, ale jeszcze dokonali ich podziału, aby osiągnąć sześć różnych celów. W rezultacie zdołali osiągnąć tylko jeden. Opanowali mianowicie „lądowy most" łączący Rosję z Krymem.

Niechęć rosyjskiego rządu do wysłania poborowych lub przeznaczenia dużych sum pieniędzy na rozbudowę zawodowej armii spowodowała, że Rosji brakowało żołnierzy do utrzymania już zajętych terytoriów. Pierwszy miesiąc wojny dał jednakże istotną lekcję. Kombinacja ukraińskich ręcznych wyrzutni przeciwpancernych oraz przeciwlotniczych zniwelowała rosyjską przewagę pod względem pojazdów pancernych, śmigłowców szturmowych i samolotów szturmowych, która stanowiła sedno radzieckiego, rosyjskiego i amerykańskiego planowania działań ofensywnych w „wielkich wojnach".

W miarę rozwoju wypadków wojna coraz bardziej odbiegała od doświadczeń zebranych w ubiegłym stuleciu. Wynikało to nade wszystko z wielkich korzyści, jakie uzyskała obrona w wyniku połączenia starych i nowych broni. Wywiad satelitarny pozwolił zarówno Rosjanom, jak i Ukraińcom (z pomocą USA) ustalać miejsca, w których druga strona koncentrowała wojska do ataku, a tym samym zgromadzić siły zdolne się im przeciwstawić. Pomogło to Rosjanom odeprzeć ukraińską kontrofensywę latem 2023 r., a Ukraińcom powstrzymywać kolejne rosyjskie natarcia. Wszystko to przypomina rozwój rozpoznania lotniczego w trakcie I wojny światowej, z tym że satelity – w przeciwieństwie do samolotów – nie mogą, przynajmniej na razie, zostać zestrzelone.

Wywiad satelitarny pozwolił i Rosjanom, i Ukraińcom ustalić miejsca, w których druga strona koncentrowała wojska do ataku.

Przede wszystkim jednak, co każdy przyznaje, pole walki zostało przekształcone przez drony. Wykorzystanie przez obie strony na wielką

FOT. GERAINT LEWIS/WRITER PICTURES/FORUM

eprasa.pl 1cf7f76a50

skalę dronów wytworzyło pas ziemi niczyjej o szerokości ponad 15 mil (ponad 24 km). W pasie tym każdy odnotowany ruch okazuje się z ogromną dozą prawdopodobieństwa śmiertelny dla ludzi i oznacza stuprocentowe zniszczenie maszyn. Nawet dobrze okopani żołnierze mogą zostać dostrzeżeni i jeden po drugim unicestwieni. (…)

Drony nie tylko uniemożliwiły zgromadzenie niezbędnej liczby ludzi i maszyn do decydującego przełamania frontu, ale też w ostatnich dwóch latach zmusiły rosyjską armię do zredukowania swoich atakujących sił do grup liczących zaledwie dwóch lub trzech żołnierzy. (…) Fryderyk Wielki wyraził tylko starą wojskową prawdę, gdy powiedział, że aby zmusić żołnierzy do natarcia w obliczu ognia [nieprzyjaciela], muszą oni bardziej obawiać się własnych podoficerów niźli wroga. Nie jest to możliwe w trzyosobowym oddziale. Nie ma tam starszego podoficera, który by tę trójkę przestraszył, ani oficera, który by ją zainspirował. Jeśli żołnierze nie wykazują wyjątkowo wysokiego morale i determinacji, to w obliczu silnego ostrzału rzucą się po prostu do ucieczki.

To, co opisałem, wydaje się tak oczywiste, że nie może być zignorowane przez zachodnich wojskowych. Nigdy jednak nie dość przywiązywania wagi do ich konserwatyzmu. (…) W Stanach Zjednoczonych i w Europie trzymanie się istniejących systemów uzbrojenia jest ponadto mocno wspierane przez interesy wojskowego kompleksu przemysłowego i jego politycznych sprzymierzeńców, kładących nacisk na produkcję skomplikowanego i niebotycznie drogiego sprzętu, w przeciwieństwie do tanich dronów i min. W Europie jest to dodatkowo wzmacniane przez (prawdopodobnie fałszywą) obietnicę, że wydatki na czołgi i samoloty wojskowe mogą się przyczynić do odbudowy przemysłu poszczególnych krajów. (…)

Brytyjski marszałek polny [Douglas] Haig, mimo że dowodził armią w trakcie I wojny światowej, w 1926 r. nadal twierdził, że „samoloty i czołgi są jedynie dodatkami do ludzi i koni i jestem pewien, iż z upływem czasu użycie koni – koni dobrze wyszkolonych – będzie na tym samym poziomie, co w przeszłości". W końcu żył w zażyłości z końmi znacznie dłużej aniżeli z czołgami i samolotami.

Być może najdonioślejszym wydarzeniem wojny było pokonanie przez Ukrainę – kraj bez marynarki wojennej – floty czarnomorskiej.

Możemy zatem z dużą dozą pewności oczekiwać, że w ciągu wielu nadchodzących lat nasi żołnierze i eksperci wojskowi nadal będą mówić o absolutnej nieodzowności „rasowych" czołgów (i ich załóg), mimo wszystkich przeczących temu dowodów.

Naturalnie rozwój uzbrojenia sprzyjającego obronie prędzej czy później zawsze spotyka się z wynalezieniem nowej broni przywracającej moc ofensywie i vice versa. (…) W naszych czasach następnym krokiem rozwojowym będzie prawdopodobnie stworzenie robotów szturmowych, które – w przeciwieństwie do ludzi – będzie można zmusić do kontynuowania ataku nawet wtedy, gdy wokół ich towarzysze są niszczeni. (…) Ich produkcja jednakże, mimo wsparcia sztucznej inteligencji, zabierze jeszcze sporo czasu. Na razie więc drony pozostaną panami pola bitwy.

Najważniejsza lekcja jest skierowana do Chin i USA w kontekście wojny o Tajwan. Być może najdonioślejszym wydarzeniem wojny rosyjsko-ukraińskiej było pokonanie przez Ukrainę – kraj nieposiadający marynarki wojennej – rosyjskiej floty czarnomorskiej za pomocą wystrzeliwanych z lądu pocisków oraz dronów morskich i powietrznych. Z jednej strony, powinno to uzmysłowić Chińczykom skrajne ryzyko podejmowania prób morskiej inwazji na Tajwan w obliczu zdecydowanego oporu. Z drugiej zaś, powinno dać do zrozumienia USA, że amerykańskie okręty wojenne operujące blisko Chin znalazłyby się w poważnym niebezpieczeństwie, nawet gdyby chińska marynarka została zatopiona lub unieruchomiona w chińskich portach.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla



eprasa.pl 1cf7f76a50

Dług publiczny, SAFE i przyszłe pokolenia

Koszt czy inwestycja w bezpieczeństwo i rozwój?

Hanna Kuzińska

Debata o długu publicznym regularnie powraca w momentach, gdy państwo podejmuje duże decyzje finansowe. Tak jest obecnie w związku z ustawą dotyczącą 45-letniej pożyczki na modernizację uzbrojenia, wsparcie policji, Straży Granicznej oraz rozwój systemów ochrony cyberprzestrzeni w ramach programu SAFE. Polska może do 2030 r. otrzymać z Unii Europejskiej niemal 44 mld euro, czyli ponad 180 mld zł, przy czym zdecydowana większość środków może trafić do krajowego przemysłu obronnego.

Pożyczka ta jest relatywnie tania. Według Ministerstwa Finansów jej oprocentowanie jest co najmniej o 0,7 pkt proc. niższe niż finansowanie rynkowe. Zdaniem ministra finansów, gdyby środki pozyskiwano wyłącznie na rynku, koszty obsługi długu mogłyby być wyższe nawet o ok. 36 mld zł. Przez pierwsze 10 lat spłacane będą wyłącznie odsetki, a spłata kapitału została rozłożona na kolejne 35 lat. Można też mieć nadzieję na przyszłe częściowe umorzenie tego zadłużenia.

Po debacie parlamentarnej wprowadzono dodatkowe mechanizmy kontroli wydatkowania środków, m.in. silniejszy nadzór służb specjalnych i rozszerzone obowiązki sprawozdawcze. Jednocześnie przyjęto rozwiązanie, zgodnie z którym spłata pożyczki obciążała będzie nie bezpośrednio część budżetu pozostającą w gestii MON, lecz instytucje pozabudżetowe, co wskazuje prawdopodobnie na Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych obsługiwany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Fundusz ten finansowany jest zarówno środkami budżetowymi, jak i emisją długu, który w metodologii unijnej zaliczany jest do długu sektora instytucji rządowych i samorządowych.

Równolegle wykorzystywane mogą być także inne instrumenty finansowania obronności – leasing sprzętu przez państwowe spółki, udział Agencji Rozwoju Przemysłu, Polskiego Funduszu Rozwoju. Konstrukcje prawne bywają złożone, lecz ekonomiczna konkluzja pozostaje prosta: w ostatecznym rachunku wydatki te finansowane są z budżetu państwa lub poprzez emisję długu publicznego. To prowadzi do zasadniczego pytania: czy rosnący dług publiczny rzeczywiście oznacza obciążenie przyszłych pokoleń? W debacie publicznej często brzmi to jak oczywistość, jednak doświadczenia gospodarcze wielu krajów – również Polski – pokazują bardziej złożony obraz. Możliwość zadłużania się była jednym z czynników przyśpieszonego wzrostu gospodarczego po transformacji ustrojowej. Upraszczając zagadnienie, nie odnosząc się do wątków inflacyjnych, podatkowych czy warunków spłaty długu, pokolenie urodzone po 2000 r. nie odczuwało bezpośrednio ciężaru zadłużenia z lat 80. i 90., a dystans rozwojowy wobec państw UE systematycznie malał.

Według danych Eurostatu PKB na mieszkańca liczony według parytetu siły nabywczej wynosił w Polsce w 2024 r. ok. 49,5 tys. dol. wobec prawie 65 tys. dol. średnio w UE. Oznacza to ok. 76% średniej unijnej, podczas gdy w 2000 r. było to ok. 45%. Trudno zatem mówić wyłącznie o „rachunku, który płacić mają przyszłe pokolenia", skoro część zadłużenia finansowała realny wzrost dobrobytu.

Kluczowy problem dotyczy nie samej wysokości długu, lecz zdolności jego obsługi bez wypierania wydatków rozwojowych. Jeżeli środki z długu przeznaczane są na kapitał ludzki, technologie, infrastrukturę czy bezpieczeństwo, zwiększają potencjał gospodarki. Bezpieczeństwo militarne jest zresztą jednym z warunków inwestycji prywatnych – trudno oczekiwać napływu kapitału do państwa, które nie gwarantuje stabilności.

Debata o długu powinna dotyczyć nie tyle jego samego, ile jakości wydatków publicznych. Bo dług może być użyty dobrze albo źle.

Obsługa długu oznacza jednocześnie koszt dla budżetu i dochód dla wierzycieli. Wierzycielami są banki, fundusze inwestycyjne, instytucje finansowe, ale także obywatele kupujący obligacje skarbowe. Odsetki wypłacane przez państwo w dużej mierze wracają więc do gospodarki w postaci inwestycji w krajowe przedsięwzięcia

eprasa.pl 1cf7f76a50

i oszczędności. Nie jest to pieniądz „stracony", lecz raczej przesunięty.

Nie oznacza to oczywiście, że dług jest obojętny. Wysokie zadłużenie ogranicza przestrzeń fiskalną i może prowadzić do wzrostu kosztów jego obsługi. W 2025 r. koszty te, dotyczące tylko długu skarbu państwa, wyniosą 75 mld zł, czyli ok. 1,94% PKB, a w kolejnym roku mogą sięgnąć ok. 90 mld zł, tj. 2,16% PKB.

Dodatkowym wyzwaniem pozostają zobowiązania wobec Unii Europejskiej. Polska powinna obniżyć deficyt sektora instytucji rządowych i samorządowych z ok. 6,5% PKB w 2026 r. do poziomu poniżej 3% PKB. Oznacza to konieczność większej dyscypliny fiskalnej – nie tylko sprawnego zarządzania długiem, ale i przemyślanych wydatków oraz skutecznego poboru dochodów publicznych. Profesjonalne zarządzanie długiem obejmuje m.in. wydłużanie okresu zapadalności obligacji, zwiększanie udziału długu o stałym oprocentowaniu i ograniczanie ryzyka kursowego. Takie działania stabilizują finanse publiczne, ale same w sobie nie zastąpią odpowiedzialnej polityki budżetowej.

Dług publiczny nie jest więc ani wyłącznie ciężarem, ani automatyczną korzyścią. Jest narzędziem. O tym, czy stanie się problemem dla przyszłych pokoleń, decyduje sposób jego wykorzystania. Jeśli finansuje bezpieczeństwo, inwestycje i rozwój – może przyśpieszać wzrost gospodarczy. Jeśli służy jedynie odsuwaniu trudnych decyzji fiskalnych, jego koszt stanie się bardziej odczuwalny w przyszłości.

W tym sensie debata o długu powinna dotyczyć nie tyle jego samego, ile jakości wydatków publicznych. Bo dług – jak każde narzędzie – może być użyty dobrze albo źle. A rachunek ekonomiczny prędzej czy później i tak wystawi ocenę.

Prof. ALK dr hab. Hanna Kuzińska – doktor nauk ekonomicznych w zakresie ekonomii-finansów. Pracownik Katedry Finansów ALK. Odbywała staż w Kongresie Stanów Zjednoczonych i w Bundestagu. Doradca ekonomiczny Klubu Parlamentarnego Lewicy od 2020 r.

Język giętki

Maria Janssen

Wysłuchałam przemówienia ministra Radosława Sikorskiego w Sejmie. Zwróciłam uwagę na zgrabną i powszechnie zrozumiałą formę językową. To bardzo istotne, bo między politykami a tzw. społeczeństwem pnie się mur nierozumienia. Niby jedni i drudzy mówią i rozumieją po polsku, jednak wypowiedzi, argumenty, a nawet – o zgrozo – proste fakty do wielu umysłów nie docierają.

Z uwagi na szeroką dostępność mediów ważne słowa giną w nieustannym świergocie wiadomości. I nie tylko z tej przyczyny. Winę ponoszą także same media, które w celu oszczędzenia czasu antenowego przyśpieszyły tempo przekazywania przez polityków, dziennikarzy i lektorów informacji, często powodując wykluczenie informacyjne osób niepotrafiących nadążyć za „wyścigowym" słowotokiem. Wielokrotnie też w przekazach medialnych używa się nieznanych części słuchaczy lub widzów słów i pojęć, co sprawia, że słuchacz puszcza wiadomości mimo uszu i wysiłki informacyjne spełzają na niczym. Przekraczanie pułapu percepcyjnego (zdolności odbioru) adresata przekazu prowadzi do jego zobojętnienia i wręcz do ogłupienia.

Zamęt powoduje też „tytułologia historyczna". Proszę sobie wyobrazić relację z dyskusji w gronie aktualnie urzędujących oraz dwóch byłych marszałków Sejmu, trzech byłych prezydentów, premierów, kilku byłych ministrów, byłych wiceministrów, i wszyscy tytułowani byliby tradycyjnie „panie prezydencie", „panie marszałku", a jeszcze większy galimatias dotyczyłby zwrotu „panie ministrze". Mimo że jestem osobą nieźle orientującą się w polityce, to dziś rano, słuchając informacji, miałam wątpliwości, czy zacnej dziennikarce chodziło o urzędującego premiera Tuska, czy o przejściowego premiera Morawieckiego. Koniecznie należy więc opracować nową, klarowną tytułologię, by mimowolnie nie szerzyć dezinformacji.

Jako tłumaczka mam do czynienia z odbiorcami najprzeróżniejszego rodzaju – od tych „najłatwiejszych", uczestników konferencji, o wysokim poziomie intelektualnym i językowym, aż do paradoksalnie najtrudniejszych – osób prostych, cechujących się niskim zasobem wiedzy i słownictwa, a znajdujących się często w niepojętych dla siebie sytuacjach życiowych, w zagranicznych instytucjach publicznych, szpitalach, aresztach, komisariatach policji itp. I to wśród osób mówiących do nich w niezrozumiałym języku obcym. Zaobserwowałam, że nie wystarczy przetłumaczyć komunikat z języka obcego na polski, trzeba także go przełożyć z akademickiego języka polskiego na kolokwialny i wytłumaczyć znaczenie prostym, niekiedy wręcz prostackim tekstem.

Nie domagam się wcale obniżenia poziomu językowego w mediach, postuluję spowolnienie tempa przekazu. By wiadomości dotarły do jak najszerszych kręgów społecznych i nie wywoływały mętliku w głowach. Należy też moim zdaniem zmniejszyć częstotliwość używania wyrazów obcych (co istotne w dobie zaniku łaciny w szkołach średnich) oraz bezliku anglicyzmów.

Pozwolę sobie przypomnieć słowa Juliusza Słowackiego: „Chodzi mi o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa". Programy radiowe i telewizyjne prześcigają się w dążeniu do uzyskania najwyższej słuchalności i oglądalności. Ale by je osiągać, trzeba zadbać o jasność przekazu.

Socjolodzy zastanawiają się nieraz nad motywacjami wyborców niezdecydowanych lub niegłosujących. A być może część zwyczajnie nie rozumie przekazu politycznego? Obywatele Polski, niezależnie od poziomu wykształcenia, mają równe prawa wyborcze. Dla każdej partii każdy głos jest na wagę złota. ■

eprasa.pl 1cf7f76a50

Najpierwszy wąs narodowy

70. urodziny Zbigniewa Bońka

Wojciech Kuczok

Siedemdziesiątka Bońka? On jest jednym z tych wiecznie młodych, którzy, gdy przychodzi im obchodzić okrągłe urodziny, wprawiają nas w konfuzję, czas nam mija niepostrzeżenie, aż tu nagle taki Boniek ma… ile? 70? Ale jak to tak? Przecież jeszcze wczoraj Łazuka śpiewał, że ten chyży rudzielec wyskoczy w uliczkę w Barcelonie. No dobra, może to było przedwczoraj, ale przecież nie 44 lata temu, to niepodobna, tak nie może być, to ile w takim razie ja mam teraz?! Owszem, ludzie od dłuższego czasu mylnie uważają mnie za dorosłego, prawdopodobnie ze względu na wiek, ale przecież Boniek nie może być 70-latkiem, toż to by oznaczało, że mój idol młodzieńczy jest już starszym panem.

Żeby tam tylko mój, idol pokoleń, idol Polski Ludowej. W czasach mojego dzieciństwa, tych, do których jestem w stanie sięgnąć pamięcią, trzech było Polaków na świecie: Jan Paweł II, Wałęsa i Boniek. Niekoniecznie w tej kolejności. Tyle że papież się nie bardzo liczył, bo wiadomo było, że on, choć ziemię całuje, niekoniecznie po niej stąpa, on był z porządku kosmicznego, królestwo jego nie z tego było świata, w dodatku nie miał wąsa. A dla Polaka w schyłkowym PRL-u wąsy były ikoniczne. Ten podziemny, ciemny, wałęsowski, i ten jasny, legalny, rudy wąs bońkowy (był jeszcze trzeci wąs, w przestrzeni pozakadrowej, domyślnej, historycznej, sumiasty wąs Marszałka, którego pokątnie nabywane statuetki zdobiły mieszkania obywateli niepokornych).

Dwie dekady później dołączył do nich wąsik raczej, lekki, jak na skoczka narciarskiego przystało, delikatny, muszkieterski zarost Adama Małysza. Azaliż, zanim Małysz wychynął z niebytu na przełomie mileniów, wąs polski reprezentowali dwaj twardziele, dwaj bezczelni i hardzi faceci o ego rozpostartym od Bałtyku do Tatr: dwa nasze dobra narodowe – Lech i Zibi. Przy czym Boniek był pierwszy. Od zawsze pyskaty, bezczelny, zbuntowany i pewny siebie jak nie-Polak. Jeszcze jako junior Zawiszy, gdy koledzy zwierzali się ze swoich marzeń o karierze w czołowych polskich klubach, on pokpiwał z ich minimalizmu, on zamierzał zrobić karierę światową i nigdy się z tym nie krył.

Już jako 22-letni talent, reprezentant generacji następców Orłów Górskiego, zagrał na mundialu w kadrze Gmocha i zdobył dwie bramki z Meksykiem. I wtedy świat po raz pierwszy zobaczył, że młody Widzewiak ma w nogach torpedę, że strzela z impetem i złością, jakby chciał piłką nie tylko przedziurawić siatkę, ale i przebić żelazną kurtynę. Zanim mu się to udało, zdążył z Widzewem wtargnąć na europejskie salony i wyeliminować z pucharów firmy, których nazwy dzisiaj paraliżują: Łodzianie z Bońkiem rozprawiali się kolejno z Manchesterem City (1977), Manchesterem United (1980) i Juventusem (1980).

Boniek: od zawsze pyskaty, bezczelny, zbuntowany i pewny siebie jak nie-Polak.

Widzewiacy nie przestali go kochać nigdy, kiedy Boniek wrócił w 1983 r. do Łodzi jako zawodnik Juventusu i przyczynił się do wyeliminowania polskiej drużyny w półfinale Pucharu Europy, był gorąco witany przez kibiców, śpiewających: „Zibi, wróć, czeka Łódź". Turyńczycy od początku lat 80. robili zakusy na Bońka i dopięli swego tuż przed mundialem w Hiszpanii, gdy za prawie 2 mln dol. PZPN zgodził się sprzedać gwiazdę Widzewa pomimo „nieprzepisowo" młodego wieku (wtedy legalnie polscy piłkarze mogli wyjechać do pracy w zachodnich klubach dopiero pod koniec kariery).

To był pierwszy taki transfer w historii naszej piłki, wcześniej Deyna wyjechał do Manchesteru już po trzydziestce dograć karierę, Szarmach grał w prowincjonalnym Auxerre, Lato w Lokeren, to były małe kluby, tymczasem do Turynu pojechał najlepszy polski piłkarz u szczytu kariery.

Juve wykazało się intuicją, ściągnęło do siebie także Michela Platiniego, w lipcu 1982 r. okazało się zatem, że ma najlepszy tercet ofensywny świata, bo napastnikiem Starej Damy był również król strzelców mundialu Paolo Rossi. Włosi trochę się bali Polaka, Boniek miał rogatą duszę, nie omijały go dyskwalifikacje, ta najsłynniejsza pozbawiła go prawa gry w kadrze na osiem miesięcy, gdy na Okęciu wykazał solidarność z nawalonym jak meserszmit Młynarczykiem. Ale w mistrzostwach świata w Hiszpanii nasz lider czynił cuda, które na zawsze przesłoniły wszelkie jego grzeszki młodości.

Meczu z Belgami na Camp Nou nie zapomnę nigdy, to był spektakl jednego aktora, który w mej 10-letniej łepetynie dokonał iluminacji. Tak pisałem o tym po latach w ekstatycznym hołdzie dla Bońka na kartach powieści „Spiski": „Boniek wygrał z Belgią trzy zero, Boniek Belgów zmiażdżył, rozjechał na wszystkie sposoby, głową, ze szpica, z podbicia, precyzją, siłą i techniką, Zbigniew Boniek, Boniek Zbigniew, jasne się stało, że w tym imieniu i nazwisku zawiera się cała prostota futbolu – zbiec na szesnastkę

eprasa.pl 1cf7f76a50



Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej Hiszpania 1982. Pomocnik Zbigniew Boniek podczas meczu Polska-Belgia (3:0) rozegranego 28 czerwca na Camp Nou.

i kropnąć pod poprzeczkę albo obiec bramkarza i wtoczyć piłkę do pustej bramki, albo przyłożyć czerep, gdzie trzeba".

Gdyby nie ta przeklęta pauza w półfinale za żółte kartki, może bylibyśmy mistrzami świata, Boniek do dzisiaj nie może odżałować tego, że najważniejszy mecz w karierze przesiedział na trybunach i bezradnie przyglądał się, jak kadra pozbawiona lidera przegrywa z Włochami. Trzeba się było obejść smakiem i trzecim miejscem.

A potem włoska kariera Bońka ruszyła z przytupem. Z Platinim zaprzyjaźnił się na boisku i poza nim, rozumieli się doskonale i grali ze sobą intuicyjnie; Juventus został najlepszym klubem planety, wywalczył z Polakiem w składzie mistrzostwo Włoch i trzy europejskie puchary, w tym ten najważniejszy, zdobyty w dramatycznych, tragicznych okolicznościach w 1985 r. na Heysel. Mecz rozegrano, pomimo 39 śmiertelnych ofiar zamieszek wywołanych przez fanatyków Liverpoolu, na prośbę policji, która nie panowała nad sytuacją i bała się eskalacji, gdyby mecz został odwołany.

Po faulu na Bońku podyktowano rzut karny, Platini wykorzystał jedenastkę i Włosi wznieśli najcenniejsze trofeum. Dzień później Boniek za własne pieniądze, wynajętym samolotem, po nieprzespanej nocy poleciał do Tirany, żeby pomóc reprezentacji w meczu eliminacyjnym, i zdobył jedyną bramkę. To jest wyczyn historyczny i heroiczny, jeśli dzisiaj zawodnicy narzekają, że nie dają rady grać co trzy dni, bo są zbyt zmęczeni, należy im do znudzenia przypominać to, czego dokonał Boniek w odstępie kilkunastu godzin.

Ostatnie trzy lata kariery spędził w AS Roma, zmienił pozycję i styl gry, bywał nawet stoperem. Po wygaśnięciu kontraktu miał propozycje z ligi angielskiej, chciał go kupić Tottenham, sportowo Boniek mógł jeszcze wiele osiągnąć, miał dopiero 32 lata. Ale „odkochał się" w futbolu z dnia na dzień. Nie bez udziału ówczesnego selekcjonera Łazarka, który chciał swoją kadrę budować na zawodnikach grających w Polsce. Boniek uznał, że skoro nie może grać w kadrze narodowej, to w klubach już mu się kopać piłki nie chce – na przenosiny do Anglii nie miał ochoty, zadomowił się z rodziną w Rzymie.

I choć statystyki sprawiły, że naszym najsłynniejszym piłkarzem w historii został Robert Lewandowski, sam Boniek twierdzi, że choć Lewy zapewne był od niego lepszym napastnikiem, drużyna 11 Bońków ograłaby ekipę 11 Lewandowskich bez trudu. Był bowiem Zibi zawodnikiem wszechstronnym, aktywnym na całej przestrzeni boiska. Był też światowcem leczącym nasze kompleksy, był kosmopolitą, obywatelem świata, który się wyrwał z wielkiej polskiej smuty. O jego dorobku trenerskim w dzień urodzin wypada zmilczeć, jako działacz piłkarski i prezes PZPN sprawował się znacznie lepiej, wciąż zaś jest aktywnym i bystrym komentatorem wydarzeń futbolowych.

Najserdeczniejsze powinszowania od wiernego fana, drogi Zibi! ■

FOT. PAP/DPA

eprasa.pl 1cf7f76a50

BUDOWAĆ ALTERNATYWĘ

TEATR OBYWATELSKI MUSI WYCHODZIĆ POZA „WŁASNĄ BAŃKĘ” I ROZMAWIAĆ Z WIDZEM

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Skąd się wziął Teatr Łaźnia Nowa?

– Na początku nawet nie nazywaliśmy się teatrem. Łaźnia Nowa miała intrygować miejscem, zapraszać do wspólnego opowiadania historii. Nie chcieliśmy być postrzegani jak statek kosmiczny, który wylądował w Nowej Hucie z gotowymi propozycjami i narzuca własne narracje. Przez dekady Nowa Huta doświadczała właśnie tego: zewnętrznych opowieści narzucanych jej z góry. Najpierw w czasach „komuny”, potem w okresie Solidarności, która przyniosła rok 1989. Dla wielu mieszkańców czas przemian okazał się rozczarowaniem. Rękami tych ludzi wywalczono wolność, a już na początku lat 90. dzielnica została praktycznie sprzedana. Kilkadziesiąt tysięcy osób straciło pracę i nikt nie przeprowadził tej społecznej traumy w sposób właściwy. Bo to, że takie działanie miało podstawy ekonomiczne, być może jest zgodne z prawdą, ale tych ludzi zwyczajnie pozostawiono samym sobie. Została rana społeczna, która po 20-30 latach kończy się głosowaniem na radykałów, bo zrodziła się z żalu, niezrozumienia i odrzucenia. Tę ranę trzeba zabliźnić. Łaźnia m.in. po to powstawała.

A sama nazwa? Łaźnia – wzięta z historii, czyli od przestrzeni na krakowskim Kazimierzu.

– Pierwszą siedzibą Łaźni była dawna mykwa, żydowska łaźnia rytualna, przy Paulińskiej 28 na Kazimierzu. To było wspaniałe miejsce. Znalazłem je na drugim roku reżyserii razem z żoną, która dostała od miasta lokal na potrzeby stworzenia pracowni, kiedy obroniła dyplom z wyróżnieniem na krakowskiej ASP. Dostaliśmy kompletnie zniszczoną



BARTOSZ SZYDŁOWSKI
– dyrektor Teatru Łaźnia Nowa w Nowej Hucie

przestrzeń; aby ją wyremontować, sprzedaliśmy naszą garsonierę. Pewnego dnia zszedłem do piwnicy w poszukiwaniu połączeń rur kanalizacyjnych i znalazłem się w dawnej łaźni pokrytej płytkami. Stanąłem pośrodku tej zdegradowanej przestrzeni i zobaczyłem w niej teatr.

W latach 1994-2004 udało nam się z Małgosią stworzyć na Paulińskiej oazę kultury, tygiel młodej krakowskiej sceny niezależnej. Odbywały się tam m.in. egzaminy studentów reżyserii, spektakle teatralne, koncerty, pokazy filmów, akcje performatywne, no i legendarne imprezy. Bywali u nas najważniejsi twórcy teatralni, pisarze, filozofowie, muzycy. To miejsce tętniło energią, nienasyceniem, jak młoda, dopiero rodząca się wolna Polska.

Mrożek się z wami zaprzyjaźnił.

– To była bardzo ważna znajomość, bo dość szybko z widza oglądającego łaźniowe spektakle Sławomir Mrożek stał się naszym patronem. Obchodził u nas 70. urodziny. Dlatego potem pojawił się inwestor, dzięki któremu zrobiliśmy bar i weszliśmy medialnie w obieg ogólnopolski. Łaźnia dała impuls do zmiany Kazimierza. Na początku lat 90. był tylko Singer – i właśnie Łaźnia. Z czasem Kazimierz stawał się coraz modniejszy. Kiedy kończyliśmy tu działalność w 2004 r., był wielkim nocnym klubem, do którego ściągały setki ludzi. O tym, co się działo na Paulińskiej, można byłoby napisać książkę.

Właśnie zaczął pan pisać nowy rozdział: Teatr Obywatelski też w jakimś sensie pojawił się przypadkiem, bo natknął się pan na książkę będącą zapisem procesu Niewiadomskiego, zabójcy prezydenta Narutowicza.

– Znalazłem ją półtora roku czy dwa lata temu. Wiedziałem, że trafiłem na żyłę złota, ale odłożyłem ten dokument procesowy na półkę. Kiedy przesunął się termin premiery „Czekając na barbarzyńców", inspirowanej powieścią J.M. Coetzeego, zacząłem uważniej przyglądać się sprawie Niewiadomskiego. Okazało się, że niezwykle rezonuje z dzisiejszą Polską – z polaryzacją i negatywną emocjonalnością w życiu publicznym. No i tym globalnym uświęcaniem oszołomów i radykałów. Pojawiała się we mnie idea teatru obywatelskiego. Fundamentalne pojęcia, które zbudowały nową „polskość" po 1989 r., nie są emocjonalnie zakorzenione, nie uruchamiają wyobraźni społecznej. Tolerancja i otwartość to dzisiaj martwe pojęcia, które z kluczy do naszych serc stały się zaledwie wytrychami.

Może trzeba szukać nowych kluczy?

– Nie potrafiliśmy opowiedzieć nic pozytywnego ani pogłębionego o Polsce przemian. Jeśli już ktoś się brał do tematu, to jedynie krytykował kapitalizm, ale zwykle z dość banalnej perspektywy, że zły, że chciwość… że same błędy, że Balcerowicz musi odejść. Teatr komentuje ten czas jakoś gorzej nawet niż „Psy" Pasikowskiego. Może warto przyjrzeć się na nowo temu okresowi, zastanowić się nad motywacjami, nadziejami, komplikacjami, które rzucą światło zrozumienia, a nie będą zbijaniem kapitału jednej agendy polityczno-ideologicznej. Chciałbym, żeby Teatr Obywatelski przypominał, że jest pewien zbiór pojęć i tematów, których nie można zamykać w szafie, trzeba ciągle z nimi pracować, by były żywe, żeby uruchamiały emocje i wyobraźnię. Pobudzały mnie do tej rozmowy inspiracje brazylijskimi teatrami Augusta Boala i Zé Celsa – obaj są głęboko polityczni, ale to kompletnie inne strategie: wyobraźnia i alegoria kontra podejście krytyczno-edukacyjne. No i oczywiście inspiracje Redutą Osterwy w duchu rozmowy z widzem potencjalnym, tym, który gdzieś się ukrywa. Jednak nie po to, by wkręcać go w wielką literaturę – bardziej w obywatelską świadomość, próbę rozbudzenia apetytu na sprawczość oraz odwagę serca.

Poważne wyzwania.

– Chodzi mi o akt identyfikacji z tym, co wspólne, publiczne. O przywracanie zaufania, szacunku, również etosu pracy, co w Polsce doświadczonej złodziejstwem, cwaniactwem i okupacją jest najtrudniejsze. Autentyczne uczestnictwo jest samo w sobie podtrzymaniem emocjonalnego związku, budowaniem relacji i uwagi, zatrzymaniem czasu w tej relacji. Właśnie taki teatr chcę robić, traktując tę przemianę jako przemianę obywatelską. Brak zaufania jest dzisiaj – moim zdaniem – największym problemem i największym deficytem społecznym. Szczególnie wobec przedstawicieli tzw. elit. To słowo wytarte i niewiele znaczące, ale chodzi o odpowiedzialność inteligencji: nie tylko za siebie i za swój dobrostan, komfort, ale także o odpowiedzialność za innych. I za to, że świat opowiadany w prosty sposób ma ten sam status ontologiczny, co ten bardziej wyszukany. Trzeba budować pomosty, które sprawią, że te dwa światy się spotkają.

W kulturze dostrzega się dziś głównie skandale, afery, dziwactwa, zamiast podkreślać etos pracy.

Łaźnia pyta, zaprasza do rozmowy?

– Wie pan, za co tę przygodę z Łaźnią cenię? Właśnie za to, że jednym z naszych głównych fundamentów jest zaufanie. Na bardzo wielu poziomach. Bez niego Łaźnia nie mogłaby powstać ani się rozwijać. To zaufanie i pokora w relacjach są fundamentem tworzenia tego miejsca. Zaczęliśmy budować Łaźnię na Kazimierzu, a kiedy straciliśmy tę przestrzeń, przyszedł do nas prawicowy wówczas polityk Ireneusz Raś, który powiedział, że chętnie nam pomoże znaleźć nowe miejsce, jeśli się zdecydujemy przenieść do Nowej Huty.

Od razu pan za tym pomysłem poszedł?

– Na początku podeszliśmy do tego pomysłu z Małgorzatą nieufnie. Ale okazało się, że jest grupa aktywistów, trochę lokalnych polityków, którzy już działają w Nowej Hucie. W poszczególnych dzielnicach byli działacze, którym zależało na tym, żeby Łaźnia przyniosła swój brand. Nie chcieli tworzyć nowego miejsca, tylko pokazać, że miejsce kultury, które działało w centrum, może się

FOT. MATERIAŁY PRASOWE TEATRU IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO

eprasa.pl 1cf7f76a50

przenieść do Nowej Huty i z powodzeniem w niej funkcjonować. Znajomi bardzo nam tę przeprowadzkę odradzali. W Krakowie mówiono, że to koniec Bartka Szydłowskiego i idei Łaźni. Koledzy, którzy tworzyli z nami teatr na Paulińskiej, uważali, że nie da się tej energii przenieść do Nowej Huty.

Wiem, że nie było entuzjazmu dla tego pomysłu.

– Dostaliśmy propozycję sprawdzenia kilku lokalizacji. Jedną z nich była hala po dawnych warsztatach zespołu szkół mechanicznych, w których kiedyś do zawodu przygotowali się przyszli robotnicy Kombinatu im. Włodzimierza Lenina. Łącznie ponad 4,5 tys. m kw., które wymagały kapitalnego remontu i pozyskania na ten cel ogromnych środków. Ja się tą przestrzenią przeraziłem, ale pragmatyzm, doświadczenie scenograficzne i wizja żony wygrały. Małgorzata popatrzyła na ogromną halę: „Tutaj będzie część dla widzów, tutaj garderoby, tam biura, a w miejscu, w którym stoimy, stworzymy salę teatralną. Trzeba tylko rozbić ściany…". To był pierwszy gest zaufania ze strony miasta. Drugi – stanąłem w tej przestrzeni sam ze sobą i powiedziałem: „Ty jesteś z Nowej Huty". Bo właśnie tu się wychowywałem. To był autentyczny powrót po latach, sytuacja Edypa w pewnym sensie. Odkrywanie samego siebie na nowo. Zadałem sobie pytanie: „O co w ogóle chodzi z tym teatrem tutaj i ze mną wracającym do tej dzielnicy?". Trzeci gest to jednak pokorne tłumaczenie tej idei innym, taka jest moja rola: tłumaczyć, przekonywać radnych, polityków, prezydenta, dziennikarzy, ludzi z branży i mieszkańców Nowej Huty. Dużo pracy i dużo pokory.

Zwykle reżyserzy wchodzą do teatrów, żeby zrobić wymarzony spektakl, cała machina temu służy. A pan?

– Postawiłem się w innej sytuacji, zacząłem tworzyć miejsce, które dzięki środkom teatralnym mocno wpłynęło na zmianę narracji symbolicznej o Nowej Hucie, wyznaczyło pewien model działania i oddziaływania. Nigdy nie marzyłem o stałym zespole, choć w trakcie pracy miewałem pokusy, ale zbudowałem *production house*, silnie dialogujący i prowokujący debatę publiczną. Tylko w odróżnieniu od wielu teatrów mnie interesuje skala społecznego zaangażowania, a nie gadanie do własnej bańki i artykuł w „Didaskaliach". Dlatego skupiłem się najpierw na tym, by nie powielać np. schematu teatru krytycznego. Zacząłem mówić o teatrze afirmacji, o promowaniu dobrej energii, by widz się identyfikował, poczuł się ważny, w pewnym sensie współtworzący to miejsce.

> Mnie interesuje skala społecznego zaangażowania, a nie gadanie do własnej bańki i artykuł w „Didaskaliach".

To dotyczyło przede wszystkim afirmacji i akceptacji obcego.

– Naszą działalność w Nowej Hucie zaczęliśmy od pytania: „Kto jest tym obcym?". Przecież wszyscy Nowohucianie w pewnym sensie byli obcymi z perspektywy centrum Krakowa. Fakturę obcości miała przecież także sama Łaźnia. Nie dostaliśmy tego miejsca w prezencie, musieliśmy je stworzyć od podstaw. Nasz budżet opiewał na 300 tys. zł w skali roku. Wystarczył na kilka etatów i utrzymanie budynku, który się sypał. Tak działaliśmy przez 11 lat. Pieniądze na remont zdobywałem w Unii Europejskiej, w funduszach norweskich. Dopiero wtedy miasto zaczęło dokładać środki na odbudowę.

Łaźnia się zmieniła. Nowa Huta też.

– Po 12 latach działania Łaźni prof. Aleksander Noworól zrobił badania na temat dobrostanu w Nowej Hucie i w ankietach wyszło, że ludzie postrzegają ten dobrostan dzielnicy i mieszkania w niej w znacznym stopniu dzięki pojawieniu się intensywnej opowieści o Nowej Hucie, jaką przyniosła Łaźnia. To był jeden z elementów pokazujących pozytywne zmiany w tej dzielnicy. Działo się tak dlatego, że od początku budowaliśmy silny związek z lokalną społecznością.

To również udział w wielu pana spektaklach, prawie we wszystkich, aktorów amatorów. W najnowszym, „Procesie Eligiusza Niewiadomskiego", też. Fantastycznie wyszli.

– Widział pan w tym spektaklu przynajmniej sześć osób, które od 20 lat są zaangażowane w działania Łaźni. Mam wyrzuty sumienia, kiedy za długo z nimi nie pracuję. Wtedy do mnie dzwonią, dopytują, kiedy coś nowego zaczynamy. Zawsze przypominają o właściwym punkcie ciężkości w tej pracy. Kiedy zaczynaliśmy tworzyć miejsce, opierając się na idei partycypacji, progresywni krytycy jeszcze nie mieli narzędzi, by to opisać. Pamiętam tekst w teatralnym zinie Uniwersytetu Jagiellońskiego wyśmiewający moje „gonienie za dresiarzami". Fundamentem było budowanie relacji, feedbak realnego świata.

W teatrze bez sieci internetowej, zgubionym w labiryncie osiedla, gdzie info o spektaklach rozchodziło się bardziej pocztą pantoflową, miewaliśmy np. na „Krwawym weselu" po 250 osób siadających na powyginanych krzesłach. To nas weryfikowało.

Fenomen takich miejsc w miejscach „niekulturalnych" polega na tym, że życie daje im totalna wiara w narracje symboliczne. Łaźnia była obietnicą, ale też jej potwierdzeniem, że Nowa Huta zasługuje na nową opowieść, w której będziemy szukać tego, co zasila i buduje. Jeszcze nie zapadły ostateczne decyzje o powołaniu instytucji przez radę miasta, a już zorganizowaliśmy festiwal Genius Loci, noc buntu i noc afirmacji. Podczas nocy afirmacji pojawiła się Chorea z „Tezeuszem w Labiryncie", była także prezentacja projektu „Mieszkam tu" na podstawie opowieści mieszkańców Nowej Huty. W niewielkiej wówczas sali zebrał się tłum. Druga noc była nocą buntu, podczas której pokazaliśmy spektakl „Made in Poland" w reżyserii Przemysława Wojcieszka, który przyjechał do nas z Legnicy tuż po premierze. Na gorąco. Nie kalkulowałem, tylko podążałem za głosem intuicji, serca i idei.

eprasa.pl 1cf7f76a50

Potem przyszło głośne święto miasta.

– To było wcześniej, w czerwcu 2004 r. Przygotowaliśmy widowisko plenerowe, które nazwaliśmy „Aleja Nadziei – Odrodzenie". W trakcie wydarzenia odbywały się m.in. rozmowy z mieszkańcami o tym, co kochają, co lubią, co potrafią i co chcą robić, opowieści o ich pasjach. Wokół tysiące ludzi, na widowni prezydent Krakowa, radni. Gigantyczne projektory, rozświetlone obrazy na kamienicach przy Alei Róż. Po 10 minutach z oddali usłyszeliśmy wracających z meczu kibiców Hutnika i nagle jeden z nich odciął siekierą kabel zasilający. Rozświetlony Plac Centralny nagle zgasł. Jak w filmie science fiction. Prezydent się obraził i poszedł. Część widzów i znajomych z Krakowa mówiła: „No i co? Nadal uważasz, że Nowej Hucie potrzebna jest kultura?". Odpowiadałem, że to najlepszy dowód na to, że jest bardzo potrzebna.

Zawsze działacie w duecie: Małgorzata Szydłowska materializuje wizje scenograficzne, pan reżyseruje. Ale Teatr Obywatelski to wyłącznie pańskie dzieło.

– Stanowimy z Małgorzatą różne światy, ale znakomicie się dopełniamy. Tandem to zawsze jest kompromis. Historia Łaźni to historia tych dwóch przenikających się energii. No i to niesamowite dziecko Małgorzaty Dom Utopii – Międzynarodowe Centrum Empatii, które zasługuje na odrębny wywiad.

Podczas pracy nad „Procesem Eligiusza Niewiadomskiego" postanowiliśmy artystycznie od siebie odpocząć. Poczułem nowy przypływ energii, wzmacniała ją łaźniowa ekipa, która uwierzyła w ten projekt. Wszyscy byli na 100% zaangażowani. To była niezwykle intensywna praca, bo mieliśmy mało czasu. Niektórzy aktorzy mogli uczestniczyć w zaledwie dwóch, trzech próbach live. Wcześniej oczywiście omawialiśmy założenia scen, weszliśmy na scenę 3 listopada, a 11 listopada odbyła się premiera.

Planuje pan następne premiery?

– 28 marca odbędzie się premiera spektaklu „Czekając na barbarzyńców". Mam już pomysł na kolejny spektakl obywatelski. Myślę też o Szekspirze. Na początek rozważam „Makbeta" i „Romea i Julię". Z pewnością wrócę do wątku tożsamościowego lokalnej społeczności. W latach 90. Nowa Huta była trójkątem bermudzkim. Ja to nazwałem metaforycznie: telewizor, kościół, supermarket. Już tak nie jest. Wyrosło nowe pokolenie. Pojawiły się kawiarnie i nowe instytucje kultury, jest mnóstwo inicjatyw oddolnych. W Nowej Hucie osiedla się coraz więcej młodych ludzi.

Jestem bardzo dumny z tego, co udało się nam wspólnie zrobić, żeby to miejsce zrewitalizować. Chciałbym o tym opowiedzieć i nadać wagę pewnej funkcji instytucji kultury. W kulturze dostrzega się dziś głównie skandale, afery, dziwactwa, zamiast podkreślać etos pracy. Tego na co dzień się nie widzi, jeśli takiej instytucji się nie tworzy. Wiele osób uważa, że artyści to grupa darmozjadów, którym się nie chce pracować.

– Ponieważ ludzie podążają za tendencjami, nie mają czasu ani siły samemu kreować tendencji. Instytucja kultury powinna nie tylko odpowiadać na potrzeby, ale również te potrzeby generować. Budzić w ludziach ciekawość i inspirować. Reaktywacja „Lodołamacza" jest gestem sprzeciwu wobec kultury pośpiechu, powierzchowności i cyfrowego przesytu.

Wchodzi pan na teren polityki kulturalnej.

– Polityka kulturalna zawsze bardzo mnie interesowała. Chyba dlatego, że jej nie było. Bardzo jestem krytyczny wobec mechanizmów zarządzania kulturą, politycznego rozumienia jej roli. Ciągle spychologia. Politycy nie rozumieją, że wykonywanie gestów rytualnych, magicznych oddziałuje realnie na rzeczywistość o wiele silniej niż zapewnienie ciepłej wody w kranie. Wróciłem właśnie z Chile, gdzie dzięki uprzejmości i wsparciu przyjaciół mogłem zajrzeć w kuluary Pałacu Prezydenckiego La Moneda. To właściwie muzeum współczesnej sztuki. Nowoczesne obrazy na ścianach, sale poświęcone poetom, z artefaktami, zdjęciami i cytatami. U nas politycy kiszą się w nieświeżym myśleniu historycznym, a jedyne obrazy akceptowalne to z kolejnych bitewnych porażek. A tam, w Ameryce Łacińskiej, nagle z centrum zarządzania idzie sygnał szacunku dla ducha artystycznej wolności i szanują go zarówno lewicowcy, jak i konserwa prawicowa. Chile jest tak podzielone jak Polska, ale mądrzejsze w zrozumieniu ciągłości państwa i tego, jaka jakość najlepiej je reprezentuje. W Polsce potrzebujemy wizji, indywidualnych gestów rozpychających się w marazmie codzienności, ale czynionych w imię odpowiedzialności społecznej i inspiracji. Wynikających ze świadomości, jak istotna jest polityka kulturalna.

Tomasz Miłkowski

Jako teatr od początku tworzyliśmy silny związek ze społecznością Nowej Huty.

To ostatnia rzecz, którą można by z panem wiązać. Teraz wraca pan do doświadczeń redaktora.

– Wznawiamy wydawanie „Lodołamacza", jednej z pierwszych łaźniowych inicjatyw w Nowej Hucie. Jeszcze nie zdążyliśmy zrobić spektaklu, a już w marcu 2005 r. wydałem pierwszy numer. Przez kilka lat mieliśmy na to środki, potem pieniądze nam zabrano. Staraliśmy się wydawać pismo samodzielnie, ale nie trwało to zbyt długo ze względu na ograniczony budżet. Chociaż „Lodołamacza" wydawał teatr, nie był wyłącznie pismem o sztuce, opowiadał o Nowej Hucie i jej mieszkańcach. Był ściśle związany z miejscem i odzyskiwaniem poczucia godności. 20 lat temu taki format był w Nowej Hucie niezwykle potrzebny, bo albo pisano o niej źle, albo wcale. 16 stycznia wydaliśmy nowego „Lodołamacza", w nakładzie 20 tys. egzemplarzy.

To dziś dosyć ryzykowne i pod prąd, bo papier się zwija.

eprasa.pl 1cf7f76a50

Katarzyna Rzehak

Piękno na co dzień dla wszystkich

Wanda Telakowska – pierwsza dama wzornictwa przemysłowego

Inauguracja – Wanda tworzy zespół
październik 1950

Instytut Wzornictwa Przemysłowego zostaje otwarty z wielką pompą 1 października 1950 r. Do pierwszego, trzypiętrowego gmachu, tzw. budynku A, przenoszą się od razu dyrekcja, wzorcownia, czyli zbiór 9 tys. modeli do produkcji, oraz pracownie: odzieżowa, włókiennicza i graficzna.

Drugi, niski budynek, z salą dziś nazywaną Małpiarnią, zajmują warsztaty, m.in. stolarski oraz ceramiczny. Dla każdej pracowni Wanda Telakowska tworzy program, pragmatycznie wychodząc od tego, co jest rynkowi najbardziej potrzebne. A potrzebne jest wszystko: po wojnie brakuje dosłownie wszystkiego. W latach 1960--1966 od strony ulicy Świętojerskiej zostanie wybudowany jeszcze trzeci, nowoczesny gmach z dużą salą wystawową, który staje się główną siedzibą IWP.

Od przeprowadzki na ulicę Długą do pierwszej siedziby BNEP (Biura Nadzoru Estetyki Produkcji), który już w trakcie budowy nowych gmachów został przemianowany na Instytut Wzornictwa Przemysłowego, Wanda jest główną pomysłodawczynią misji nowej instytucji, jej poszczególnych działań, projektów i pracowni. Wcale nie zostaje dyrektorem naczelnym IWP – na to stanowisko zostaje powołany Jan Rogowski, ekonomista, a Wanda skromnie mianuje się dyrektorem artystycznym. Wie, jaką robi rewolucję, walcząc o „piękno na co dzień dla wszystkich", wie, ile zawiści budzi swoją nieustępliwą postawą wobec władz i tym, ile udaje się jej tą postawą uzyskać. (…)

Ale tak naprawdę wszystkim zarządza Wanda. Ona zatwierdza plany architektoniczne: wytycza salę wystaw, wnętrza dla poszczególnych zakładów i pracowni, pomieszczenia dla wzorcowni, sale zajęć dla kursantów, a nawet bursę dla nich – bo w pierwotnym kształcie instytut miał także prowadzić działalność edukacyjną.

Ale przede wszystkim, tworząc zakłady IWP, Wanda tworzy profil instytucji. Powstają: Zakład Drzewny, Zakład Włókienniczy, Zakład Ceramiki i Szkła, Zakład Odzieżowy z Pracownią Ubioru dla Dzieci, Zakład Skórzany. Wanda wie, że podstawą funkcjonowania każdej instytucji jest zespół, dobrze zgrana grupa ludzi, których łączą wspólny cel i zasady funkcjonowania. A ma do dyspozycji prawdziwą zbieraninę: starych, młodych, przedwojennych solidnych rzemieślników i rozwichrzonych, świeżo upieczonych absolwentów akademii sztuk pięknych z całego kraju, ekonomistów, konstruktorów. (…)

Upadek kanapy, triumf amerykanki
1952-1956

Napór socrealizmu Wanda i prowadzony przez nią instytut przetrwały, stosując taktykę „nie wychodzić przed szereg". Realizowano oczywiście zlecenia polityczne w rodzaju wazon dla towarzysza Stalina, ale „sztuka narodowa w formie, socjalistyczna w treści" nie rozkwitła w IWP. Wanda była wychowana w duchu modernizmu, funkcjonalizm miała w swoim przedwojennym, artystycznym DNA, a te wartości socrealizm odrzucał. Znamienne jest to, że Instytut Wzornictwa Przemysłowego nie został zaproszony na emblematyczną dla socrealizmu I Ogólnopolską Wystawę Architektury, Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej, zorganizowaną w roku 1952 r. w Zachęcie. Wandy nie zaangażowano ani do Komisji Kwalifikacyjnej, ani do Komitetu Wystawy. Czuje się pominięta, ale nie żałuje: celem tej prezentacji jest propagowanie socrealizmu jako jedynego dopuszczalnego stylu w projektowaniu. Na 1326 zaprezentowanych obiektów z IWP ledwo przecisnęło się tam kilka mebli. I nawet tych parę projektów pokazano w rozproszeniu, by nie dało się z nich odczytać programu instytutu. Wanda przełknęła porażkę.

Rok po wystawie w Zachęcie próbuje się bronić przed naciskami socrealizmu ucieczką w prezentację ludowości, którą władza akceptuje i popiera. W 1953 pokazuje efekty prac swoich kolektywów ludowych na wystawie „Próby włączania samorodnej twórczości ludowej do wzornictwa przemysłowego", prezentując głównie nowoczesne, drukowane tkaniny zaprojektowane na podstawie wiejskich wzorów.



Lekkie, organiczne krzesło „Płucka" Marii Chomentowskiej z 1956 r., jedno z arcydzieł polskiego designu.

eprasa.pl 1cf7f76a50



Wanda Telakowska (z lewej) przyjmuje w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego żonę premiera Szwecji Ainę Erlander (trzecia z lewej). Warszawa, listopad 1967 r.

Na soc-wystawie w Zachęcie, podczas której Wandę pominięto, pokazano głównie meble do wnętrz reprezentacyjnych czy użyteczności publicznej – takich, w których socrealizm mógł się wykazać. To nie jest temat IWP, który ma ambicje projektowania rozwiązań dla ludzi, do mieszkań. Około roku 1954 Wanda skupia się na zagadnieniu mebli masowych, tzw. ZOR-owskich (od Zakład Osiedli Robotniczych): praktycznych, funkcjonalnych, na każdą kieszeń. Zostają opracowane wytyczne ich projektowania: dopasowanie gabarytów do małych mieszkań, eliminacja drogich materiałów, okładzin i fornirów, a także rezygnacja z metalowych okuć, bo to one podnosiły koszty produkcji. I kolejna nowość: meble łatwe w transporcie. Przede wszystkim jednak meble mają łączyć różne funkcje – bo w nowych mieszkaniach nie ma osobnych sypialni.

Na biurkach projektantów IWP ląduje temat do rozpracowania: kanapa, czyli symbol mieszczańskiego salonu. Dotychczas grat, zawalidroga, ciężki kloc do siedzenia. Wiadomo – noc na kanapie to wyrok dla małżonka i deska ratunku, kiedy w domu pojawia się daleki krewny, którego trzeba przenocować. Ale nadeszły nowe czasy, kanapa musi się zmienić; inaczej czeka ją upadek. Ratunek dla „zagrożonego gatunku" wymyśla Irena Żmudzińska, tworząc projekt trójdzielnej amerykanki, czyli mebla do siedzenia za dnia i – po rozłożeniu – do spania w nocy, i to dla dwóch osób. Ale nawet wersja dzienna złożonej amerykanki Żmudzińskiej jest lekka, niemal ażurowa, nie ma w niej nic z mieszczańskiej solidności poprzedniczek.

Około 1954 r. Wanda Telakowska skupia się na zagadnieniu mebli masowych: praktycznych, funkcjonalnych, na każdą kieszeń.

Ten sam problem rozwiązuje jeszcze bardziej radykalnie Maria Chomentowska, najzdolniejsza projektantka z Zakładu Meblarskiego – proponując rozkładany fotel do spania, oznaczony jako typ 391, który jest o niemal połowę węższy niż amerykanka, a po rozłożeniu można się na nim wygodnie przespać w pojedynkę. Talent do tworzenia lekkich, nowoczesnych mebli ujawnia Chomentowska w 1956 r., projektując krzesło „Płucka" – niewielkie, wykonane ze sklejki, swoim organicznym kształtem idealnie pasujące do mieszkania w zachodnim stylu new look.

Praktyczny luksus dla barów mlecznych 1953

Są pierwsze efekty nowego modelu działania Wandy – czyli instytutu naukowego. Zjednoczenie Przemysłu Ceramicznego zleca instytutowi opracowanie dwóch kompletów naczyń dla barów mlecznych. Wprowadzić rozwiązanie masowe, poradzić sobie z problemami społecznymi systemowo – to jedna z utopii peerelowskich władz, na której wyrasta i rozwija się Instytut Wzornictwa Przemysłowego.

Jak zorganizować żywienie zbiorowe? Lud pracujący nie gotuje i nie je w domu, funkcję tę przejęły stołówki. Kto nie załapał się na stołówkę, idzie do baru mlecznego. A tam używa się niefunkcjonalnych, tłukących się i nieestetycznych naczyń. Pada pomysł stworzenia wzorcowych barów, w których potrzebna jest wzorcowa zastawa stołowa. I to zadanie ląduje na biurku Wandy. Jej zespół Zakładu Ceramiki i Szkła tworzą m.in. dwie Zofie: Przybyszewska i Palowa. Przybyszewska jest po malarstwie we Wrocławiu i w Warszawie, ale teraz zajmuje się ceramiką, Palowa skończyła rzeźbę na warszawskiej ASP. Przybyszewska jest od Palowej starsza o ponad 20 lat, ale dobrze się dogadują i chętnie pracują razem. To właśnie im Telakowska zleca przygotowanie dwóch niezależnych projektów zestawów naczyń do barów mlecznych. Wyjaśnia, że muszą rozwiązać trzy problemy: estetyki, funkcji i wymagań higienicznych. Trzeba wziąć

eprasa.pl 1cf7f76a50

pod uwagę potrzeby konsumentów, a także personelu barów.

Cały zespół Zakładu Ceramiki i Szkła pracuje nad określeniem typów naczyń. Badając jadłospisy barów mlecznych, dochodzą do wniosku, że następujący zestaw naczyń zaspokoi ich wszystkie potrzeby: kubek 1/2 litra, kubek 1/4 litra, talerz głęboki, talerz płaski, talerz deserowy, solniczka, miseczka do jajecznicy, tacka. Najważniejszy jest kubek półlitrowy, bo w ówczesnych barach mleko było najczęściej sprzedawanym produktem. Sam kubek ma aż pięć wytycznych projektowych, z czego najistotniejsze to łagodne przejście wewnętrznych ścianek w dno kubka – tak żeby ułatwić jego mycie i higieniczne utrzymanie – oraz wyeliminowanie wszelkich uszek i uchwytów, żeby nic „nie wystawało" na zewnątrz, nie obtłukiwało się i żeby można było przechowywać kubki jedne w drugich.

Zofie uwijają się ze zleceniem, projekt powstaje w kilka miesięcy. Z Wandą konsultują niemal każdą decyzję – mają świadomość, że to projekt, który przetrze szlak następnym.

Zestaw A, zaprojektowany przez Palową, jest uderzająco minimalistyczny. Formy są tak proste i syntetyczne, że aż radykalne. Smukłe i wysokie kubki mają doskonałe proporcje, a w talerzach i miseczkach zastosowano łukowato wymodelowane ścianki boczne.

Zestaw B, zaprojektowany przez Przybyszewską, też jest progresywny w kształcie, choć bardziej zachowawczy. Ma opaskę obiegającą górną część naczyń i charakterystyczne, lekko wystające uchwyty miseczki. To ten drugi projekt – dzięki determinacji Wandy – zostaje wdrożony do produkcji po pewnych poprawkach i zmianach. Widział go każdy, kto choć raz jadł w barze mlecznym, bo realizacja była masowa i wielokrotnie wznawiana. (…)

Figurki ćmielowskie – gadżet poprawny politycznie 1956-1965

Czy skupiona na celowości socjalistyczna estetyka dopuszcza coś takiego jak bibelot? Czy człowiek socjalistyczny może postawić na półce



„Dziewczyna w spodniach" Henryka Jędrasiaka, ikona polskiego stylu new look. Projekt z 1958 r.

obok książek porcelanową figurkę? Wanda, działając w peerelowskiej rzeczywistości, wykształca w sobie zmysł łączenia trendów z Zachodu z nakazami komunistycznej ideologii. Przykładem takiej syntezy są figurki z fabryki porcelany w Ćmielowie. W zachodni sposób nowoczesne, na tyle nie przypominają mieszczańskiej i imperialistycznej Miśni, że mieszczą się w kanonie socjalistycznej poprawności.

W Zakładzie Ceramiki powstaje porcelanowa menażeria: gady, płazy, różne rasy psów, ptaki, zwierzęta egzotyczne, dzikie i domowe.

W 1951 r. Wanda otwiera w instytucie Zakład Ceramiki i Szkła wywodzący się z Doświadczalnej Pracowni Ceramicznej działającej pod auspicjami BNEP we Wrocławiu. Gładko przechodzi przez okres socrealizmu, aby w 1955 r. zatrudnić najlepszych absolwentów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie: Lubomira Tomaszewskiego i Mieczysława Naruszewicza, którzy skończyli Wydział Rzeźby, oraz Hannę Orthwein, absolwentkę Wydziału Ceramiki. Dołączają oni do zatrudnionego wcześniej Henryka Jędrasiaka, również absolwenta rzeźby na warszawskiej ASP. Panowie znają się ze zleceń przy Pałacu Kultury i Nauki, gdzie pracowali nad monumentalnymi rzeźbami. To Jędrasiak właściwie sprowadza Tomaszewskiego i Naruszewicza do instytutu. Razem z Hanną Orthwein tworzą oni „wielką czwórkę" – zespół, który pod czujnym okiem Telakowskiej wymyśla, w jaki sposób odejść od mieszczańskich, sentymentalnych muzykujących par. W zamian za to projektanci proponują figurki ultranowoczesne – o syntetycznej, uproszczonej formie, malowane dużymi plamami czystego koloru.

Projekty figurek wpisują się w styl „po odwilży": swobodny, uciekający od gorsetu dosłowności socrealizmu, łączący nowoczesną rzeźbę z malarstwem abstrakcyjnym. Formy otwarte, dynamiczne, unikanie linii prostych i brak podstawek – to cechy podpatrzone u mistrzów rzeźby nowoczesnej: Henry'ego Moore'a czy Hansa Arpa. W Zakładzie Ceramiki Instytutu Wzornictwa Przemysłowego pod okiem Telakowskiej powstaje prawdziwa porcelanowa menażeria: gady, płazy, różne rasy psów, ptaki, zwierzęta egzotyczne, dzikie i domowe. Mimo awangardowego ujęcia projektantom udaje się zachować kameralny charakter porcelanowej figurki. Tematy traktują w lekki, żartobliwy sposób, do czego namawiała ich ceniąca poczucie humoru Wanda.

„Przystąpiliśmy do pracy w Zakładzie Ceramiki i Szkła, właściwie nie zdając sobie sprawy z trudności, jakie nas czekają", wspominał Henryk Jędrasiak, autor „Dziewczyny w spodniach", jednej z ikon polskiego stylu new look. Dziś ta figurka traktowana jest nie jako „bibelot", ale małe dzieło rzeźbiarskie i zapis stylu epoki.

Fragmenty książki Katarzyny Rzehak *Wanda Telakowska. Piękno dla wszystkich, czyli jak powstało polskie wzornictwo powojenne*, Marginesy, Warszawa 2026



FOT. PAP/BOLESŁAW MIEDZA, FABRYKA PORCELANY AS ĆMIELÓW, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1cf7f76a50

KURTYNA W GÓRĘ

Samospalenie

To była książka zbójecka. O zawarte w niej idee namiętnie spierano się przez dziesięciolecia. Dzisiaj jednak siła „Płomieni" Stanisława Brzozowskiego wystygła, mimo że Janusz Opryński dołożył starań, aby ożywić jej spopielałe karty. Służy temu dedykacja przedstawienia tym, którzy sami siebie złożyli w ofierze w płomieniach, jak Piotr Szczęsny, który 19 października 2017 r. dokonał aktu samospalenia na Placu Defilad przed Pałacem Kultury. W teatralnej ulotce zapisano, że to spektakl dedykowany



„wszystkim, którzy na całym świecie walczą o szeroko rozumianą wolność, wierząc, jak Brzozowski, że »myśli nie można zabić«".

Trudno nie podzielać tych szlachetnych intencji, choć towarzyszy temu świadomość, że inne dzisiaj demony krążą nad nami – raczej demony wojny niż wolności. Ale o wolności nie godzi się zapominać nigdy. Spektakl potwierdza wagę tego od wieków istotnego dążenia człowieka. Wspiera intencje reżysera aktorskie cyzelatorstwo, szczególnie widoczne w kreacjach Modesta Rucińskiego w roli rewolucjonisty Michała Kaniowskiego i Szymona Kuśmidera jako ks. Rotuły. Rzecz warta namysłu i przeżycia, choć brakuje tu – wbrew tytułowi – ognia. Tego wewnętrznego.

Tomasz Miłkowski

„Płomienie" według Stanisława Brzozowskiego, adaptacja i reżyseria Janusz Opryński, Scena Kameralna Teatru Polskiego im. Arnolda Szyfmana, premiera 29 stycznia 2026

NA EKRANACH



O Elvisie z klęczek

Ceniony, także za odwagę, reżyser Baz Luhrmann („Romeo i Julia", „Moulin Rouge!", „Wielki Gatsby") zrobił już film o Elvisie Presleyu, w którym drążył jego wyrastanie z kultury czarnych Amerykanów i lustrował burzliwe związki: z menedżerem, z żoną i córką, z narkotykami i lekami nasennymi. Australijczyk próbował rzucić nowe światło na króla rock'n'rolla. Tym razem jednak wystawia mu taką laurkę i bije przed nim takie pokłony, że człowiek aż marzy, żeby tu weszli Francuzi i zrobili powtórkę z 1793 r. Owszem, wykorzystane przez twórcę archiwalia zachwycają. Zwłaszcza że spece od remasteringu dokonali cudów: Presley wygląda i brzmi tak, jakbyśmy oglądali dokument o współczesnym artyście, a nie o fenomenie lat 50. i 60. Jeśli macie ochotę na wygibasy ciała i strun głosowych na dużym ekranie, to powinniście zainwestować w bilet do kina. Jeśli jednak chcielibyście czegoś nowego się dowiedzieć, lepiej zostać w domu i pogadać choćby z Chatem GPT. On przynajmniej nie klęka.

Artur Zaborski

„EPiC: Elvis Presley in Concert", reż. Baz Luhrmann, prod. Australia/USA, już w kinach

MIĘDZY OKŁADKAMI



Lulu Miller

Dlaczego ryby nie istnieją

tłum. Hanna Pasierska

Czarne, Wołowiec 2026

Tytuł przyciąga. Myślisz, że to kolejna teoria spiskowa albo pozycja popularnonaukowa, a tu dobrze skrojona opowieść, udająca nieco biografię, flirtująca z kryminałem, ostatecznie okazująca się esejem o obsesji porządkowania świata – i o tym, jak bardzo ta obsesja potrafi być niebezpieczna. Miller bierze na warsztat postać Davida Starra Jordana, wybitnego ichtiologa, tytana pracy, który wierzył, że chaos da się ujarzmić za pomocą nazw i szufladek. Katalogował ryby, klasyfikował świat, odbudowywał zbiory po katastrofach. Im głębiej jednak wchodzimy w jego życiorys, tym wyraźniej widać pęknięcia: eugenika, przemoc, wiara w „naturalny porządek", który usprawiedliwia krzywdę. Autorytet kruszeje, a z nim cały system znaczeń. Równolegle Miller prowadzi intymną narrację o własnym lęku, depresji i desperackim poszukiwaniu sensu.

Rafał Pikuła

Lee Do-woo

Spotkajmy się, kiedy będzie ładna pogoda



tłum. Choi Jeong-in i Filip Danecki

W.A.B., Warszawa 2026

Jak zazdroszczę! Chciałoby się mieć w okolicy taką księgarnię Goodnight, zwłaszcza że u nas księgarnie to gatunek krytycznie zagrożony. Na prowincji, otwarta do późna, bo właściciel, życzliwy i dla ludzi, i dla książek, cierpi na bezsenność. Nie tylko zaopatruje czytelników w nieraz mocno niszową lekturę, ale też daje miejsce tym, którzy nie mają gdzie spokojnie poczytać. Przechowuje dla nich książki na specjalnym regale. Zbiera się tu klub czytelniczy, coraz bardziej zżyty i chętny do pomocy w różnych zdarzeniach losowych. A tych nie brakuje – zima się nagle rozsrożyła, poza tym dawna miłość księgarza przywiozła ze sobą z Seulu bagaż problemów.

Jeszcze przydałby się tłumaczeniu rzut redaktorskim okiem tu i ówdzie, ale książka jest naprawdę ujmująca. Życzliwość – oto słowo klucz. I wybaczenie, nawet gdy to trudne.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 1cf7f76a50



Góry lodowe na Zatoce Disco.



Podpłynąć najbliżej, jak się da.

Grenlandia – arktyczna perła

Ta największa wyspa świata to prawdziwa arktyczna perła, o niebywałej wprost urodzie, takiej, jaką można podziwiać wyłącznie na Północy, za kręgiem polarnym. Byłem na Grenlandii dwukrotnie: pierwszy raz od strony morza, na jachcie „Berg" w 2014 r. z kapitanem Arturem Bergerem, a drugi raz w roku 2022, na wyprawie fotograficznej z uznanym międzynarodowym fotografem Marcinem Dobasem.

Mimo mijających lat i udziału w wyprawach od Antarktydy po Svalbard wciąż i niezmiennie jestem Grenlandią zachwycony: jej wspaniałym krajobrazem, fauną lądową i morską – i bezwarunkową, prawdziwą życzliwością Inuitów. Fotografie w niewielkim tylko stopniu to ilustrują.

Jerzy Słabicki



Załoga „Berga" w komplecie. Kapitan oczywiście za kołem sterowym, z nieodłączną fajką. Klasyka.



Cmentarz w Ilulissat.

eprasa.pl 1cf7f76a50





Wśród gór lodowych na Zatoce Disco.

FOT. JERZY SŁABICKI



Widok z pensjonatu w Ilulissat, gdzie mieszkałem z kilkoma amatorami fotografii i grenlandzkiej przyrody. Nazwa miasta oznacza w języku miejscowym góry lodowe – i to widać, gdziekolwiek się spojrzy.





Mieliśmy szczęście, często spotykaliśmy wieloryby.



Wół piżmowy w tundrze nad Kangerlussuaq. Jego uprzejmości nie testowaliśmy.

eprasa.pl 1cf7f76a50

Pociągi wyprzedzą samoloty?

Jeśli Chiny dopracują nową technologię, pociąg przyszłości będzie się poruszał ponad trzy razy szybciej niż dźwięk

Chrystian Ślusarczyk



T-Flight ma połączyć chińskie megamiasta i znacznie skrócić czas podróży.

Z Warszawy do Madrytu w prostej linii jest ok. 2,3 tys. km. Najlepszym sposobem na pokonanie tej odległości wydaje się samolot. Tymczasem Chińczycy robią wiele, by nasze skojarzenia nie były tak oczywiste. Bo alternatywa w postaci pociągów jadących 4 tys. km/godz. (!) nie jest wcale odrealniona.

Zachód, który dziś wyraźnie przegrywa wyścig technologiczny z Chinami, przez dekady testował pociągi magnetyczne i próżniowe, proponował wszelkiego rodzaju technologie mające na celu przyśpieszenie, którego nie osiągną pociągi konwencjonalne. Wielu zachodnich projektantów jest przekonanych, że klucz do superszybkiej sieci kolejowej można znaleźć… w XIX w.

W 1867 r. na wystawie American Institute w Nowym Jorku amerykański wynalazca Alfred Ely Beach zaprezentował model podstawowego pneumatycznego systemu metra, w którym wagony popychało ciśnienie powietrza w rurze. W 1869 r. Beach przenosił już swój projekt na Manhattan i budował rurę pneumatyczną, która miała przebiegać pod Broadwayem. Obiekt miał wykorzystywać ciśnienie powietrza do „wystrzeliwania" z dużą prędkością pasażerów umieszczonych w szczelnych kapsułach w górę i w dół wyspy. Powstała wówczas tzw. demonstracyjna linia kolei pneumatycznej, która funkcjonowała w latach 1870-1873.

Co ciekawe, doświadczenia z eksploatacji tej linii posłużyły do budowy nowojorskiej sieci poczty pneumatycznej, która była używana do 1953 r. Pomysł Beacha, przypominający pod pewnymi względami projekt kolei pneumatycznej Elona Muska (znanej jako Hyperloop, tzw. piąty transport), był prototypem nowojorskiego metra. Pierwszego metra w Stanach Zjednoczonych.

Ultraszybkie, gigantyczne i hipernowoczesne

To już jednak historia, o której będą się uczyć amerykańskie dzieci. Przełom XX i XXI w. w dziedzinie transportu kolejowego należy do Państwa Środka. Chiny od pewnego czasu inwestują ogromne środki w rozwój kolei. Ich łączna sieć liczy obecnie ponad 180 tys. km, z czego ponad 50 tys. to linie dużych prędkości. Chińska sieć kolei dużych prędkości jest największa na świecie i stanowi wzór dla innych krajów. Skutecznie rywalizuje z systemami w Japonii (Shinkansen) i we Francji (TGV).

Chiny stawiają też na gigantyczne, supernowoczesne dworce kolejowe. Największy dworzec na świecie, Chongqing East Railway Station, znajduje się w mieście Chongqing. Cały kompleks komunikacyjno-biznesowy obejmuje 1,2 mln m kw – jego powierzchnia zajmuje obszar ponad 170 boisk piłkarskich. W ciągu godziny może odprawić 16 tys. pasażerów. Konstrukcja w stylu cyberpunk kosztowała Pekin 7,8 mld dol.

Dziś wielu Chińczykom odległości rzędu 2 tys. km i dłuższe nakazują rozważenie racjonalnego wyboru środka transportu. Przykładem może być trasa z Pekinu do Chengdu, stolicy pand i bramy do Tybetu, jak nazywane bywa to miasto. Korzystając z superszybkich pociągów, które na tej trasie liczącej prawie 1,8 tys. km rozpędzają się do 330 km/godz., dotrzemy tam w sześć i pół

FOT. ZHU XINGXIN/CHINA DAILY

eprasa.pl 1cf7f76a50

godziny. Samolot rzecz jasna wciąż wygrywa, jeśli chodzi o czas, ale już dziś niekoniecznie wydaje się lepszą alternatywą, biorąc pod uwagę doskonałe usytuowanie dworców kolejowych w centrach obu metropolii, gdy gigantyczne lotniska znajdują się daleko na przedmieściach.

Tak wygląda sytuacja w Chinach na początku 2026 r. W ciągu najbliższych lat szala stopniowo będzie się przechylać na korzyść transportu naziemnego, przy czym dokładne przyjrzenie się najnowszym technologiom kolejowym made in China nakazuje daleko idącą ostrożność w używaniu w stosunku do nich czasownika jechać.

„Pływające" pociągi

Specjaliści z Państwa Środka nieustannie pracują nad przyśpieszaniem swoich pociągów. Grudzień ub.r. był dla chińskich kolei wyjątkowy. Według informacji platformy medialnej People's Daily Online oraz rzeczniczki chińskiego MSZ Mao Ning testowy wagonik kolei magnetycznej (bez pasażerów) osiągnął prędkość 800 km/godz. – poruszał się tak przez 5,3 s. Jak twierdzi People's Daily Online, powołując się na naukowców z laboratorium w Wuhan, pojazd osiągnął to przyśpieszenie po 600 m. Cały przejazd został sfilmowany. Chiński wynik – jak do tej pory – nie znalazł się w Księdze rekordów Guinnessa.

To jednak tylko optymistycznie wróżące eksperymenty. Na razie oficjalnie najszybszym na świecie pociągiem na poduszce magnetycznej jest japońska seria L0, opracowana przez Central Japan Railway Company, która w 2015 r. osiągnęła prędkość 603 km/godz. Pociągi z taką prędkością będą się poruszały w 2027 r. na regularnych trasach i będą obsługiwały linię Shinkansen między Tokio a Osaką.

Chińczycy robią jednak dużo, by Shinkansen utracił palmę pierwszeństwa. Wiele wskazuje na to, że pociągiem, który ma potencjał zmienić na zawsze transport pasażerski, jest chiński T-Flight. Na razie znajduje się on w fazie testów, a łączy technologie maglev i hyperloop.

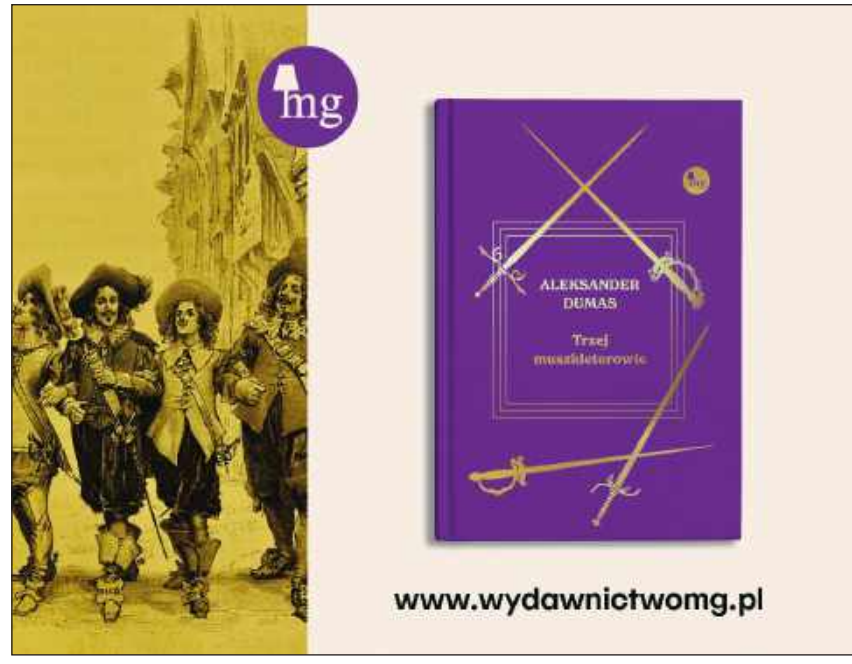
Maglev (magnetic levitation) to system kolei magnetycznej, w którym pociągi unoszą się nad torem (lewitują) dzięki siłom pola magnetycznego, co eliminuje tarcie kół o szyny. Hyperloop zaś to koncepcja ultraszybkiego transportu, w którym pociągi pasażerskie i towarowe poruszają się w rurach o bardzo niskim ciśnieniu, prawie w próżni, aby zmniejszyć opór powietrza i osiągnąć prędkości ponad 1 tys. km/godz.

Chińska sieć kolei dużych prędkości jest największa na świecie i stanowi wzór dla innych krajów. Skutecznie rywalizuje z japońskim Shinkansenem i francuskim TGV.

T-Flight ma połączyć chińskie megamiasta i znacznie skrócić czas podróży. Ostatnie testy pokazały, że wprowadzenie tych „pływających pociągów" do stałych kursów jest coraz bardziej realne. Kilka kolejnych eksperymentów potwierdziło, że technologia działa prawidłowo w warunkach tzw. niskiej próżni. Media podają (choć świadkami tego eksperymentu byli tylko Chińczycy), że pociąg jadący na 1150-kilometrowej trasie z Pekinu do Szanghaju na odcinku 2 km miał jechać z prędkością 623 km/godz.! Łączny czas przejazdu między dwiema metropoliami niedługo ma się skrócić do półtorej godziny! To już dziś jest poważna konkurencja dla linii lotniczych.

Koncepcja pociągów przyszłości w technologii hyperloop nie jest nowa. Po raz pierwszy opracowała ją amerykańska HyperloopTT. Firma powstała pod koniec 2013 r. Pracownicy HyperloopTT wierzyli, że będą w stanie przewieźć pasażerów z Los Angeles do San Francisco w mniej niż 30 minut – rozwijając w aluminiowych kapsułach niskopróżniowych prędkość do 1280 km/godz.

Podczas gdy HyperloopTT nadal prowadzi badania naukowe, główny gracz w tej dziedzinie, Hyperloop One, zakończył działalność w 2023 r. Firma była uważana za jeden z najbardziej udanych start-upów, ale ostatecznie ogromne koszty i fakt, że nigdy nie wygrała kontraktu na budowę trasy kolejowej, okazały się fatalne w skutkach. O Hyperloop



eprasa.pl 1cf7f76a50

One zrobiło się głośno, gdy jeden ze współzałożycieli, Shervin Pishevar, został oskarżony o molestowanie seksualne, a były dyrektor, rosyjski biznesmen Ziyavudin Magomedov, został aresztowany w Moskwie pod zarzutem oszustwa, które nie miało związku z firmą.

Europa również – choć na mniejszą skalę niż Chiny – stara się rozwijać technologię hyperloop. Wciąż aktywny jest Europejski Program Rozwoju Hyperloop (HDP). Skupia ponad 25 podmiotów, w tym firmy technologiczne, instytuty badawcze i rządy, które mają stworzyć bezpieczny, zrównoważony i komercyjnie opłacalny środek transportu. Celem HDP jest otwarcie sieci tras do 2050 r. Według prognoz powstanie sieci o długości 25 tys. km, łączącej 130 największych miast w Europie, mogłoby spowodować przejęcie do 2050 r. nawet 66% lotów na średnich dystansach. Koszt projektu szacowany jest na 981 mld euro.

Szybciej niż dźwięk?

Ambicją Chin nie jest szybkość 623 km/godz. Druga faza testów T-Flight ma na celu osiągnięcie prędkości przekraczającej na 60-kilometrowym odcinku 1 tys. km/godz. Jeśli eksperyment zakończy się sukcesem, w trzeciej fazie pociąg ma osiągnąć imponującą prędkość 4 tys. km/godz., czyli 1111,1 m/s!

Rzecz jasna, chińscy naukowcy są świadomi potencjalnych problemów i zagrożeń związanych z tym projektem, takich jak konserwacja pociągów i sieci. Ciśnienie wewnątrz rury musi być stałe, bo każde rozszczelnienie mogłoby doprowadzić do niewyobrażalnej katastrofy. Nie będzie to łatwe, ponieważ materiały konstrukcyjne będą pracowały cały czas na różnych odcinkach tras liczących po kilkaset kilometrów.

Prędkość dźwięku wynosi jakieś 343 m/s, więc jeśli Chiny opracują nową technologię, pociąg będzie się poruszał ponad trzy razy szybciej niż dźwięk. „Uwierzę, kiedy zobaczę", powiedział Mark Smith, założyciel strony internetowej o podróżach kolejowych seat61.com, dodając jednak, że „jeśli ktokolwiek może to zrobić, to Chińczycy właśnie. Mają fantastycznych naukowców, są niesłychanie ambitni, no i nie muszą się martwić o takie rzeczy jak analiza kosztów i korzyści".

Państwo Środka dąży nie tylko do stworzenia pociągu, który pod względem szybkości będzie rywalizował z samolotami. Chiny są obecnie największym na świecie producentem taboru kolejowego – głównie poprzez państwowy koncern CRRC Corporation Limited. Produkują pełen wachlarz pociągów – od superszybkich składów po pociągi miejskie.

W Chinach pociągi dużych i bardzo dużych prędkości będą wypierać transport lotniczy, ale będzie to się działo stopniowo. A że Pekin potrzebuje na to czasu – świadczą biznesowe wyniki lutowej wizyty w Chinach Friedricha Merza. Niemiecki kanclerz ogłosił w Pekinie, że Chińczycy zamierzają kupić od europejskiego Airbusa co najmniej 120 nowych samolotów.

W technologii maglev pociągi unoszą się nad torem (lewitują) dzięki siłom pola magnetycznego.

A gdzie w tej trwającej już jakiś czas kolejowej rywalizacji Dalekiego Wschodu z Zachodem jesteśmy my? Z jaką prędkością jeżdżą pociągi w Polsce?

Dzięki zastosowaniu wyjątkowych technologii maksymalna prędkość popularnego (lecz niestety drogiego) u nas włoskiego Pendolino wynosi 293 km/godz. Jednak żaden pasażer podróży w takim tempie nie odbywa. Powód banalny: wynik ów został osiągnięty w trakcie testów, na Centralnej Magistrali Kolejowej, na „trasie do bicia rekordów". Odcinek zaczyna się w Grodzisku Mazowieckim i kończy w Zawierciu. Taka prędkość była możliwa jedynie w określonych warunkach i pod ścisłym nadzorem.

Jak podaje, sprowadzając nas na ziemię, Urząd Transportu Kolejowego, średnia prędkość pociągów w Polsce w 2024 r. wyniosła 55,2 km/godz. Nie wiadomo dlaczego mniej niż rok wcześniej, kiedy pociągi „rozpędzały się" średnio do 56 km/godz. Czyli jechały niewiele szybciej niż… kolarze ścigający się w Tour de France.

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl 1cf7f76a50



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nieczułe miejsca straceń

Kiedyś to było. Była np. „Gazeta" kupowana każdego dnia dla higieny umysłu, od niej dzień się zaczynał, bez „Gazety" i kawy myśli miałem nieostre, dopóki sobie nie pobrudziłem palców farbą drukarską przy porannej lekturze, nie zasiadałem do roboty umysłowej. Była „Gazeta" towarzyszką wierną przez jakieś ćwierć wieku, jej dodatki cieszyły oko i syciły mózg, nawet się do niej pisywało okazjonalnie, potem pisało się regularnie przez 10 lat o sporcie, aż w końcu zaczęło się czytać rzadziej i pisać się przestało, bo „Gazeta" chudła od masowych zwolnień, traciła na jakości, aż w końcu zostało się z magazynem weekendowym, kupowanym z niejaką jeszcze nadzieją na intelektualną zwartość, a nadto z zabawnego powodu oszukania czasu, bo w moim regionie sobotnie wydanie było dostępne już w piątki.

Ostatnio zostało się już właściwie tylko z „Książkami", krytyczno-literackim dwumiesięcznikiem najwyższej próby, od początku redagowanym przez znajomych i cenionych dziennikarzy, z jednym w dodatku pogrywało się na orlikach w gałę.

I oto doszły mnie wieści hiobowe – Łukasz Grzymisławski i Juliusz Kurkiewicz ofiarami kolejnej fali masowych zwolnień. Kiedy słyszę o masowych zwolnieniach, to jakbym słyszał o zbiorowych egzekucjach, nie umiem odgonić tej myśli: „W ramach rozstrzelań grupowych w Agorze stracono 115 osób, w tym 56 w spółce Wyborcza". To tam ktoś jeszcze w ogóle został? Czy tylko ej-aje i studenci stażyści, co to będą pisać za samo ubezpieczenie i prestiż?

Zawsze się w takich chwilach utwierdzam w słuszności obranej drogi zawodowej, bo choć od statusu bezdomnego dzieli mnie jeden kaprys losu, a do końca miesiąca prawie nigdy nie dociągam bez pożyczki, żaden biznesmenel nie może mnie zwolnić. I niby to płyną obietnice, że pismo pozostanie przy życiu, ale – z całym szacunkiem – śmiem wątpić, aby utrzymało poziom, jeśli w ramach dodatkowych obowiązków i redukcji etatów będzie miała je robić osoba i tak już przeciążona zadaniami. Jestem więc przygotowany na utratę kolejnego stałego elementu diety umysłowej, tak jak straciłem niedawno Polskie Radio z telewizora, bo Canal+ w sposób nagły i bezpardonowy rozwiązał z nim umowę. Owszem, słucham ulubionych audycji z laptopa, ale odebrało mi to tę przygodność włączania Dwójki do smażenia jajówy, mycia garów czy zamiatania podłogi, albo i choćby do kawusi ze świeżymi bułeczkami. Na nie zaprasza Daniel Olbrychski w ostatnim zdaniu „Bezimiennego dzieła", które po raz czwarty wyreżyserował Jan Englert, tym razem w Teatrze Telewizji.

I z TTV kiedyś przyszło się pożegnać, zdawało się nawet, że bezpowrotnie, bo najpierw zniknął z anteny, a potem za PiS wrócił jako scena grafomańskich panegiryków dla „żołnierzy wyklętych", tymczasem jednak odżył i ma się całkiem nieźle. Tyle co obejrzałem intrygujący pojedynek aktorski Zbigniewa Zamachowskiego i Andrzeja Chyry, którzy w sztuce „Ezi" odtwarzali fikcyjną, choć możliwą libacyjkę Kazimierza Górskiego i Ernesta Wilimowskiego, a w zeszły poniedziałek mogłem się posilić witkacowskim dramatem obsadzonym doborowo przez zespół Teatru Narodowego.

„Mieduwalszczycy skarmią na widok czarnego beata, buwaja piecyty" – takie zdanie wyśnił młody Witkacy w 1912 r., zdanie abstrakcyjne, nie-samowite, pełne tajemnej grozy, „metafizycznej dziwności istnienia", i uczynił z niego po latach motto dramatu. Mieduwalszczycy w „Bezimiennym dziele" są po prostu głodną władzy sektą, wyznawcami proroka Joachima Mieduwała, twórcy wiary, wedle której rytuałów zamierzają teraz władać ludem jako kapłani, traktując jednak kwestię religii cynicznie i funkcjonalnie. Kiedy pomnę gęby kaczystowskich ministrantów w rodzaju Błaszczaka czy Czarnka, gdy przypomnę sobie całe pisowskie naczalstwo tańcujące u Rydzyka – od razu widzę mieduwalszczyków. Witkacy ich nie tyle przewidział, ile opisał na żywo, bo w Polsce nic się nie zmieniło od 100 lat – nadal żyjemy w kruchcie. W finale zdegradowani i zlinczowani hochsztaplerzy polityczni dyndają na szubienicach i ruchem wahadłowym poruszają serce dzwonu bijącego na trwogę.

Reżysersko to jest spektakl na przeciwnym biegunie „czystoformalnych" przedstawień Kantora i Lupy – Englert robi Witkacego w konwencji realistycznej, bo katastrofizm jest dzisiaj realizmem. Mam do tej sztuki stosunek nostalgiczny: kiedy Klaudestyna de Montreuil zapytana przez Plazmonika Blodestauga „Kto pani jest?" odpowiada: „Jestem malarką, szukałam miejsca dla namalowania rosy na pajęczynkach…", zawsze słyszę dialog w melorecytowanej wersji Marka Grechuty i Maryli Rodowicz z płyty dokumentującej legendarny musical „Szalona lokomotywa" z Teatru STU z 1977 r.

Osobną wartością nowej wersji „Bezimiennego dzieła" jest Maciej Stuhr w roli Plazmonika – doskonale równoważący vis comica i tragica, trochę jak kobielowski Piszczyk. Maciej, artysta wywodzący się ze sceny kabaretowej, niebywale dojrzał aktorsko, także dzięki dekadom spędzonym w teatrze Warlikowskiego. Dzisiaj jest aktorem wybitnym, wszechstronnym, nieustępującym w mistrzostwie najlepszym rolom ojca. ■

eprasa.pl 1cf7f76a50

Gdy słoń choruje

Ludzie obserwują zwierzęta w poszukiwaniu leków dla siebie

Jaap de Roode



Od wieków ludzie spoglądali na zwierzęta, szukając w nich inspiracji dla własnej wiedzy medycznej. Według legendy pewnego razu pasterz imieniem Kaldi, w rejonie Kaffa na terenie dzisiejszej Etiopii, zauważył, że jego kozy po zjedzeniu jagód pewnego krzewu kawowego stają się niezwykle ożywione i skore do figli. To skłoniło opata pobliskiego klasztoru do uprażenia tych jagód i zaparzenia z nich napoju, od którego dziś wielu z nas jest uzależnionych (…).

Z kolei zwyczaj żucia liści krzewu koki *Erythroxylum coca*, mający korzenie w Peru, najprawdopodobniej zainspirowały lamy, które spożywały je podczas zejścia w niższe partie Andów, aby zwiększyć swoją wytrzymałość. (…) Rdzenni uzdrowiciele Ameryki Północnej często przypisywali niedźwiedziom miano mistrzów natury w sztuce leczenia. Gdy budzą się one z trwającej kilka miesięcy hibernacji, z upodobaniem spożywają korę wierzby, co łagodzi bóle i stany zapalne. Kora ta zawiera kwas salicylowy – związek chemiczny, który stał się prekursorem aspiryny.

Być może słyszałeś o „zielu napalonej kozy", roślinie z rodzaju *Epimedium*. Według legendy pewien chiński pasterz zaobserwował, że jego kozy po zjedzeniu tej rośliny

Z 20 roślin wykorzystywanych przez słonie 15 stosuje się także w leczeniu ludzi.

stawały się, cóż… wyjątkowo pobudzone. Badania laboratoryjne wykazały, że u szczurów karmionych ikariiną – flawonoidem pozyskiwanym z tej rośliny – wzrastała produkcja spermy, a nawet kastrowane osobniki odzyskiwały zdolność do wzwodu. Roślina została opisana jako środek leczniczy już w chińskim klasyku medycyny *Shen Nong Ben Cao Jing* sprzed 400 lat, a także uwzględniona w najsłynniejszym chińskim kompendium medycznym *Ben Cao Gang Mu*. W Chinach, Japonii i Korei ziele to stosuje się w leczeniu impotencji, a także w terapii zapominalstwa i osteoporozy. Dziś ziele napalonej kozy dostępne jest nie tylko jako dodatek do wina czy wody, ale także w postaci tabletek, a nawet makaronu.

Przypomnijmy Mohamediego Seifu Kalunde, który przez wiele lat współpracował z Michaelem A. Huffmanem, badając samoleczenie u szympansów w Tanzanii. On i jego rodzina obserwowali i naśladowali jeżozwierze, słonie, dziki, szympansy i inne zwierzęta, by tworzyć nowe metody leczenia biegunek i infekcji bakteryjnych. Dziadek Mohamediego, Babu Kalunde, również opracował roślinny środek leczniczy, inspirując się zachowaniem słonia. Według opowieści zauważył on słonia z rozstrojem żołądka, który przeżuwał lekko liście drzewa *Piliostigma thonningii*, mieszał je z wodą w swoim worku gardłowym (organie służącym do przechowywania wody u podstawy języka), po czym wypijał tę miksturę, odrzucając same liście. Babu Kalunde zaczął wykorzystywać wodne ekstrakty z tej rośliny w leczeniu problemów żołądkowych ludzi. Roślina ta, nazywana przez lud WaTongwe „Munyonga nTembo" („słoń wyrywający z ziemi"), wykazuje działanie antybakteryjne i jest dziś stosowana w całej Afryce w leczeniu takich chorób jak malaria, gorączka, biegunki czy infekcje dróg oddechowych.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1cf7f76a50

Na wyspie Pohnpei w Mikronezji tradycyjni uzdrowiciele odkrywali nowe lekarstwa, obserwując rośliny zjadane przez chore zwierzęta. W Gabonie ludzie zaczęli używać roślin *Tabernanthe iboga* podczas obrzędów religijnych, po tym, jak zauważyli, że goryle, dziki i jeżozwierze wykopywały ich korzenie i wpadały w dzikie ekstazy po ich spożyciu. W Laosie natomiast od dawna wiadomo, że młode słonie jedzą odchody swoich matek w okresie odstawiania od mleka. Ponieważ dieta słoni obejmuje wiele roślin leczniczych, ich odchody postrzegane są jako swoista mikstura lecznicza, farmaceutyczny koktajl. Ludzie, naśladując słonie, przygotowują wywary z ich odchodów, aby leczyć biegunkę. Biorąc pod uwagę naszą współczesną wiedzę na temat przeszczepów mikrobiomu, jest bardzo prawdopodobne, że ten tradycyjny zabieg stosowany przez słoniątka działa na podobnej zasadzie.

Ludzie nie tylko obserwują zwierzęta w poszukiwaniu leków dla siebie, lecz także dla swoich zwierząt domowych i gospodarskich. Podobnie jak większość ludzi na świecie nie ma łatwego dostępu do zachodniej medycyny, tak też większość zwierząt utrzymywanych przez człowieka nie korzysta z nowoczesnych weterynaryjnych leków – czy to z powodu wędrownego trybu życia, odległości, czy ze względu na to, że są mniej poznanymi gatunkami. W efekcie tradycyjna wiedza weterynaryjna na całym świecie opiera się na roślinach i często czerpie inspirację z obserwacji dzikich zwierząt.

W Parku Narodowym Centralnego Karakorum w Pakistanie myśliwi i pasterze wierzą, że dzikie zwierzęta, takie jak wróble, koziorożce himalajskie czy markury śruborogie, wykorzystują jagody, liście i korę berberysów do samoleczenia. Gdy ich zwierzęta gospodarskie (owce, konie, krowy czy osły) chorują, pasterze zabierają je do tych roślin lub przynoszą rośliny do chorych zwierząt.

Podobnie w regionie Karamoja w Ugandzie tradycyjni uzdrowiciele i pasterze zaobserwowali ok. 50 różnych zachowań samoleczenia wśród kóz, bydła, owiec, osłów, wielbłądów, drobiu i psów. Stosują oni większość roślin spożywanych przez zwierzęta nie tylko w leczeniu ich samych, ale i własnych rodzin, wskazując na bezpośrednie naśladownictwo zachowań samoleczniczych zwierząt dla dobra ludzi i hodowanego inwentarza.

Niedźwiedzie po hibernacji z upodobaniem spożywają korę wierzby, co łagodzi bóle i stany zapalne.

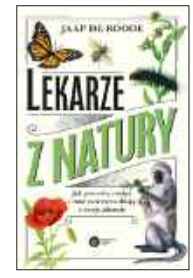
W Azji Południowo-Wschodniej ludzie od tysiącleci współżyją ze słoniami. W Laosie np. tradycyjnie wykorzystywano słonie do transportu i pracy przy wyrębie lasów. Choć nie były one całkowicie udomowione, ze względu na długi pobyt w ludzkich wioskach z opiekunami (mahoutami) nie były też zupełnie dzikie. Mahoutowie pozwalali słoniom samodzielnie się paść: albo je wypuszczali, albo przywiązywali do długich łańcuchów, przesuwając je co jakiś czas w nowe miejsca, by umożliwić im wybór własnej diety.

W Ugandzie pasterze zaobserwowali ok. 50 różnych zachowań samoleczenia wśród kóz, bydła, owiec, osłów i wielbłądów.

W jednym z badań naukowcy przeprowadzili wywiady z 60 mahoutami, aby poznać ich wiedzę o zdrowiu słoni i metodach leczenia. Wielu mahoutów zgłaszało przypadki biegunki, zaparć oraz zakażeń wirusem herpes (EEHV, ang. *Elephant Endotheliotropic Herpesvirus*). Zidentyfikowali oni ponad 60 skojarzeń między określonymi roślinami a stanami zdrowotnymi słoni i zaobserwowali poprawę zdrowia zwierząt po ich spożyciu.

Jak w przypadku pasterzy w Pakistanie i Ugandzie, mahoutowie w Laosie zbierają rośliny lecznicze lub prowadzą chore słonie do miejsc, gdzie rosną odpowiednie rośliny. Niektórzy mahoutowie rozgniatają korzenie konkretnych pnączy i mieszają je z solą, by podać słoniom jako środek leczniczy. Co więcej, z 20 roślin wykorzystywanych przez słonie 15 stosuje się także w leczeniu ludzi w gospodarstwach domowych mahoutów. Jeden z opiekunów zauważył słonia spożywającego korę, by ulżyć sobie w biegunce, i od tamtej pory stosuje ten sam środek u swoich bliskich. Inny zbiera korzenie spożywane przez słonie i maceruje je w alkoholu, wytwarzając leczniczy tonik. Istnieje wiele prac potwierdzających lecznicze własności roślin wybieranych przez słonie. Co jednak ciekawe, jedna z roślin wykorzystywanych przez te ssaki – *Lithocarpus auriculatus* – nie była wcześniej znana ze swoich właściwości leczniczych, co wskazuje, że nawet dziś słonie odkrywają nowe, nieznane nam rośliny o potencjale medycznym.

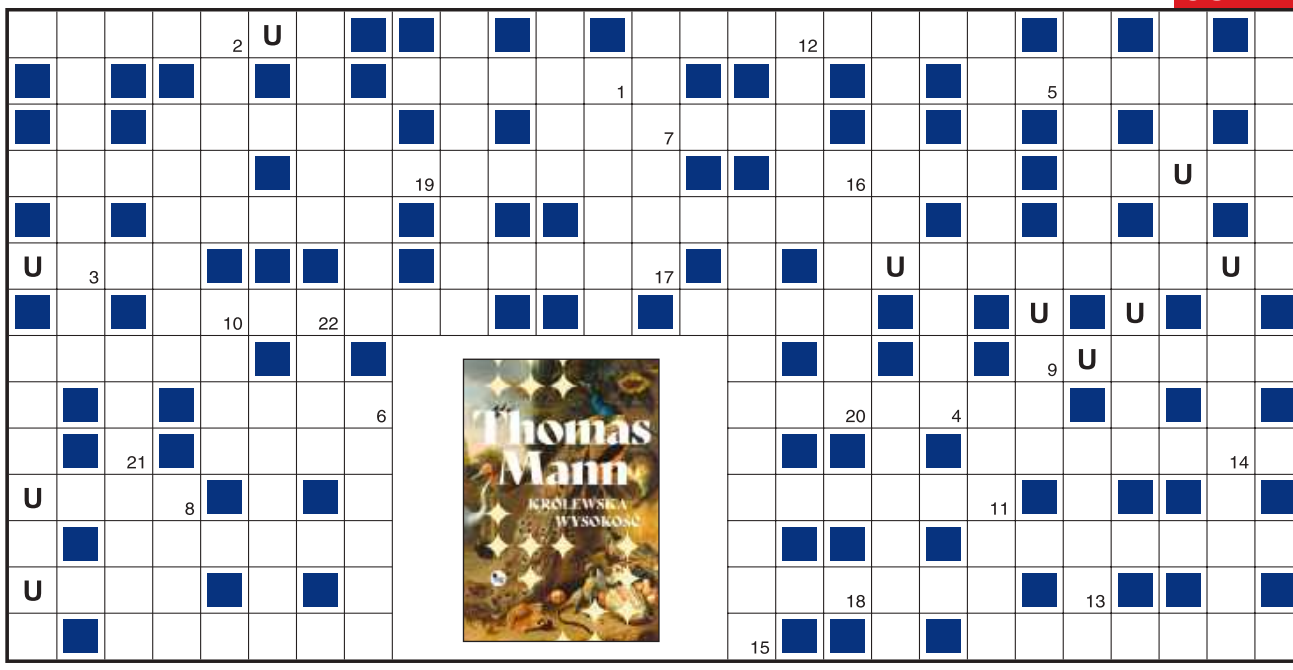
Podobnie jak w Laosie, w Tajlandii również odnotowano, że mahoutowie uczyli się od słoni, które rośliny wykorzystać w leczeniu. Co więcej, ta bliska więź sprawiła, że wiedza o roślinach zaczęła płynąć także w drugą stronę: od ludzi do słoni. Kiedy mahout zauważa u swojego słonia określoną dolegliwość, zabiera go do znanej sobie rośliny leczniczej – nawet jeśli słoń nigdy wcześniej jej nie używał. Dzięki temu słoń ma szansę spróbować nowej rośliny i nauczyć się jej właściwości leczniczych. W tym sensie mahoutowie przejęli od innych słoni rolę społeczną w procesie przekazywania zachowań samoleczniczych.



Fragmenty książki Jaapa de Roode *Lekarze z natury. Jak pszczoły, małpy i inne zwierzęta dbają o swoje zdrowie*, tłum. Szymon Drobniak, Copernicus Center Press, Kraków 2025

eprasa.pl 1cf7f76a50

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- stworzenie go namalował Michał Anioł
- król Orchomenos, ojciec Fryksosa i Helle
- i słuchacze profesora, i sala, w której go słuchają
- jego podtlenek w gazie rozweselającym
- oślica przemówiła do niego
- papierosy w pudełku z wielbłądem
- fochy, kaprysy
- gwiazda sceny operowej
- tarcza wykuta przez Hefajstosa
- bóg z „Uczty” Platona
- mocny napar z liści herbacianych
- …swoim instynktom, słabościom, zachciankom
- kula ziemska
- z łopatką i wiaderkiem
- masowe pojawienie się czegoś negatywnie postrzeganego
- synonim Włoch
- trzymane za kogoś, by mu się powiodło
- więcej niż wygoda
- różnica jasności na zdjęciu, ostra sprzeczność
- Marek Licyniusz, zdławił powstanie Spartakusa
- kluski z białego sera
- stare, kompletnie zniszczone ubranie
- batalista, pejzażysta lub impresjonista
- bóstwo północnoamerykańskich Indian
- zabiła go Charlotte Corday
- ciemna… – o kimś nierozgarniętym
- radiowy w Konstantynowie, runął w 1991 r.
- boiskowa trawa
- upomnienie za niewłaściwe postępowanie
- młode pokolenie wpuszczane do jezior, stawów
- do tego koncernu należał Datsun
- zieleń wśród gorących piasków
- skrzydło pałacu dla służby
- wyścigi żeglarskie, łodzi motorowych
- piesek stworzony przez Lechosława Marszałka
- insekcik, maleństwo lub kochaneczek
- gazowa, kapilarna albo z kremem
- z tej wyspy pochodził Epikur
- fińska, a rosyjską odmianą jest bania
- część składowa, element
- wycinek widowni na stadionie
- bez ładu i bez niego – chaotycznie
- wątpliwość natury moralnej
- imię autora „Tanga”
- przydomek Antiocha I lub Ptolemeusza I
- skrzeczący, biało-czarny ptak
- nie ona zdobi człowieka
- ta wyżej, gdy się zużyje
- na niej wywożono dyrektora, burmistrza
- knajpa portowa
- kurzu nad trzepakiem
- szepnąć coś komuś na nie można
- uszkodzenie ciała, kontuzja
- ułatwia kierowanie koniem
- zespół izolowanych nawiniętych przewodów
- zaleta, dodatnia cecha
- rzeka błękitna z piosenki Przybylskiej
- odtwarzacz filmów na kasetach
- animusz, werwa
- profesorska mowa
- wybryk, eksces
- reguła, według której coś działa

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1264”. Do rozlosowania książki „Królewska Wysokość” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 marca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1261” z nr. 8: *Diabeł diabłem pozostanie.*
Nagrody otrzymują: Wiesława Piątkowska z Warszawy, Stefan Woźniak z Opola, Bogumił Zalewski z Konstancina-Jeziorny.

eprasa.pl 1cf7f76a50

Opowieści Przydacza

Marcin Przydacz był w czasach rządów PiS wiceministrem spraw zagranicznych, teraz jest sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP i szefem Biura Polityki Międzynarodowej.

Po exposé Radosława Sikorskiego na temat polityki zagranicznej odpowiadał mu w imieniu prezydenta. Banalnie! Krytykował Sikorskiego za zbyt małą miłość do Donalda Trumpa. Ale były też elementy wesołe, dotyczące tzw. polityki kadrowej. Bo Przydacz wołał tak: „Na skutek pańskiej polityki kadrowej po ponad dwóch latach większość polskich placówek nie ma ambasadora!". A potem wskazywał oskarżycielsko: „Zamienił pan aktywnych, sprawnych i doświadczonych urzędników (profesjonalistów, ekspertów) na towarzystwo, niestety, w części wzajemnej adoracji, na kolegów, w tym wielu z rezerwy kadrowej albo wręcz z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, a także na tych z tzw. konferencji byłych ambasadorów albo wręcz absolwentów moskiewskiej szkoły szpiegów. Co do wieku, mam tutaj wiele znaków zapytania. Szanowni państwo, kierownik placówki w Rzymie – 74 lata. Ambasador przy OECD – 74 lata, kierownik placówki w Rabacie – 69 lat, w Bernie – 69 lat, w Pradze – 68 lat, w New Delhi – 68 lat…".

Cóż, trudno uwierzyć, że to Sikorski stoi za Nawrockim i trzyma go za pióro, by nie podpisywał prezydenckich nominacji… Po co więc opowiadać takie bajki? Nie przystoi też prezydenckiemu urzędnikowi używać porównania, że ambasadorami w czasach PiS byli aktywni, sprawni, doświadczeni profesjonaliści, a teraz Sikorski wysyła emerytów. Bo kłamstwo ma krótkie nogi.

O tym już pisaliśmy, ale warto przypomnieć. Ambasadą RP w Rzymie kieruje Ryszard Schnepf, rocznik 1951, który wcześniej był czterokrotnie ambasadorem: w Urugwaju, Kostaryce, Hiszpanii i w Stanach Zjednoczonych. Zastąpił w Rzymie Annę Marię Anders, rocznik 1950, która wcześniej nie przepracowała w dyplomacji nawet pięciu minut. Ale PiS zafundowało jej emeryckie wczasy we Włoszech.

Ważną postacią w korpusie dyplomatycznym za PiS była także Urszula Doroszewska, ambasador na Litwie w latach 2017-2023 – czyli wyjechała tam w wieku 62 lat, a wróciła, mając 68 lat. Zastąpił ją Konstanty Radziwiłł, też w wieku emerytalnym. I też był to jego debiut w dyplomacji.

Ciekawą postacią był Marek Garztecki. On z kolei, rocznik 1947, od roku 2017 do 2022 pełnił funkcję stałego przedstawiciela RP przy UNEP i UN-Habitat w Nairobi, a przez pewien czas był zastępcą kierownika polskiej ambasady w Kenii. Po zakończeniu misji czuł się rześko i w MSZ zarzekają się, że gdyby nie październikowe wybory, to jeszcze gdzieś by wyjechał.

I tak można ciągnąć – emeryt z czasów Sikorskiego za emeryta z czasów PiS. Rzecz jednak mniej polega na tym, ile kto ma lat, a bardziej na tym, co potrafi i jaki autorytet ma w korpusie. Emeryt emerytowi nierówny.

Śmieszne jest też opowiadanie o „wspaniałych fachowcach", których zły Sikorski odwoływał do kraju. Raczej było odwrotnie. Solidarność w MSZ alarmowała przecież, że PiS wysyła za granicę ludzi bez kwalifikacji.

Szkoda więc, że Sikorski nie odwoływał bardziej skrupulatnie, bo z powodu tej powściągliwości ministerstwo zmuszone było przełknąć gorycz wstydu, gdy CBA zatrzymało na lotnisku Jana Emeryka Rościszewskiego, ambasadora we Francji, którego do Paryża wysłało PiS. On również nie miał wcześniej z MSZ nic wspólnego, PiS zafundowało mu Paryż na pocieszenie, gdy musiał oddać stanowisko prezesa PKO BP.

Ale o tym Przydacz milczał.

Attaché



Po spotkaniu Rady Państw Morza Bałtyckiego w Pałacu Rzeczypospolitej szef MSZ Norwegii Espen Barth Eide robi selfie z koleżankami i kolegami. Od góry: Kęstutis Budrys (Litwa), Þorgerður Katrín Gunnarsdóttir (Islandia), Maria Malmer Stenergard (Szwecja), ambasador Danii Jakob Henningsen, Elina Valtonen (Finlandia), Baiba Braže (Łotwa), wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Kaja Kallas, Radosław Sikorski i Margus Tsahkna (Estonia). Warszawa, 4 marca 2026 r.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 1cf7f76a50









PENETRACJE

PROF. STEFAN KONSTAŃCZAK,
FILOZOF

Wiemy, że Schaffowi – mimo niechlubnych działań z przeszłości – udało się zadzierzgnąć przyjacielskie kontakty z wieloma przedstawicielami szkoły lwowsko-warszawskiej, dzięki czemu sprawnie kontynuowano wydawanie zainicjowanej jeszcze we Lwowie Biblioteki Klasyków Filozofii. Nawiązał także osobiste kontakty z emigracyjnymi intelektualistami, nie wyłączając Jerzego Giedroycia i Zbigniewa Jordana. To także Schaff torował drogę dla uczestniczenia przedstawicieli polskiej nauki w programie stypendialnym Fundacji Forda. Utorował drogę powrotu powojennej polskiej nauki na światowe salony. O tym jednak historia polskiej nauki milczy, dlatego że były to działania podejmowane skrycie, w obawie przed cenzurą i partyjnymi ortodoksami. To wszystko powoduje, że żadna z opinii o Adamie Schaffie nie ma szansy na utrwalenie się w historii polskiej nauki, bo żadna nie jest w stanie uwzględnić materiałów, które zapewne do dziś jeszcze leżą w zastrzeżonych zbiorach archiwalnych przeróżnych instytucji rozsianych po całym świecie.

JOANNA SARAPATA,
MALARKA

Odwagę ćwiczysz w działaniu. Seneka mówił: „Gladiator sprawdza się na arenie". My również. Kobiety czy mężczyźni. Mierząc się z przeciwnościami, odkrywamy, że jesteśmy odważni. Tak samo jest z wrażliwością. Oglądasz dzieła malarzy w muzeum i nic nie czujesz. Nagle stajesz przed jednym obrazem, łzy napływają ci do oczu i nie wiesz, co się dzieje. Ten obraz obudził twoją wrażliwość. Jestem przekonana, że wszędzie tam, gdzie boimy się wejść, czeka na nas przyszłość. Dlatego za każdym razem, gdy nie chce mi się wyjść z domu, myślę sobie: Boże, a może tam jest moja przyszłość?

MARCIN MARGIELEWSKI,
PISARZ, PODRÓŻNIK

W przypadku dziewczyn zajmujących się w Dubaju prostytucją zatrzymanie dokumentów jest brutalną metodą kontroli. Taka kobieta nie wyjedzie z kraju bez zgody swojego „opiekuna". Aby uniknąć interwencji konsulatów, te dziewczyny są często całkowicie odizolowane, dowożone na miejsce spotkań i pilnowane. To najczęściej dziewczyny, które siedzą tam na stałe, są rezydentkami. Aby mieć prawo pobytu w Dubaju, musisz mieć jakąś pracę, więc często są zatrudniane jako fikcyjne agentki nieruchomości. Panowie z kolei często figurują jako trenerzy personalni. Chciałbym, żeby to wybrzmiało: nie każda polska agentka nieruchomości czy trener w Dubaju pracuje w prostytucji, ale to po prostu najłatwiejszy sposób na legalizację pobytu w systemie *kafala*. W rozmowach z ludźmi z Polski te dziewczyny chętnie nazywają się modelkami, bo to świetnie brzmi w Polsce i dobrze się sprzedaje. Ich klienci też wolą myśleć, że spotykają się z modelkami, a nie z prostytutkami.

JOANNA KULIG,
AKTORKA I WOKALISTKA

To się da poukładać, ale wymaga wysiłku i jasnego nazwania, co jest pracą, co pasją, co byciem mamą, a co byciem kobietą w ogóle. Kiedy odróżnia się te przestrzenie, łatwiej jest je rozwijać, zamiast mieć wrażenie wielkiego chaosu. Mój zawód sam w sobie jest chaotyczny, a jednocześnie wymaga dyscypliny. Serial to pobudka o 4.30, 12 godzin na planie plus charakteryzacja, czyli 14 godzin wyjętych z życia. Wracasz kompletnie wypluta, musisz się jakoś zregenerować, żeby następnego dnia znów wejść w rolę. Dlatego tak ważna stała się dla mnie własna pracownia – gabinet. (…) Wchodzę tam i od razu pojawiają się pomysły. To miejsce bez bodźców, w którym mogę czytać, myśleć, pracować nad rolą, nad muzyką. To przestrzeń, która generuje pracę, ale też uspokaja.

FOT. KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, SARKA FARKA (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 1cf7f76a50

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* wyrasta z cebulki — A I L N T U ⬡
* zielona lub biała — A A B E H T ⬡
* niezwijana harmonijka — A G I N O R ⬡
* z salami i łóżkami — A I L P S T ⬡

Z P R K

ROZWIĄZANIA: TULIPAN, HERBATA, ORGANKI, SZPITAL



Aby język giętki…

PROF. HELENA CHMIELEWSKA-SZLAJFER
O KANALE ZERO

To jest bardzo niebezpieczne medium. Jego założyciel i główna twarz Krzysztof Stanowski wystartował na prezydenta, by ośmieszyć samą ideę kampanii i wyborów.

KUBA WOJEWÓDZKI
O RAFALE TRZASKOWSKIM

Mam wrażenie, że jego sztab wyborczy po sukcesie ubiegłorocznej kampanii doradza teraz Polsce 2050.

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Dobrego lidera poznaje się po tym, czy potrafi w odpowiedniej chwili odejść.

SEBASTIAN KARPIEL-BUŁECKA
O ZAKOPANEM

Musiałby przyjechać walec i zburzyć cały ten architektoniczny syf.

WIKTOR ZBOROWSKI O MARII WINIARSKIEJ

W życiu nie tchórzę, jestem spod znaku Koziorożca. Marysia jest Baranem. Rogi się ścierają i nikt nie wygrywa.

MARIA WINIARSKA
O WIKTORZE ZBOROWSKIM

Kiedyś zapytałam męża, czy jesteśmy już w jesieni życia. Myślałam, że powie: „Skądże, to późne lato". A on powiedział, że jesteśmy w zimie życia.

MACIEJ MALEŃCZUK
O WSPÓŁCZESNYM RAPIE

To jest coś beznadziejnego. To jest wielkie oszustwo i nie dajcie się nabrać. To jest furtka dla beztalenci.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 1cf7f76a50



Everything
is in its place

Just Because

Elsa Rouy



Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia
Radom, ul. Kopernika 1
do 15 marca

Aware of successes
and failures

Niepokojące akty Brytyjki Elsy Rouy (rocznik 2000) nie są ani erotyczne, ani prowokacyjne w dosłownym sensie. Artystka nie dąży do szokowania, jej półbiograficzne obrazy dotykają raczej samej istoty ludzkiego doświadczenia, eksplorują kobiecość i cielesność, funkcjonując poza sferą seksualności i konwencjonalnie rozumianego piękna. Zdeformowane, ekspresyjne postacie odmawiają podporządkowania się kanonom czy społecznemu konsensusowi. Niosą w sobie potencjał sprzeciwu i oporu. W tej malarskiej przestrzeni ciało staje się narzędziem poznania i sposobem opowiadania o współczesnej kondycji człowieka.



Smart, witty, mysterious, engaging, hot, unique, cute, charming and clean

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1cf7f76a50

MUTTS DON'T HEEL TOUR LEON THOMAS LIVE 25'-26'

MUTTS DON'T HEEL







LIVE LEON THOMAS 25'-26'

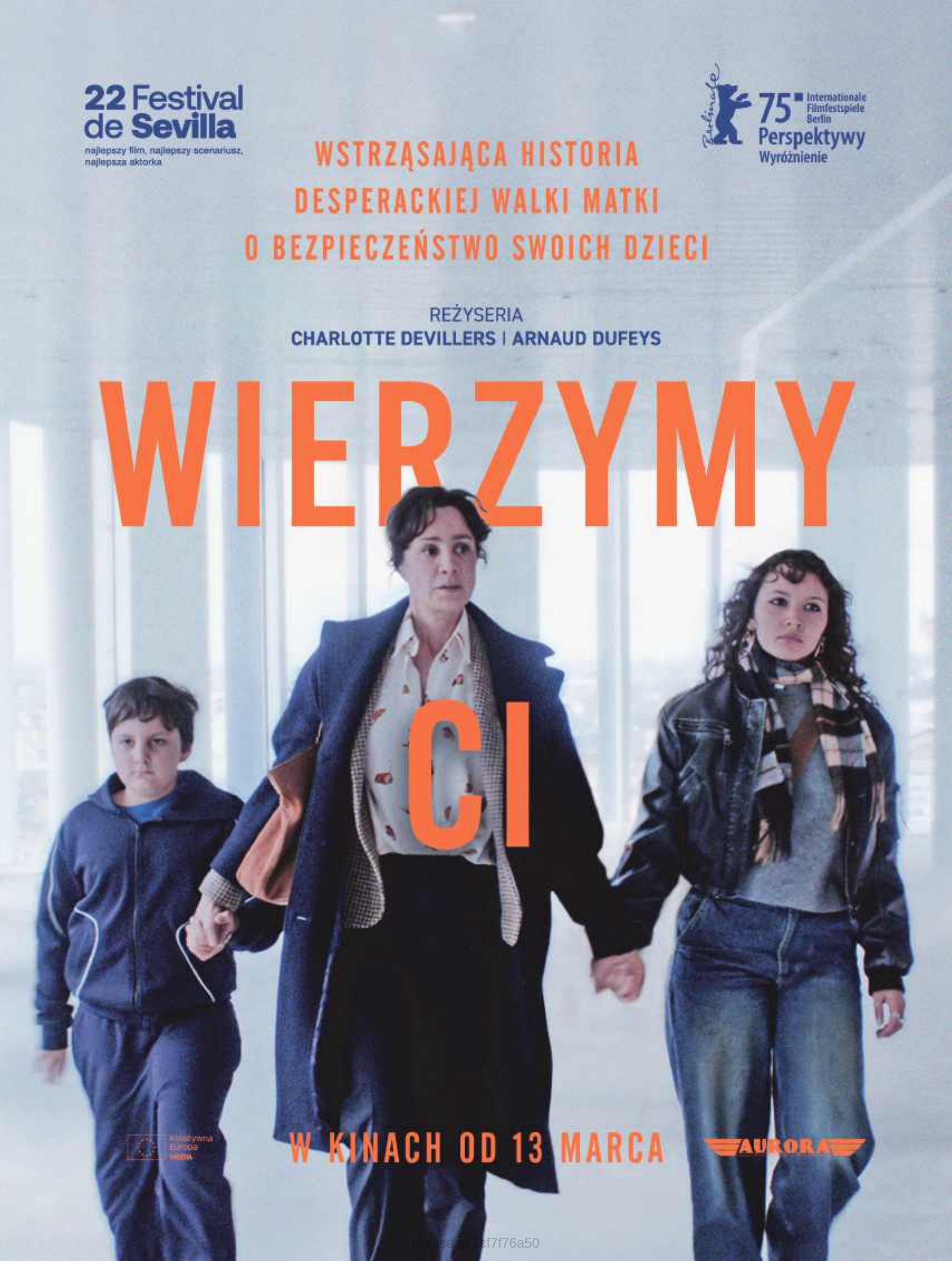
12 MARCA 2026
WARSZAWA
KLUB STODOŁA

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

LIVE NATION

LEONTHOMAS.COM

eprasa.pl 1cf7f76a50


22 Festival de Sevilla
najlepszy film, najlepszy scenariusz, najlepsza aktorka
75 Internationale Filmfestspiele Berlin
Perspektywy
Wyróżnienie
WSTRZĄSAJĄCA HISTORIA
DESPERACKIEJ WALKI MATKI
O BEZPIECZEŃSTWO SWOICH DZIECI
REŻYSERIA
CHARLOTTE DEVILLERS | ARNAUD DUFEYS
WIERZYMY
CI
W KINACH OD 13 MARCA
AURORA